W NUMERZE: Czego uczą polskie uczelnie ▪ Route 66 – najsłynniejsza droga Ameryki
Wiara, czyli sztuka wątpliwości ▪ Wielki powrót „Odysei” ▪ Przewodnik po teoriach spiskowych

TYGODNIK POWSZECHNY



JUŻ W SPRZEDAŻY
WYDANIE SPECJALNE,
A W NIM
OLGA TOKARCZUK
I INNI

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 15 – 21 lipca 2026 | nr 29 (4019)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Dlaczego młodzi nienawidzą AI

SYLWIA CZUBKOWSKA | STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 48ee648283

Kraków

MOCAK

STAN POSIADANIA

TOPOGRAFIA KOLEKCJI MOCAK-U — CZĘŚĆ I

THE STATE OF POSSESSION

THE TOPOGRAPHY OF THE MOCAK COLLECTION — PART I

24.7–18.10.2026

Projekt graficzny | Graphic design: Marta Mosiołek

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA | MOCAK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW – A CULTURAL INSTITUTION OF THE CITY OF KRAKÓW

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE
MOCAK
MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW

SPONSOR MUZEUM / MUSEUM SPONSOR
STRABAG WORK ON PROGRESS

WSPÓŁORGANIZATOR PROGRAMU GOŚCINNOŚCI I DZIAŁAŃ LOKALNYCH / CO-ORGANISER OF THE HOSPITALITY PROGRAMME AND LOCAL INITIATIVES
sao | SAO MIASTOPROJEKT

PARTNER HOTELOWY / HOTEL PATRON
TRIBE KRAKOW OLD TOWN

PATRON GALERII RE / RE GALLERY PATRON
RE-Bau

PATRONI MEDIALNI / MEDIA PATRONS
wyborcza.pl | chillizet | SZUM | DailyArt Magazine | Kraków Culture | MM Miej Miejsce | RESTART

REKLAMA

eprasa.pl 48ee648283

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MAREK RABIJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Praca do wglądu
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Teatr w gronostajach
MARCIN KĘDZIERSKI: *Życie na polskich uczelniach toczy się na niby*

19 Zejście z Olimpu
JAKUB BODZIONY: *Coś się skończyło między Warszawą a Kijowem. I dobrze*

22 Gambit domowy
JACEK TARAN *o 14-letnim Antku, szachowym mistrzu świata*

■ ■ REPORTAŻ

26 Instrukcja wychodzenia z izolatki



MAGDA WOLNA DLA „TP"

BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Są tacy, którzy sanatoryjną traumę sprzed lat spróbowali zamknąć w czasie przeszłym*

■ ■ ŚWIAT

34 Matka wszystkich dróg
MARTA ZDZIEBORSKA: *Przecinająca Stany legendarna trasa Route 66 obchodzi 100 lat istnienia. Udajmy się nią w podróż – także w czasie*

38 Lwica skrajnej prawicy
SZYMON ŁUCYK: *Niczym feniks z popiołów, Marine Le Pen wraca do walki o prezydenturę*

41 Pitcairn. Ostatni okruch imperium
SEBASTIAN JABŁOŃSKI *o jednym z najbardziej izolowanych miejsc świata: wyspie na Pacyfiku, zamieszkanej przez garstkę ludzi*

■ ■ WIARA

44 Szukam, więc wierzę
ROZMOWA Z KS. ANDRZEJEM LUTREM, DUSZPASTERZEM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH: *Dusza człowieka poszukującego, niepewnego, wątpiącego w dogmaty, ale otwartego na Tajemnicę jest „duszą religijną"*

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Mamy dość AI
SYLWIA CZUBKOWSKA
Sztuczna inteligencja najskuteczniej wygenerowała rozczarowanie i bunt wobec technologii. Przoduje w tym zwłaszcza pokolenie Zet.

13
Popkultura też nie lubi technologii

14
Kim byli luddyści



■ ZIEMIE ODZYSKIWANE ■

31 PRZESTRZENIE POŚREDNIE
CVETA DIMITROVA *zaprasza na Ziemie i do lektury nowego wydania specjalnego „TP"*

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
53 ZUZANNA RADZIK
57 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MAREK RABIJ

47 Przystanek Dobrej Nadziei
STANISŁAW ZASADA: *Bydgoski proboszcz oddał bezdomnym część kościoła*

50 Niepotrzebna legenda
ARTUR SPORNIAK *o wietnamskim męczenniku, ks. Franciszku Ksawerym Truong Buu Diepie*

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Wszystkie skarby Niniwy
ALEKSANDER R. MICHALAK: *Turcja i Izrael rywalizują także na polu archeologii. Spierają się o zabytki i używają wykopalisk do legitymizacji swych ambicji – tych jak najbardziej współczesnych*

■ ■ NAUKA

58 Symbol pokoju
ROZMOWA Z ERANEM LEVINEM, ZOOLOGIEM, *o nietoperzach brodawkonosach, które mogłyby być idealnymi zwierzętami domowymi*

■ ■ KULTURA

62 Bez happy endu
ROZMOWA Z MARKIEM WĘCOWSKIM, HISTORYKIEM STAROŻYTNOŚCI: *Odyseusz długo był patronem tych, którzy płyną na Zachód, by odnieść sukces. Odys Homera wraca z wyprawy sterany i wypalony. To nie jest opowieść ku pokrzepieniu*

67 Polecamy

68 Emily, nie Emilka
BISERKA ČEJOVIĆ: *Współczesne książki dla młodzieży mówią o przemocy, traumie i wykluczeniu. Ale klasyka także nie była niewinna*

71 W głowie gruz
ROZMOWA Z DARIĄ ZE ŚLĄSKA, PIOSENKARKĄ: *Quentin Tarantino? Kiedy już myślisz, że jest dobrze, on nagle wjeżdża z masakrą. Chcę, by tak wyglądały moje teksty*

74 Do latarni morskiej
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wędrówka na północ" w reż. Barta Schrijvera*

75 Wyspa, czyli świat
LEKTOR *o „Księdze lata" Tove Jansson*

■ ■ PSYCHE

78 Spis spisków
ROZMOWA Z PAWŁEM DROŻDZIAKIEM, PSYCHOLOGIEM: *Spiskowość w społeczeństwie jest często mechanizmem obrony przed utratą języka. Bo jeśli nie można swojej wątpliwości wyrazić racjonalnie, ona zaczyna wyrażać się nieracjonalnie*

eprasa.pl 48ee648283

KS. ADAM

Boniecki: *Trzeba być*

Nie jest łatwo mówić o księżowskich doświadczeniach tak, by nawet mimowolnie nie stać się niedyskretnym, ale ks. Andrzej Luter, z którym rozmowę drukujemy w dziale Wiara, niedyskretny nie jest. Tu nawet nie chodzi o tajemnicę spowiedzi, ale prosty szacunek dla spraw drugiego człowieka. Nie wolno go naruszyć. Jeśli ktoś mi zaufał, jestem związany tym zaufaniem. Ksiądz jest człowiekiem zaufania. Gdyby nie ono, dawno by nie był tym, kim jest.

Skąd to wiem? Przez wiele lat byłem duszpasterzem akademickim w krakowskim Kościele św. Anny. Mówiłem mojemu biskupowi, Janowi Pietraszce, że będę miał dyżur w konfesjonale poza czasem sprawowanej w kościele liturgii i się niepokoiłem, czy ktoś w ogóle przyjdzie. Biskup, mądry duszpasterz, powiedział mi wtedy: „bądź i się przekonasz”. Po prostu wiedział, że trzeba być – i jak być. Nie mylił się.

Ksiądz Andrzej opowiada właśnie o takim podejściu. Mówi: „Kościół katolicki, jak sama nazwa wskazuje, jest uniwersalny, powszechny i powinien być otwarty na wszystkich, także na agnostyków i ateistów”. Mówi, że Kościół ma łączyć, a nie dzielić, „zwłaszcza jeśli podziały na dobrych i na złych katolików albo na wierzących i niewierzących wykorzystywane są w brutalnej walce politycznej o władzę”. To jest mądrość, którą – jeśli jesteśmy uważni, nabywamy właśnie w spotkaniach z ludźmi. Tego się nie wynosi z seminarium, co



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MAREK

Rabij: *Wyspy*

Przeczytałem kiedyś, że gdyby wyznaczyć tam z Polski linię prostą w dowolnym kierunku kuli ziemskiej, jej długość wyniosłaby 20 tysięcy kilometrów, czyli połowę obwodu równika. Wyspa Pitcairn, skalny okruszek rzucony przez Boga (albo, jeśli wolicie, ruchy tektoniczne) na środek Pacyfiku, leżałaby więc na antypodach naszego kraju. Dziś już wiem, że geografia i w tym przypadku nie okazała Polsce szczególnych względów i w tej roli przypisała Pitcairn Półwyspowi Arabskiemu, ale niewiele to zmieniło w mojej percepcji tej wysepki. Od pierwszego seansu wspaniałego „Buntu na Bounty” z hipnotyzującą rolą Anthony’ego Hopkinsa rzucam się na wszystko, co dotyczy Pitcairn, z zapałem aportującego piłeczkę szczeniaka.

Zabieramy tam Państwa również w tym wydaniu w tekście **SEBASTIANA JABŁOŃSKIEGO**, który Pitcairn nazywa ostatnim okruszkiem Imperium Brytyjskiego. Dodałbym od siebie, że wyspy ułożyły także się w motyw przewodni tego wydania. Opisując stosunek zetek

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 83

SPRAWDŹ **PROMOCYJNĄ OFERTĘ:** PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 48ee648283

nie jest zresztą dziwne, bo czy mądrości można się nauczyć w jakiejkolwiek uczelni? Ją trzeba zdobywać w życiowych sytuacjach, ucząc się także na własnych błędach.

Oczywiście można na różne sposoby opisywać realia pracy duszpasterstwa akademickiego w czasach PRL, ale nie w uciążliwościach systemu było sedno sprawy, a właśnie w relacjach między mną i ludźmi, którzy tam się zjawiali. Trudno o tym pisać, ale wiem, że sam fakt, że dla nich byłem, gdziekolwiek byłem, miał znaczenie. I że lata tamtej pracy nagrodzone zostały przyjaźnią z ludźmi, którzy wówczas byli studentami, a dziś są ojcami i dziadkami (lub matkami i babciami). Wielu z nich to ludzie, z którymi rozumiemy się w pół słowa.

Teraz, kiedy życie zmierza ku końcowi i kiedy nieudolnie staram się sporządzić podsumowanie, niezmiennie najważniejsze miejsce, jako czas wypracowania (pożal się Boże) jakiegoś mojego stylu, jawią się lata pracy w akademickim Kościele św. Anny. Oczywiście praca w „Tygodniku Powszechnym", oczywiście funkcje zakonne, oczywiście pobyt we Francji i w Watykanie, inne przeżycia, dobre i złe, mądre i głupie – to wszystko jakoś mnie tworzyło. Ale rdzeń jest klarowny: naprawdę utworzył mnie dom rodzinny, z jego niebywałymi przemianami, a potem krakowska Święta Anna z biskupem Janem. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

wobec AI, **SYLWIA CZUBKOWSKA** kreśli w istocie portret pokolenia, które być może wszczyna właśnie kontrkulturowy bunt wobec ancienne regime'u algorytmów. Generacja cyfrowych autochtonów, jak marynarze z „HMS Bounty", marzy o własnej wyspie wolności. Tym razem od modeli językowych, które stają się równie wszechobecne jak Imperium Brytyjskie na XVIII-wiecznej mapie świata.

Na wyspę, metaforę izolacji od świata, zabiera nas w tym numerze także **MARCIN KĘDZIERSKI** w tekście poświęconym zapaści klasycznego modelu akademickiego. Korytarze polskich uczelni wyższych pustoszeją nie tylko z powodu kryzysu demograficznego. Akademia, jaką znamy, zdaniem Kędzierskiego staje się teatrem w gronostajach, odgrywającym jedynie pastisz formacji intelektualnej i miejsca, które profesjonalnie przygotowuje do dorosłości. Potwierdzenie dla tej boleśnie mocnej tezy znalazłem we własnym wywiadzie z historykiem antyku **MARKIEM WĘCOWSKIM**, w którym rozmawiamy o współczesnej recepcji dzieł Homera (a tu roi się przecież od wysp świata greckiego). Okazuje się, że nawet na prestiżowej uczelni studia nad kulturą antyczną można dziś odbyć bez choćby pobieżnej znajomości łaciny i greki. ©℗

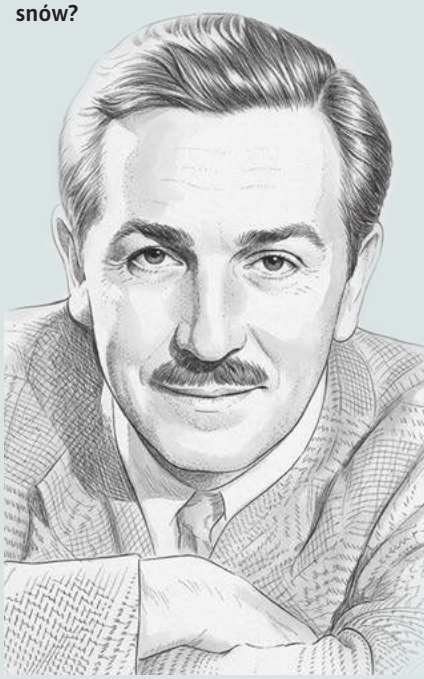
Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

MAREK RABIJ
Projekt nieśmiertelność. Jak naturalna ludzka potrzeba długowieczności przeobraziła się w cywilizacyjną obsesję i jak napędzają ten trend wielkie koncerny.

MICHAŁ OKOŃSKI
Przepis na mistrza świata. Dobiegł końca bodaj najbardziej kontrowersyjny mundial w historii piłki nożnej. Czas spojrzeć na niego z analitycznym dystansem.

MACIEJ JARKOWIEC
Disney i jego bohaterowie. Jak działa hollywoodzka fabryka animowanych snów?



DOMENA PUBLICZNA // MONTAŻ „TP"

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 48ee648283

OBRAZ TYGODNIA

6 – 12 LIPCA 2026

CIEŚNINA ORMUZ jest otwarta dla statków handlowych – twierdzi Donald Trump, wbrew deklaracjom Iranu. Narracja Białego Domu zmienia się z dnia na dzień: raz Irańczycy „zgadzają się na układ", a raz „bardzo źli i chorzy ludzie" uderzają na statki z ropą. ■■■ **SZCZYT NATO** w Ankarze z udziałem prezydenta USA nie pogłębił kryzysu Sojuszu, a goszczący na nim Wołodymyr Zełenski uzyskał obietnicę uruchomienia na Ukrainie linii produkcyjnej pocisków do systemów Patriot. ■■■ **NOWE SANKCJE** na Rosję uzgodnili z administracją Trumpa senatorowie reprezentujący obie amerykańskie partie. Politycy nie zdradzili szczegółów, ale napisali o tworzeniu narzędzi do „egzekwowania wysokiej ceny od tych, którzy kupują rosyjską ropę i gaz, napędzając machinę wojenną Putina". ■■■ **KRYZYS PALIWOWY** w Rosji pogłębia się: po ukraińskich atakach na rafinerie produkcja benzyny w tym kraju pokrywa już tylko 65 proc. zapotrzebowania. W niektórych regionach władze angażują nauczycieli i urzędników do pilnowania porządku w kolejkach na stacjach paliw. ■■■ **POLSKA FARMA WIATROWA** na Bałtyku zaczęła dostarczać moc do kraju. ■■■ **W ROCZNICĘ ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ** Donald Tusk zapowiedział budowę w Warszawie „Muru Pamięci", z wiecznym ogniem i nazwiskami każdej zidentyfikowanej ofiary ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów. Prezydent Zełenski z kolei (który podczas szczytu NATO rozmawiał o tym z Karolem Nawrockim) napisał, że potrzebne jest chrześcijańskie upamiętnienie ofiar i że Ukraina dokłada starań, by ustalić fakty o zamordowanych, ale że nie wolno zapominać, iż oba kraje stoją w obliczu „śmiertelnego zagrożenia dla naszej niepodległości", czyli Rosji. ■■■ **NEGOCJACJE AKCESYJNE** między UE a Ukrainą i Mołdawią wchodzą w nowy etap. Najbliżej wejścia do Unii (być może w 2028 r.) jest Czarnogóra, która zamknęła 16 spośród 33 rozdziałów przyszłej umowy. ■■■ **MARINE LE PEN** wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich po tym, jak sąd apelacyjny uznał, że skazana za sprzeniewierzenie środków publicznych polityczka nie ma już zakazu ubiegania się o takie funkcje. ■■■ **MUNDIAL** w decydującej fazie: w półfinałach spotykają się Francja z Hiszpanią i Anglia z Argentyną. Jeden z najpopularniejszych piłkarzy turnieju, kabowerdyjski bramkarz Vozinha, stał się inspiracją do nazwania przez biologów nieznanego nauce mięczaka. ■■■ **MKOL** tymczasowo zniósł zawieszenie Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego, powołując się na „konieczność zapewnienia wszystkim sportowcom równego dostępu do zawodów". ■■■ **ZMARLI:** wpływowy amerykański senator zajmujący się polityką międzynarodową Lindsey Graham (71 lat); podopieczna fundacji Cancer Fighters Maja Gadowska, znana dzięki nagranej z influencerem Łatwogangiem piosence „Wszystkie marzenia". ■■■ **MATURĘ ZDAŁO** 81,1 proc. tegorocznych absolwentów szkół ponadpodstawowych. 12,3 proc. abiturientów ma prawo do poprawki (w ubiegłym roku o tej porze świadectwo dojrzałości uzyskało 80 proc.). ©℗



JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

PRACA DO WGLĄDU

W kraju, w którym związek zawodowy doprowadził swego czasu do zmiany ustroju, zwiększenie zakresu uprawnień dla Państwowej Inspekcji Pracy popiera jednoznacznie raptem połowa obywateli.

MAREK RABIJ

8 LIPCA INSPEKTORZY PIP ZYSKALI NOWY ORĘŻ w walce z fikcyjnym samozatrudnieniem, czyli ukrywaniem etatów w firmach za kontraktami B2B. To dziś jedna z większych plag krajowego rynku pracy, a Polska zobowiązała się ją ograniczyć już kilka lat temu, sięgając po pieniądze z UE na Krajowy Plan Odbudowy. Wedle szacunków Instytutu Badań Struktural-

eprasa.pl 48ee648283



Co Polak, to firma

POLSKA jest dziś w czołówce krajów UE o najwyższym odsetku samozatrudnionych. Krajowe statystyki eksplodowały po pandemii, głównie w usługach gastronomicznych, wsparciu dla biznesu oraz w ochronie zdrowia. Oto udział samozatrudnionych w ogólnej liczbie pracujących (w proc.) w poszczególnych krajach UE.

Grecja – 25
Bułgaria – 25
Włochy – 24
Rumunia – 20
POLSKA – 19
Czechy – 16
Portugalia – 16
Hiszpania – 15
Holandia – 13
Francja – 12
Belgia – 10
Austria – 10
Irlandia – 9
Finlandia – 9
Niemcy – 9
Szwecja – 6
Dania – 6
Luksemburg – 6
Średnia UE – 14,2

Eurostat. Dane krajowe zaokrąglone w górę do pełnej liczby

nych, w gronie już ponad trzech milionów polskich jednoosobowych działalności gospodarczych (JDG) co najmniej 10 proc. obsługuje tylko jednego kontrahenta, wykonując powierzone im zadania w siedzibie zleceniodawcy, w wyznaczonych godzinach, na powierzonym im przez niego sprzęcie i według jego ścisłych wytycznych. Właśnie takich JDG, będących podręcznikowym przykładem ukrytego etatu, będą teraz szukać inspektorzy PIP. Dzięki nowym uprawnieniom będą mogli wydać decyzję administracyjną zmieniającą taki kontrakt w umowę o pracę.

SZYBKIEGO PRZEŁOMU na polskim rynku pracy jednak nie będzie. Inspektorów mamy mniej niż agencji pracy tymczasowej, bo ledwie 1500 w całym kraju. Na jednego przypada statystycznie 512 firm, które podlegają kontroli, dlatego PIP na pierwszy ogień weźmie skargi, które spłyną od samych zainteresowanych zamianą umowy B2B na etat. Jeśli kontrola wykaże zasadność takiego roszczenia, zatrudniający dostanie polecenie zmiany warunków zatrudnienia. Jeśli się nie zgodzi, PIP wyda decyzję o takiej zmianie z klauzulą natychmiastowej wykonalności, którą firma będzie mogła dopiero zaskarżyć w sądzie. Dotychczas było na odwrót: to niezadowolony z warunków zatrudnienia kierował do sądu pracy pozew o ustalenie stosunku pracy, a sprawy wlokły się latami. Teraz czas gra na korzyść pracowników.

ORGANIZACJE PRZEDSIĘBIORCÓW obawiają się, że nowe przepisy czynią otoczenie prawne „jeszcze bardziej nieprzewidywalnym" dla biznesu. Przedsiębiorcy oczywiście zdają sobie sprawę, że w reformie PIP jedyną nowością jest to, że państwo zamierza wreszcie poważnie traktować tworzone przez siebie przepisy Kodeksu Pracy. Jednak zapowiedzi zmian w traktowaniu samozatrudnienia nie spotkały się z jednoznacznym poparciem także wśród pracowników. Sondaże CBOS i SW Research pokazują, że w tej sprawie jesteśmy mocno podzieleni. Połowa jest jednoznacznie za zmianami. Druga nie wie, co o tym myśleć, lub je odrzuca – i miast kruszyć kopie o zakres nowych uprawnień PIP lepiej zastanowić się, dlaczego tak nas to polaryzuje.

Opodatkowanie pracy to oczywiście jeden z filarów życia publicznego. Podatki nie są jednak nienaruszalnym zestawem przykazań podarowanych wspólnocie na kamiennych tablicach. Mają służyć realizacji określonych celów ekonomicznych państwa (czyli *de facto* społecznych, bo żaden rynek nie działa bez ludzi). Nasz system podatkowy swój kształt zyskał tymczasem w latach 90. i na początku tego stulecia, czyli w czasach, gdy państwo walczyło o napływ kapitału, dążyło do pobudzenia przedsiębiorczości i próbowało zdusić bardzo wysokie bezrobocie. Minęły dekady, zmieniła się Polska i jej gospodarka, a fiskus nadal finansuje się bardziej z opodatkowania konsumpcji (VAT i akcyzy) aniżeli opodatkowania pracy.

Od średniej pensji wypłacanej na umowę o pracę osobie bezdzietnej państwo polskie pobiera w składkach i podatkach 35 proc. kwoty przeznaczonej przez pracodawcę na utworzenie tego etatu. Niższe obciążenie podatkowo-składkowe ma dziś jedynie sześć krajów UE. Więcej płacą m.in. Czesi, Węgrzy i Słowacy. Opowieść o łapczywym polskim fiskusie odbierającym ludziom ostatni grosz wraz z poczuciem sensu ciężkiej pracy można posłać między bajki bez powoływania się na przykład Belgii, która otwiera takie zestawienie (dane OECD Taxing Wages 2026).

ŁATWO NATOMIAST WSKAZAĆ, skąd biorą się te narzekania. Polski system podatkowo-składkowy obrósł wianuszkiem grupowych wyłączeń i preferencji, które sprawiają, że w łeb bierze poczucie solidaryzmu. Jeśli jesteś elektrykiem w kopalni, możesz przejść na emeryturę 15 lat wcześniej niż twój kolega z technikum, który po maturze wybrał gorzej niż ty i poszedł skręcać kable w fabryce. Jeżeli masz status rolnika, do twoich składek na ZUS dopłaci państwo, ale zapomnij o tym, jeśli w warzywniaku sprzedajesz ziemniaki. A gdy jesteś warszawską nauczycielką i poczułaś się źle, mogłaś trafić na SOR w Szpitalu Południowym, zarządzany przez młodego lekarza, który od faktur za „zrealizowane usługi medyczne" na ponad 1,6 mln zł płaci podatek według 14 proc. stawki ryczałtu. Ty natomiast z dużym prawdopodobieństwem wpadłaś w drugi próg i od części swoich zarobków odprowadziłaś już 32 proc. podatku. Według danych Ministerstwa Edukacji w ub. roku przytrafiło się to aż 36,1 proc. polskich pedagogów.

Ze słynnym już stołecznym doktorem łączy ich tylko jedno: też pracowali po godzinach. ©℗

eprasa.pl 48ee648283



Niedźwiedzie i my

MARCIN ŻYŁA

W górach znaleźli szczątki człowieka. W pobliżu były niedźwiedzie". Takim tytułem wabił w ostatni weekend Onet. Materiał dotyczył zdarzenia z Kolorado, ale clickbajtowe hasło skrojono pod rosnącą w Polsce internetową panikę przed największym drapieżnikiem Karpat. Te same zabiegi stosują inne portale.

Po tym, gdy w kwietniu na Pogórzu Bukowskim niedźwiedź zabił 58-letnią kobietę szukającą w trudno dostępnych ostępach zrzutów poroża – oraz w szczycie sezonu turystycznego w Tatrach, gdy ludzie publikują w sieci filmy z „podchodzącymi" do nich zwierzętami – takie newsy przynoszą wydawcom zysk. Ilustrowanie ich wizerunkami niedźwiedzi z obnażonymi kłami stworzonymi przez AI, a nawet językowa zmiana nastawienia do myśliwych („są bezradni" – pisze inny portal w informacji z Finlandii), potęgują lęk. Podchwycili go też regionalni politycy, co zaczęło działać na niekorzyść niektórych biznesów – w wielu miejscach Bieszczad masowy ruch turystyczny ma wciąż charakter sezonowy.

Dobre zmiany przynosi podpisana w czerwcu przez prezydenta nowelizacja ustawy o ochronie przyrody oraz zainaugurowany w lipcu projekt ochrony niedźwiedzi w województwach małopolskim i podkarpackim, gdzie żyje zdecydowana większość tych zwierząt. Przepisy pozwolą służbom na płoszenie podchodzących do domów niedźwiedzi przy pomocy gumowej amunicji. To rozwiązanie, które sprawdza się np. w Słowacji – zwierzęta szybko uczą się kojarzyć ból z miejscem, w którym go poczuły. W Polsce mają się tym zająć specjalne grupy interwencyjne. Jeśli będą działać z takim samym znawstwem jak organizowane dotąd przez pracowników TPN (problem szukających jedzenia w śmietnikach niedźwiedzi znają od lat mieszkańcy Kościeliska i Zakopanego), jest szansa, że mieszkańcy Karpat poczują się bezpieczniej.

To jednak mało – w informowanie o ruchu niedźwiedzi, prewencję i edukację powinni włączyć się leśnicy i samorządy. Na razie jest chaos. Umieszczanie przez Lasy Państwowe przy szlabanach tabliczek „Uwaga niedźwiedzie" przypomina ostrzeganie przed tym, że na drogach jeżdżą samochody – komunikaty powinny pojawiać się w rejonach, gdzie faktycznie zauważa się niedźwiedzie. To nie organizacje ochrony zwierząt, lecz gminy powinny też zadbać o takie śmietniki, których niedźwiedzie nie otworzą. A co z liczebnością zwierząt? Zdaniem cytowanego przez PAP dr. Wojciecha Śmietany z Fundacji Przyroda i Nauka populacja niedźwiedzi rośnie o kilka procent rocznie, jest jednak trzykrotnie mniejsza od oficjalnych statystyk. W lesie zmienia się niewiele. ©



GRZEGORZ MOMOT / PAP

Niedźwiedzie w Kuźnicach, w pobliżu drogi do stacji kolejki na Kasprowy Wierch, 12 kwietnia 2025 r.



Olimpijski test

FILIP RUDNIK

Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOI) anulował zawieszenie Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego. Tym samym rosyjscy sportowcy są o krok bliżej do występu na letniej Olimpiadzie w Los Angeles w 2028 r. Tam, przynajmniej w założeniu, będą wspólnie z innymi krzewić olimpijską ideę: łączenie ludzi ponad podziałami w ramach rywalizacji *fair play*.

MKOI zawiesił Rosjan w 2023 r., a przyczyną było wchłonięcie w struktury rosyjskiego komitetu ukraińskich terytoriów okupowanych. Co się odtąd zmieniło? Rosyjscy działacze przeformułowali strukturę komitetu: teraz opiera się na zrzeszeniach konkretnych dyscyplin, tracąc terytorialny charakter. W istocie nie zmieniło się więc nic. Sportowcy z okupowanych terenów (zwłaszcza z Donbasu) nadal reprezentują Rosję, a ta bombarduje ukraińskie miasta. MKOI dostał więc prawną fikcję jako pretekst do odwieszenia.

Wybrana w 2025 r. na przewodniczącą MKOI, zimbabwejska pływaczka Kirsty Coventry w lutym stwierdziła, że wszyscy sportowcy powinni zostać dopuszczeni do rozgrywek, nie bacząc na politykę ich rządów. Była to wyraźna aluzja do statusu Rosjan. Postawa szefowej dała więc wymierny rezultat.

MKOI zastrzega teraz, że nie podjął jeszcze decyzji w sprawie dopuszczenia rosyjskiej flagi i hymnu na olimpiadzie; podkreśla też konieczność weryfikacji sportowców pod kątem dopingu (pierwsze restrykcje na Rosjan wprowadzono właśnie przez aferę dopingową w 2014 r.). I choć przywrócenie Rosjan do konkretnych dyscyplin leży w gestii międzynarodowych federacji, to decyzja MKOI zachęca do seryjnego ich przywracania. Takie decyzje podjęto już m.in. w szermierce, judo i siatkówce.

Publiczne torpedowanie odwieszenia Rosjan nie jest trudne. Agresja na Ukrainę wciąż trwa, „restrukturyzacja" rosyjskiego komitetu to manipulacja, a sam sport w Rosji jest wprost fundowany przez armię. O tym należy pamiętać. Problem w tym, że igrzyska w Los Angeles będą stanowić prestiżowe ukoronowanie drugiej kadencji Trumpa. Wysłannik prezydenta USA ds. globalnych partnerstw, Paolo Zampolli, poparł powrót Rosjan do międzynarodowych rozgrywek. Im więcej sportowców, tym większy splendor...

Ta polityczna wola – wraz z rewizją postawy MKOI – składa się więc na poważny test dla tych polityków i działaczy, którzy nie odwracają wzroku od rosyjskiej agresji. ©

eprasa.pl 48ee648283

Kultura to sieci i sloty



MAŁGORZATA SZUMNIAK / SOUL ART / MATERIAŁY PRASOWE

Slot Art Festival w Lubiążu

FESTIWALE ▪ Narodowe Centrum Kultury ma w swojej ofercie kilka bardzo ciekawych publikacji dotyczących różnych aspektów pracy w kulturze. Wydane właśnie „Pomosty animacji" stawiają na przykład szereg pytań o to, w jaki sposób kultura może wspierać zdolność budowania relacji w czasach, które umacnianiu więzi niekoniecznie sprzyjają.

W „Pomostach..." znajdziemy teksty praktyków – osób zaangażowanych w działania na rzecz lokalnych społeczności. Autorką jednego z nich jest Aleksandra Zając, dyrektorka programowa odbywającego się od ponad 30 lat w Lubiążu Slot Art Festiwalu. Slot to przedsięwzięcie z różnych względów szczególne. Co roku prawie połowa jego uczestników to wolontariusze – jest ich ok. 2 tys. To także prawdopodobnie największy „sober festiwal" w Polsce (na terenie wydarzenia obowiązuje zakaz spożywania alkoholu i środków odurzających). Zachowanie trzeźwości ma zapewnić autentyczną obecność, której (skądinąd także bez alkoholu) coraz częściej nam brakuje. Slot różni się także od innych festiwali tym, że zachęca uczestników do współtworzenia przestrzeni oraz programu. Na terenie Opactwa Cystersów każdego roku w lipcu powstaje coś w rodzaju wioski: festiwalowicze uczą się wzajemnie nowych rzeczy i dyskutują, zamieszkując sąsiadujące namioty.

Kiedy piszę ten tekst, kończy się kolejna edycja Slotu, ale w najlepsze trwają Góry Literatury organizowane przez Fundację Olgi Tokarczuk. Za chwilę rozpocznie się podkarpacki Young Arts Festival, potem z kolei, tym razem na Warmii, ruszy Slavia Festival. Jeśli przejrzeć kalendarz, okaże się zresztą, że każdego dnia wakacji można zostać uczestnikiem kulturalnej imprezy (turystyka festiwalowa uznawana jest skądinąd za jeden z najszybciej rozwijających się segmentów turystyki kulturowej w Polsce). W 2025 r. zorganizowano – jak podaje GUS – 7 tys. tego rodzaju imprez, które zgromadziły ponad 30 mln uczestników (2,5 mln więcej niż w roku 2024). Z kolei domy kultury, kluby i świetlice zorganizowały nam łącznie 290 tys. powodów do spotkań (też więcej niż rok wcześniej), a na co dzień utrzymują działalność 27 tys. różnego rodzaju kół, klubów i sekcji (tu także obserwujemy z roku na rok większe zainteresowanie).

Wszystko to pokazuje, że my po prostu lubimy się spotykać i wspólnie świętować. Nic dziwnego, że w ostatnich latach częściej mówi się o kulturze właśnie jako o procesie, na który wpływ ma przede wszystkim siła naszych więzi. Kultura jest czymś, co (jak czytamy w publikacji NCK) „powstaje w relacji między ludźmi, instytucjami i technologiami", zaś uczestnictwo w kulturze jest działaniem, które „każdorazowo przekształca tę sieć powiązań".

Pozostaje sobie życzyć, żebyśmy z wakacji przywieźli to doświadczenie, przeszczepiając je następnie na nasze dzielnice i osiedla.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

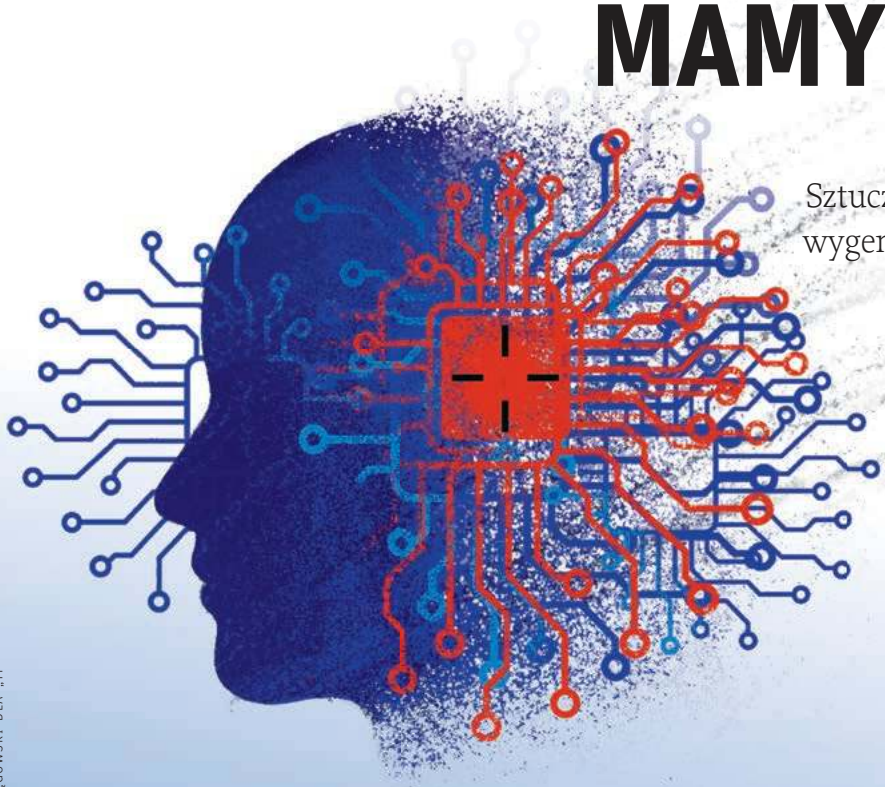
eprasa.pl 48ee648283

TEMAT TYGODNIKA

MAMY DOŚĆ AI

Sztuczna inteligencja najskuteczniej wygenerowała rozczarowanie i bunt wobec technologii. Przoduje w tym zwłaszcza pokolenie Zet.

SYLWIA CZUBKOWSKA



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"



eprasa.pl 48e

Kiedy były dyrektor generalny Google Eric Schmidt pojawił się na uroczystości wręczenia dyplomów na Uniwersytecie Arizony, oczywiste było, że wygłosi – jak i inni biznesmeni czy politycy w podobnych przypadkach – gładkie przemówienie o przyszłości i szansach. Jednak przy słowach, że „transformacja technologiczna" wywołana przez sztuczną inteligencję będzie „większa, szybsza i bardziej doniosła niż to, co było wcześniej", zamiast oklasków usłyszał buczenie i zobaczył studentów ostentacyjnie wychodzących z sali.

Gdy kilka tygodni temu okazało się, że AI wykorzystano do wygenerowania efektów specjalnych, scen i obrazów w nowym teledysku Dawida Podsiadły, spotkało się to z gwałtowną reakcją fanów, grafików i ilustratorów. Artystę gremialnie zbesztano za *AI slop*, który odbiera ludziom pracę.

A przecież jeszcze w listopadzie 2024 r., gdy prof. Andrzej Dragan zrobił dla Quebonafide teledysk do utworu „Futurama 3", w dużych dawkach używając generatywnego AI do stworzenia i elementów scenograficznych, i surrealistycznych, glitchowych wizuali, zachwyty sypały się gęsto. W kwietniu 2025 r. klip zdobył Fryderyka za teledysk roku.



We Francji, po tym jak Orange wdrożył narzędzia AI do geolokalizacji i automatycznego organizowania harmonogramów oraz interwencji serwisowych, zamiast zachwytów, jak bardzo jest nowoczesną firmą, oberwał strajkiem. Telekomunikacyjnemu gigantowi zarzucono m.in., że nowe systemy będą prowadzić do stałego monitorowania pracowników i rozwoju kultury „zarządzania przez algorytm".

Jeszcze na dobre nie zadomowiła się generatywna AI, jeszcze nie doszło do naprawdę masowych wdrożeń automatyzacji w usługach, jeszcze nie widać powszechnego zastępowania ludzkiej pracy przez AI... a już zaczęła wzbierać fala sprzeciwu.

Dolina niesamowitości

Nie ma dobrego tłumaczenia angielskiego słowa „backlash". A szkoda, bo właśnie taki „backlash", czyli opór, niechęć i bunt wobec AI, big techów i nieposkromionego rozwoju technologii rozlewa się przez świat i dochodzi też do Polski.

Odpowiedzialne za to zjawisko są zaś giganty technologii i ich szefowie, którzy tak mocno pompowali balonik wokół sztucznej inteligencji – i tak gorliwie zapowiadali przejmowanie przez nią ludzkiej pracy – że w miejsce zachwytów zgotowali sobie niechęć i protesty.

Dowody, że ludzie mają dość, się mnożą: koktajl Mołotowa rzucony w dom założyciela OpenAI Sama Altmana, strzały oddane w kierunku domu radnego z Indianapolis, który poparł budowę centrum danych – i w ogóle fala protestów przeciwko tworzeniu kolejnych centrów danych, sprawiająca, że straty są liczone w dziesiątkach miliardów dolarów. „Wall Street Journal" pisze, że w momencie, gdy czołowe firmy sektora – OpenAI i Anthropic – przygotowują się do debiutów giełdowych, „jedyną rzeczą, która rośnie szybciej niż branża sztucznej inteligencji, są negatywne uczucia Amerykanów wobec niej".

Ale nie tylko Amerykanie zaczynają czuć znużenie technologią, która na razie więcej kosztuje, niż przynosi korzyści. U nas odbiciem tego zjawiska było oburzenie wobec wiadomości, że Olga Tokarczuk „rozmawia" z Chatem GPT podczas pisania książek, a Filip Springer generuje ilustracje w prowadzonym przez siebie serwisie, bo nie stać go na pracę ludzkich grafików.

Na początku roku ponad tysiąc brytyjskich muzyków, w tym Annie Lennox i Kate Bush, wydało „cichy album" w proteście przeciwko planowanym przez rząd Wielkiej Brytanii zmianom legislacyjnym. Nowe przepisy mogłyby ułatwić firmom technologicznym trenowanie modeli na utworach chronionych prawem autorskim bez uzyskania licencji, bo deweloperzy mogliby automatycznie wykorzystywać twórców tak długo, aż posiadacze praw autorskich zażądaliby ich wyłączenia.

Ale nie jest tak, że oburzają się tylko twórcy. Chodzi też o zjawisko naturalne, związane z dawno opisanym fenomenem „doliny niesamowitości", czyli obrzydzenia i dyskomfortu, jakie budzą w człowieku obiekty, które wyglądają niemal jak ludzkie, ale jednak ludzkie nie są.

Dyskomfort coraz powszechniej budzi wszystko, co nazywa się AI i z rozwojem AI jest związane.

Jak zrazić do siebie ludzi...

Niedawny sondaż amerykańskiej stacji NBC ujawnił interesującą tendencję: aż 46 proc. Amerykanów ma negatywny stosunek do sztucznej inteligencji (pozytywny wyraziło jedynie 26 proc.). Co więcej: 57 proc. respondentów uważa, że ryzyko związane z AI przewyższa ewentualne korzyści.

To wyraźny odwrót od historycznego optymizmu tego społeczeństwa wobec nowych technologii. Jeszcze w 1999 r., gdy internet był nowością, badania pokazywały ekstremalnie pozytywne nastawienie do komputerów, zwłaszcza wśród tych, którzy już z nich korzystali. W 2015 r., gdy media społecznościowe były u szczytu popularności, aż 71 proc. Amerykanów uważało, że firmy technologiczne mają pozytywny wpływ na kraj.

Dziś Amerykanie z entuzjastów technologii stali się jednymi z największych sceptyków. Międzynarodowe badanie przeprowadzone przez Pew Research na grupie 24 tys. dorosłych w 30 krajach pokazało, że obywatele niemal każdego innego kraju postrzegają AI bardziej pozytywnie niż mieszkańcy USA. ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ Niepokój rozlewa się jednak po całym Zachodzie. W Polsce odsetek zaniepokojonych rozwojem AI (37 proc.) jest ponad dwa razy większy niż tych nastawionych optymistycznie (15 proc.). I widać to nie tylko w badaniu Pew Research: ze świeżutkiego Bosch Tech Compass wynika, że blisko połowa polskiego społeczeństwa widzi w AI zagrożenie, a jedynie 42 proc. czuje się przygotowanych do funkcjonowania w nowej erze.

To zaskakujące zjawisko. Przecież AI, nawet ta generatywna, wciąż jest rozwijana, wciąż dużo ciekawego wokół niej się dzieje. „Ludzie zwykle uważają nową technologię za ekscytującą. Tak było z elektrycznością, rowerami, samochodami. Były obawy, ale i nadzieje. AI wyróżnia się brakiem entuzjazmu i jest w tym coś unikalnego" – mówił w „New York Timesie" William Quinn, współautor książki „Boom and Bust: A Global History of Financial Bubbles".

– Jest kilka powodów tej narastającej niechęci, ale wszystkie są efektem tego, jakie narracje marketingowe rozkręcały wokół AI korporacje, niektórzy naukowcy i tzw. liderzy opinii – mówi Iwo Zmyślony, doktor filozofii, wykładowca studiów MBA Uczelni Łazarskiego i autor podkastu Limity AI. – Najbardziej negatywnie zadziałały opowieści o tym, jak to AI lada moment zrówna się z człowiekiem i zacznie go zastępować. Przecież tak mówili poważni profesorowie, przestrzegał przed tym zakładany onegdaj m.in. przez Elona Muska Future of Life Institute, głosili to szefowie big techów, więc ludzie naprawdę zaczęli w to wierzyć.

Noblista Paul Krugman w substackowym wpisie zatytułowanym po prostu „Dlaczego wszyscy nienawidzą AI" pisze bez ogródek, że ten *anty-AI backlash* nie jest „normalnym sceptycyzmem wobec zmian". A najważniejsze jest zrozumienie, że w dużej mierze wytworzyła go sama podkręcająca nastroje branża.

Arvind Narayanan i Sayash Kapoor, naukowcy z Princeton i autorzy książki „Sztuczna inteligencja. Złudne obietnice, realne możliwości", o tym zjawisku piszą „szum" i ostrzegają, że jest niebezpieczne i niepotrzebne. Niebezpieczne, bo odwraca uwagę od ewentualnych ryzyk we wdrażaniu usług i rozwiązań opartych na AI, które w najlepszym przypadku będą po prostu rozczarowaniem, a w najgorszym mogą kosztować życie, np. gdy dotykają kwestii medycznych. A niepotrzebne, bo technologie wokół sztucznej inteligencji naprawdę mogą rozwijać się w sposób zarówno ciekawy naukowo, jak służebny dla ludzkości.

Od premiery Chata GPT pod koniec 2022 r. trwa jednak festiwal obietnic, czego to AI nie zdziała, a równocześnie ostrzeżeń, jak jest ryzykowna. Przykłady? Prezes Anthropic Dario Amodei oświadczył, że AI może wyeliminować połowę miejsc początkujących pracowników biurowych i umysłowych, a w związku z tym podnieść bezrobocie do 20 proc. w ciągu pięciu lat. Takie opowieści to – argumentował Krugman – konkretna finansowa strategia: olśnić inwestorów, przestraszyć firmy, by szybko adoptowały technologię, i zapewnić finansowanie.

Plan zadziałał aż za dobrze. Pieniądze płyną, rząd USA chroni swoje big techy, kolejne firmy inwestują ogromne środki we wdrażanie AI. Tylko ludzie jakoś się nie cieszą.

...i stracić przyjaciół

– Usłyszeli te wszystkie alarmistyczne głosy o przyszłości ludzkości i tak się przestraszyli, że zaczęli negatywnie reagować na technologię. Za czym oczywiście stoi też to, jak bardzo jest nietransparentna i w jak skomplikowany, zaciemniający sposób jest przedstawiana – tłumaczy dr Zmyślony.

Biznes technologiczny dopiero teraz zauważa, co sam ugotował. „Dziś AI nie jest już postrzegane jako droga do zwiększania produktywności czy platforma nowych narzędzi wspierających ludzi. To coś, co jest »robione tobie – twojej pracy, twojej twórczości, twojemu zawodowi, twojej przyszłości« – przez kogoś, kto zapowiedział, że po to przychodzi" – pisze Krugman.

Ludzie więc są zmuszani do używania sztucznej inteligencji i przez pracodawców, i przez platformy, które zastępują istniejące wcześniej produkty produktami z AI. W miejsce wolności od żmudnych obowiązków pojawiają się nowe zadania.

W dodatku po miesiącach rozbudzonych nadziei zaczyna się powoli rozliczanie z efektów. W końcu technologiczni giganci i inwestorzy *venture capital* wpompowali w firmy AI setki miliardów dolarów. A wyniki nie oszałamiają.

Z analizy opublikowanej przez amerykańskie National Bureau of Economic Research wynika, że 90 proc. z prawie 6 tys. przebadanych dyrektorów generalnych, dyrektorów finansowych i innych członków kadry kierowniczej wyższego szcze-

REKLAMA



eprasa.pl 48ee648283



MATERIAŁY PRASOWE

Popkultura też nie lubi technologii

ANTYTECHNOLOGICZNE NASTROJE coraz wyraźniej przebijają się do popkultury. Akcja filmu „Eddington" z 2025 r., z Joaquinem Phoenixem (na zdjęciu), Pedro Pascalem i Emmą Stone w rolach głównych, rozgrywa się w małym, fikcyjnym miasteczku w Nowym Meksyku w czasie pandemii covid-19. Jednym z centralnych wątków jest plan budowy ogromnego centrum danych przez potężną firmę technologiczną. Inwestycja budzi gniew lokalnej społeczności.

W PIERWSZYCH ODCINKACH nowego sezonu hitowego serialu „9-1-1" pojawia się z kolei postać Trippa Hausera. Ten ekscentryczny miliarder i szef firmy technologicznej oferuje m.in. komercyjne loty w kosmos. W jeden z nich wysyła swoją narzeczoną wraz z grupą celebrytów. Przed siedzibą jego firmy protestują demonstranci z transparentami „Eat the rich", podczas gdy sam Hauser prowadzi wideokonferencję z zarządem surfując na oceanie i w trakcie rozmowy zostaje niespodziewanie… połknięty przez wieloryba. Ani podobieństwa Trippa do Bezosa i Muska, ani metafora „zjedzenia bogacza" nie są przez scenarzystów podawane ze szczególną subtelnością.

TAKICH WĄTKÓW w książkach, filmach i serialach jest zatrzęsienie. Technologie, a zwłaszcza AI, oraz samych techoverlordów przedstawia się w coraz bardziej krytycznym, często wrogim świetle. To nie przypadek. Popkultura jest przecież lustrem społecznych lęków, frustracji i buntu. © SC

bla w firmach w USA, Wielkiej Brytanii, Niemczech i Australii stwierdziło, że AI nie miało żadnego wpływu na produktywność ani zatrudnienie. Dla jasności: pytanie dotyczyło ogólnego wpływu AI, a nie tylko wdrożenia go w miejscu pracy. Ale jako że ok. 70 proc. przebadanych firm zapewnia, iż aktywnie korzysta z AI, oznacza to, że zdecydowana większość przyznaje, iż wdrożenie tej technologii właściwie niczym u nich nie zaowocowało.

Świat biznesu mimo wszystko trzyma się nadziei, że obietnice sztucznej inteligencji w końcu się spełnią. Niedawne badanie firmy doradczej Section, wykonane wśród 5 tys. pracowników umysłowych w USA, Wielkiej Brytanii i Kanadzie, pokazuje wyraźną różnicę między tym, jak korzyści z AI w pracy postrzega kadra zarządzająca, a jak pracownicy. Kiedy ponad 40 proc. członków kierownictwa twierdzi, że technologia pozwala im zaoszczędzić ponad osiem godzin tygodniowo, to dwie trzecie pracowników niepełniących funkcji kierowniczych deklaruje, że AI oszczędza im mniej niż dwie godziny tygodniowo lub nie oszczędza wcale. Za to opisuje AI jako źródło stresu i narzędzie trudne do właściwego wykorzystania, bo… no cóż, treści przez nią wygenerowane wymagają sprawdzenia, poprawienia lub całkowitego przerobienia.

Dlaczego tak się dzieje, nie jest tajemnicą. Już w latach 80. noblista Robert Solow przewidział, że nadejście technologii informacyjnej nie doprowadzi do mierzalnego skoku produktywności, lecz raczej do spowolnienia jej wzrostu. Zjawisko to jest dziś znane jako paradoks Solowa: choć komputery były ewidentnie transformacyjne dla całych społeczeństw, nie przełożyły się natychmiast na zyski ekonomiczne.

O tym paradoksie jednak branża technologii nie chce pamiętać i od szacowania na zimno szans – jak w raporcie Goldman Sachs pisze noblista Daron Acemoğlu – woli budowanie narzędzi, które mają zastępować ludzkich pracowników, zamiast uzupełniać i ułatwiać im pracę. „Jeśli rzeczy będą kontynuowane tak jak teraz, spodziewałbym się większych strat miejsc pracy w ciągu najbliższych 10-15 lat. Branża wie, że są inne drogi, ale uparcie wybiera tę samą ścieżkę" – ocenia Acemoğlu.

Zetki nie są zachwycone

Najwięcej frustracji jest wśród tych, którzy teoretycznie powinni być najbardziej zachwyceni skokiem technologicznym: wśród młodych. I nic dziwnego: to ich przyszłość – szczególnie zawodowa – jest najbardziej zagrożona automatyzacją i zwolnieniami.

Pokolenie Zet jest pierwszym, które w całości dorastało w świecie technologii cyfrowej. Mimo to (a może właśnie dlatego) niektórzy młodzi ludzie stają się coraz bardziej krytyczni wobec wszechobecności tejże technologii. Badanie Pew Research pokazało, że w 2024 r. 48 proc. amerykańskich nastolatków stwierdziło, iż media społecznościowe mają negatywne skutki dla osób w ich wieku. To poważny wzrost: z 32 proc. w 2022 r.

A we wspomnianym wcześniej badaniu NBC także i sztuczna inteligencja osiągnęła wśród osób w wieku 18-34 lata dramatycznie ujemny bilans: minus 44 punkty.

Dominika Lasota, działaczka klimatyczna i współzałożycielka Inicjatywy Wschód, w swojej książce „Odwagi! [o zaangażowaniu młodych]" nie dotyka bezpośrednio tematyki technologii, a jednak pisze tak: „Wielowymiarowy chaos, w którym tkwimy, jest efektem systemu polityczno-gospodarczego, który stawia na zyski niewielu kosztem godnego życia większości. Najczęściej w mediach nazywają go kapitalizmem, choć właściwsze ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ byłoby określenie w rodzaju »turbokapitalizm w techno-faszystowskim ubraniu«, jeśli wziąć pod uwagę całą technologiczną i ludobójczą otoczkę, która rozkręciła go do granic naszej zbiorowej wytrzymałości".

I tym właśnie, czyli wypaczeniem kapitalizmu, w oczach buntujących się Zetek jest wielki przemysł technologiczny.

– Kiedy pisałam tę książkę na przełomie 2025 i 2026 r., celowo odcinałam się od kwestii związanych z technologiami. Nie chciałam tego dotykać, wydawało mi się to odległe. Teraz jednak coraz wyraźniej widzę, jak bardzo te zagrożenia i wyzwania są nam bliskie – mówi Lasota. I dodaje: – Zagubienie, wręcz przerażenie tą sytuacją dopiero rośnie. Widzę wśród moich znajomych, że teraz do nich dociera, z jak złożonymi technologiami mamy do czynienia i jakie to może nieść konsekwencje choćby dla pracy, a raczej jej braku.

W Polsce trend anty-AI wśród młodych również staje się więc widoczny. Najnowsza edycja badania „AI Barometr 2026", przygotowanego przez Zymetrię w kooperacji z Onetem, wskazuje, że odsetek osób w wieku 18-31 pozytywnie nastawionych do AI spadł w zaledwie kilka miesięcy z 64 proc. do 42 proc.

Jak pokazuje badanie Pollster, AI nie pomaga też w budzeniu nadziei na lepszą przyszłość. 45 proc. młodych Polaków w wieku 18-29 lat postrzega przyszłość negatywnie, 25 proc. neutralnie, a 30 proc. pozytywnie. Po dodaniu kontekstu AI: 34 proc. negatywnie, 41 proc. neutralnie, 25 proc. pozytywnie. Intuicyjnie mogłoby się wydawać, że AI poprawiła wyniki, bo spada procent z negatywnymi wizjami, ale – jak piszą autorzy badania – duży wzrost ocen neutralnych to nie optymizm, tylko niepewność. AI nie skłania młodych do bardziej pozytywnego myślenia o przyszłości, tylko powoduje, że proste podziały na optymizm i pesymizm przestają być wystarczające.

Zetki są więc coraz bardziej zagubione. Obawy o przyszłość w świecie, w którym technologie są reklamowane jako alternatywa dla człowieka, łączy się u nich z niechęcią do miliarderów, którzy, jak mówi Lasota: „stają się nowymi twarzami wielkiego systemu militarno-inwigilacyjnego", i ze zmęczeniem tym, jak bardzo technologie „nie dowożą" obietnic.



DOMENA PUBLICZNA

Kim byli luddyści

GDY NADESZŁA rewolucja przemysłowa, przedsiębiorcy zaczęli masowo wprowadzać maszyny – takie jak przędzarki czy mechaniczne krosna – by usprawnić produkcję i przenieść ją do fabryk. Oznaczało to obniżenie kosztów pracy, ponieważ maszyny mogły być obsługiwane przez niewykwalifikowanych pracowników (w tym dzieci).

ÓWCZEŚNI PRZEMYSŁOWCY, realizując dzisiejsze motto gigantów technologii: „move fast and break things", ignorowali jednak prawo. Obniżali ceny, opanowywali rynki i wypychali z interesu wykwalifikowanych rzemieślników. Tkacze, których zarobki spadały na łeb na szyję, zorganizowali więc kampanię, by zmusić brytyjski parlament do działania. Domagali się płacy minimalnej, wypłat w gotówce i przestrzegania już istniejących praw. Zostali zignorowani.

PO LATACH bezskutecznych negocjacji, nie mogąc wyżywić rodzin, w 1811 r. w Nottingham (ewidentnie czerpiąc z legendy Robin Hooda), rozpoczęli więc bunt. Zorganizowali się pod sztandarem fikcyjnego Neda Ludda (na rycinie z 1812 r.), czyli czeladnika, który w złości rozbił krosno i uciekł do lasu Sherwood.

„ARMIA" LUDDA atakowała fabryki i rozbijała maszyny, które odbierały jej pracę. Ludzie wiwatowali na jej cześć na ulicach, w pubach śpiewano o niej pieśni, a lord Byron pisał wiersze. Była tak skuteczna, że w Anglii ogłoszono stan wyjątkowy i wysłano przeciwko niej wojsko. W efekcie dziesiątki luddystów zostało powieszonych, a wielu zginęło w zamieszkach. Ruch wygasł, zostawiając po sobie czarną legendę o zacofanych robotnikach walczących z technologią.

Dziś jednak tę historię można napisać na nowo.
© SC

– Nasze pokolenie wrodziło się w internet, w smartfony, w media społecznościowe, a mimo to nostalgicznie wspominamy, jak ten internet kilkanaście lat temu był o wiele bardziej beztroski niż w czasach ultrakapitalistycznych mechanizmów zarabiania i targetowania – opowiada Lasota. I dodaje: – Coraz lepiej wiemy, że technologia jest tak zaprojektowana, by separować nas i osłabiać, zamiast wzmacniać i łączyć. Sami nie wiemy, jak sobie z tym poradzić, jak odbudowywać więzi i kanały komunikacji, więc organizowanie się staje się coraz trudniejsze. Musimy walczyć z algorytmami, które działają przeciwko nam – podkreśla aktywistka.

Lato luddystów

Ta walka, o której mówi Lasota, nie jest już tylko metaforyczna. Pod koniec czerwca grupa studentów i aktywistów zorganizowała w Nowym Jorku wielotygodniową serię wydarzeń pod nazwą Summer of Ludd, czyli Lato Luddystów [patrz ramka – red.]. Do ich propagowania nie używano platform cyfrowych – wszystko niosło się zinami, naklejkami,

eprasa.pl 48ee648283

ulotkami oraz po prostu z ust do ust. Organizatorzy koncentrowali się na praktycznych mechanizmach organizowania oporu. Wśród tematów znalazły się m.in.: jak zorganizować protest przeciwko budowie centrum danych, jak naprawiać rzeczy, zamiast kupować nowe, „jak zostawić Spotify" i dlaczego GenAI jest do bani. Wszystko skupione na budowaniu prawdziwej wspólnoty w nawiązaniu do historycznych luddystów.

I nie jest to wcale wyjątkowe nawiązanie. Gdy demokratyczny senator Bernie Sanders zaproponował moratorium na budowę nowych centrów danych AI, „Washington Post" porównał go do luddysty, a konserwatywny publicysta Ben Shapiro nazwał krytykę AI przez Sandersa „luddystycznym, antytechnologicznym nonsensem".

Brian Merchant, autor świetnej książki „Krew w maszynie", w swoim newsletterze pisze wprost: „W miarę jak rośnie fala oporu wobec big techu, centrów danych i AI, trwa reewaluacja luddystów". Przez „reewaluację" Merchant rozumie nie tylko pierwsze w historii tak masowe i otwarte odwoływanie się do XIX-wiecznego ruchu oporu wobec technologii wykorzystywanej przeciwko ludziom, ale także odkrywanie, kim luddyści tak naprawdę byli.

Bo najpowszechniej „luddysta" oznacza: antytechnologiczny, naiwny, zacofany i antypostępowy. Dokładnie w taki sposób luddystów postrzegano przez ostatnie 200 lat, nie tylko na Zachodzie. Teraz jednak okazuje się, że ci „niszczyciele maszyn" wcale nie byli wrogami technologii jako takiej. Sprzeciwiali się jedynie wykorzystywaniu technologii przeciwko nim.

> Odsetek osób w wieku 18-31 lat pozytywnie nastawionych do AI spadł w zaledwie kilka miesięcy z 64 proc. do 42 proc.
>
> dane: Zymetria/Onet

A jeśli dziś legenda wraca, to odczytywana tak, jak opisuje ją Merchant, czyli ruch, który walczył z patologiami kumulacji kapitału. I tak jak oryginalni luddyści, neoluddyści nie domagają się całkowitego odrzucenia technologii. Chcą po prostu mieć wpływ na to, jak jest wprowadzana, kto na niej zyskuje, a kto traci.

A gdyby ktoś chciał potraktować historię jak nauczycielkę, powinien z neoluddystami zacząć negocjować zamiast czekać na wybuch skumulowanego społecznego niezadowolenia. Chyba że wpisanie antytechnologicznych działań przez FBI na listę ruchów ekstremistycznych jest pierwszym krokiem do tego, by z tamtej historii odwołać się tylko do tłumienia społecznego niezadowolenia.

Czy neoluddyści zostaną ponownie sprowadzeni do zacofanych naiwniaków, a w imię postępu będzie trwało pompowanie technologii w takim kształcie, jaki sobie korporacje wymyślają?

– Najgorszym scenariuszem będzie to, że te wszystkie obietnice, slogany i zapowiedzi mogą się okazać po prostu cyniczną metodą na skorzystanie ze społecznych skutków takiego wdrażania technologii – zamyśla się Iwo Zmyślony i wymienia: – Mam na myśli polaryzację, deskilling pracowników i młodych ludzi, którzy przecież zewsząd słyszą, że studiowanie nie ma sensu, i wreszcie uzależnienie całych gałęzi gospodarki od dostawców rozwiązań AI, którym kolejne firmy przekazują dziś w ramach „optymalizacji" swoje procesy i *know how*.

– Za kilka lat okaże się, że nie da się już robić nauki, edukacji, polityki bez tych narzędzi, bo nawet wpisu na X polityk sam nie potrafi napisać – ponuro przewiduje autor podkastu Limity AI.

© SYLWIA CZUBKOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Jacek Napora, Anna Pietrzykowska, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 48ee648283

KRAJ

TEATR W GRONOSTAJACH

Życie na polskich uczelniach toczy się na niby.
Wspólnota akademicka została rozbita, a po korytarzach hula wiatr.
Robimy to samo co kiedyś, choć dawno straciło to większy sens.

MARCIN KĘDZIERSKI



eprasa.pl 48ee648283

Pod koniec czerwca media społecznościowe obiegła grafika, na której prezentowano wyniki badań OECD, poświęconych kompetencjom studentów w zakresie liczenia i czytania ze zrozumieniem. W przypadku matematyki aż 15 proc. naszych studentów nie uzyskało podstawowego poziomu, przy średniej tej wartości 9 proc. dla państw rozwiniętych. Gorzej od nas wypadły jedynie Izrael, Włochy, USA i Słowacja. To jednak nic w porównaniu do badania umiejętności czytania ze zrozumieniem, czego nie potrafi co piąty student w Polsce. W tym niechlubnym rankingu jesteśmy w skali OECD liderem.

Dane te wzbudziły lawinę komentarzy moich koleżanek i kolegów po fachu, którzy nie od dziś utyskują na niskie kompetencje bazowe swoich studentów. Pracując na uczelni od prawie 20 lat, nauczyłem się jednak tego nie robić. Po pierwsze, zawsze warto najpierw ocenić własne kompetencje. Po drugie, więcej niż o samych studentach, badanie mówi o jakości systemu edukacji na wcześniejszych etapach. Po trzecie, na przestrzeni ostatnich lat byliśmy świadkami procesów wpływających znacząco na strukturę rekrutacji.

Zupełnie inne szkoły

Dzisiejsza Polska wciąż charakteryzuje się dość wysokim współczynnikiem skolaryzacji netto, czyli odsetkiem studentów w grupie wiekowej 19-24 lata. Współczynnik ten w ciągu ostatnich 15 lat spadł jednak wyraźnie: z 40,8 proc. do 34,1 proc.

Wraz z postępującym kryzysem demograficznym polskie uczelnie stały się bardziej otwarte na cudzoziemców. Jeszcze w 2010 r. ich udział ledwo przekraczał 1 proc., obecnie zbliża się powoli do 10 proc. Ponad połowa z nich pochodzi z Ukrainy i Białorusi, i w wielu przypadkach osoby te kształcą się na kierunkach prowadzonych w języku polskim, nie dysponując odpowiednimi kompetencjami w tym zakresie. Trudno się zatem dziwić, że mają problem z czytaniem po polsku ze zrozumieniem.

Dodatkowo na przestrzeni ostatnich lat ze szkół wyższych w naszym kraju zniknęła część polskich studentów charakteryzujących się wysokim poziomem kompetencji – szybki proces bogacenia się naszego społeczeństwa otworzył przed wieloma absolwentami szkół średnich drzwi do lepszych uczelni za granicą. Nie dysponujemy dokładnymi danymi, ale nawet dowody anegdotyczne wskazują, że mamy do czynienia z wyraźnym trendem, zwłaszcza wśród wielkomiejskiej klasy średniej i wyższej.

To jednak wyłącznie mały wycinek zmian, które dotknęły uczelnie. Bez większego ryzyka można stwierdzić, że choć uniwersytety wyglądają tak samo jak na początku XXI wieku, to dziś są już czymś zupełnie innym – głównie za sprawą rewolucji technologicznej. U progu obecnego stulecia, kiedy większość obecnych wykładowców zaczynała pracę, dopiero wchodziła poczta elektroniczna, a szkoły wyższe tworzyły pierwsze strony internetowe.

Na zajęciach pojawiły się prezentacje w PowerPoincie, ale wciąż dominowały rzutniki lub po prostu tablica i kreda. Studiowanie oznaczało m.in. konieczność nauki szybkiego notowania lub wręcz przepisywania. Dziś, w świecie smartfonów, edukacji zdalnej, ogólnodostępnych kursów online, a od niedawna także rewolucji AI, tamte doświadczenia jawią się jako archaiczne i zbędne.

Jednocześnie jesteśmy świadkami starzenia się kadry dydaktycznej. Wówczas mieliśmy tabuny młodych pracowników, biegających między uczelniami publicznymi i niepublicznymi, którzy próbowali jakoś zaspokoić popyt na wyższą edukację (z naciskiem na słowo „jakoś", bo jakość pozostawiała wiele do życzenia). Choć nie mieli oni czasu na nic poza dydaktyką, co nie pozostało również bez wpływu na jakość badawczą ich pracy, to jednak z przyczyn czysto wiekowych łatwiej było im nadążyć za nowościami.

Oczekiwania i możliwości

Dziś zmiany technologiczne są dużo szybsze niż ćwierć wieku temu, a niestety coraz trudniej znaleźć wykładowców mających mniej niż 40 lat, bo oferta pracy na uczelni jest rynkowo mało atrakcyjna. Nie chcę oczywiście powiedzieć, że moje starsze koleżanki oraz koledzy co do zasady pozostają w tyle, ale jesteśmy świadkami coraz poważniejszego rozejścia się studenckich oczekiwań i możliwości wykładowców. Także dlatego, że obecnie troska o dobrą dydaktykę, za sprawą zmian wprowadzonych w ostatnich latach, niespecjalnie się opłaca.

W efekcie spada znaczenie uniwersyteckiego dyplomu – zwłaszcza tam, gdzie nie jest on wymagany przepisami prawa w procesie awansu czy zdobycia uprawnień do wykonywania konkretnego zawodu (medycyna, pedagogika, prawo, budownictwo etc.). Coraz mniej dziwią więc sytuacje, w których studenci kończąc naukę pracują już zawodowo i nie znajdują motywacji, aby pisać prace magisterskie. Tym bardziej że wyższe wykształcenie w postaci licencjatu już mają.

Świat i Polska zmieniły się nie do poznania, ale chyba nigdzie nie widać tego tak brutalnie jak w przypadku instytucji edukacyjnych, które z natury mają dość niskie zdolności adaptacyjne. Skutek jest przewidywalny – życie w szkołach i na uczelniach coraz bardziej toczy się na niby. Robimy to samo co kiedyś, choć dawno straciło to większy sens. A skoro nie potrafimy uchwycić rzeczywistości, pozostaje nam teatr i grupa rekonstrukcyjna z gronostajami. Można to oczywiście sprzedawać jako ważny element dziedzictwa, ale chyba nie ma co udawać, że jest w tym coś więcej niż performans.

Jak ładnie spuentował to jeden z moich akademickich kolegów, mamy do czynienia ze skorupą, która z zewnątrz wciąż przypomina znaną nam formę, ale w środku jest coraz bardziej pusta. Jakże symboliczna była obserwacja, której dokonałem w środku sesji egzaminacyjnej we wczesnych godzinach popołudniowych na kampusie mojej Alma Mater. Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, w którego murach studiuje kilkanaście tysięcy osób, był pusty. Jak okiem sięgnąć, nigdzie żywego ducha, żadnych rozmów, dyskusji. Obraz ten jeszcze kilkanaście lat temu byłby nie do wyobrażenia, bo tłumy studentów kręciłyby się choćby w oczekiwaniu na wpis do indeksu. Dziś uczelnie mimo woli stały się zupełnie innymi miejscami niż kiedyś.

Rektor może wszystko

Zrozumienie tej prawdy jest konieczne, jeśli chcemy uchwycić, jak szkoły wyższe mogą wyglądać za kilkanaście lat. Wcześniej trzeba jednak rzucić okiem na przeszłość, gdyż przed kilkoma laty szkolnictwo wyższe i nauka w Polsce ↦

Inauguracja roku akademickiego w Krakowie, 1 października 2017 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

eprasa.pl 48ee648283

↦ przeszły proces, określany przez jego twórców mianem „rewolucji 2.0" – w historii zapisał się on jako tzw. reforma Gowina.

Pierwotnie byłem bardzo sceptyczny co do założeń tej reformy, również dlatego, że w konkursie ogłoszonym przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wygrały wizje zmian, które stały w sprzeczności z propozycją, którą w tym samym konkursie zaproponowaliśmy z grupą kilkudziesięciu osób.

Już wówczas, w 2016 r., przestrzegaliśmy przez wyborem neoliberalnej ścieżki, która miała doprowadzić do „zwiększenia konkurencyjności polskich uczelni". Pisałem wówczas, że próba włączenia się do międzynarodowej rozgrywki na zasadach ustalanych przez globalnych gigantów w sytuacji, w której nie dysponujemy ani wystarczającymi zasobami finansowymi, ani narzędziami wpływu na reguły gry, skończy się wydrenowaniem zasobów i utratą potencjałów, którymi jeszcze dysponujemy. Mam dziś silne przekonanie, że prognoza, którą postawiłem, sprawdziła się w dużym stopniu.

Można się spierać o ocenę projektu przygotowanego w ministerstwie (sam w debacie publicznej wspierałem niektóre proponowane rozwiązania), trudno jednak bronić reformy, jeśli przyjrzymy się temu, co ostało się z niej w parlamencie, a później jak została wprowadzona w życie. Zewnętrzne rady uczelni, które miały poprawić sposób zarządzania szkołami wyższymi, zostały wypatroszone z kompetencji. Jednocześnie radykalnie wzmocniono władzę rektorów, którzy w praktyce nie są już kontrolowani ani przez środowisko akademickie, ani przez wspomniane rady.

Jednocześnie nie zmieniono mechanizmu wyłaniania władz uczelni, pozostawiając *de facto* decydujący wpływ studentom, a dokładniej Parlamentowi Studentów RP i jego oddziałom. W sytuacji, w której kandydaci nie uzyskują znaczącej przewagi, głosy studenckie stanowią „języczek u wagi". Nierzadko wygrywa ten pretendent, który zyska przychylność studentów, co tworzy naturalne wzmocnienie dla negatywnych procesów, czasem wręcz korupcjogennych.

Co istotniejsze, obecnie rektorzy stali się udzielnymi książętami. W efekcie zdarzają się sytuacje, w których zarządzający uczelniami działają wprost na ich szkodę i nie sposób nic z tym zrobić. Rektor może bowiem niemal wszystko.

Demograficzne tsunami dotrze na uczelnie dopiero po 2040 r., ale nie wykluczam, że **młodzi ludzie szybciej połapią się, że cała ta zabawa nie ma sensu,** i zrezygnują ze studiowania.

Miliony za granicę

Ogromnym grzechem reformy jest również brak zwiększenia publicznych nakładów na naukę, przy jednoczesnym wytworzeniu takich mechanizmów ewaluacji działalności naukowej i wynikających z niej metod dystrybucji środków, które prowadzą do marnotrawienia ogromnych pieniędzy na finansowanie nadmiernej liczby artykułów naukowych.

Nie neguję znaczenia umiędzynarodowienia badań prowadzonych na polskich uczelniach. Problem dotyczy jednak tekstów, które pełnią wyłącznie funkcję „sygnalizacyjną" w środowisku. Nie ma bowiem znaczenia, czy ktokolwiek je przeczyta, tylko to, gdzie zostały opublikowane – oczywiście najlepiej w zagranicznym wydawnictwie. Za publiczne pieniądze kupujemy prestiż, a będąc bardziej precyzyjnym – poczucie prestiżu. Nie dysponujemy dokładnymi szacunkami co do kwot, ale można założyć, iż od momentu wejścia w życie reformy przeznaczono na ten cel kilkaset milionów złotych, które dodatkowo wypłynęły z kraju.

Jeszcze bardziej bulwersujące jest to, że końcowa ewaluacja pracy uczelni i tak w praktyce ma charakter w dużym stopniu uznaniowy. Odegraliśmy zatem teatr, za który jeszcze zapłaciliśmy globalnym wydawniczym krezusom grube miliony.

Równie absurdalny mechanizm obserwować można było w przypadku systemu grantowego. Ze względu na bardzo niskie nakłady na Narodowe Centrum Nauki współczynnik sukcesu w wielu konkursach nie przekraczał 10 proc. To oznacza, że zmarnowano mnóstwo czasu i pieniędzy na przygotowanie oraz ocenę wniosków.

Co więcej, system ten bazuje na tworzeniu motywacji, zgodnie z którą granty stanowią szansę uzupełnienia niskiego wynagrodzenia podstawowego pracowników. Pomijając już fakt, że przepisy dotyczące wydatkowania tych środków radykalnie ograniczały możliwość finansowania kosztów osobowych, wykorzystywanie takiego argumentu jako uzasadnienia niskich płac przy *success rate* na poziomie 10 proc. należy uznać za systemową perwersję.

Może lepiej byłoby po prostu losowo przyznawać pracownikom dodatkowe środki na badania – efekt niekoniecznie byłby gorszy. Może nawet zmniejszyłoby się poczucie frustracji, bo chyba łatwiej przyjąć wyrok ślepego losu niż obecnej „loterii". Wystarczy powiedzieć, że naukowcy tylko z trzech uczelni – Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu zgarniają co trzeci grant. Pracując w takim Olsztynie, Bydgoszczy czy Kielcach, z definicji nie możesz przecież przygotować dobrego projektu naukowego, prawda?

Koniec wspólnoty

Największym grzechem reformy jest jednak co innego – to ostateczne rozbicie wspólnoty akademickiej. Wprowadzenie brutalnej logiki konkurencji – zarówno wewnątrz uczelni, jak i pomiędzy nimi, przy niewystarczających zasobach i nikłym wpływie na decyzje – musiało skutkować erozją zaufania. Akademia weszła na twardo w tryb gry, w której zwycięstwo jednego musi oznaczać porażkę kogoś innego. W takim ustawieniu współpraca może jawić się jako frajerstwo.

Dodatkowo zniechęca do niej grantoizacja, w ramach której liczy się funkcjonowanie w obrębie wąskiej dyscypliny. Nie ma się zatem co dziwić, że uczelnie nie wyjaśniają nam wielu istotnych współczesnych problemów, jak choćby przyczyn zapaści demograficznej, bo wymagałoby to współpracy nie tylko między dyscyplinami, ale też uczelniami. Nieco inaczej patrzą na to zapewne przedstawiciele nauk technicznych i przyrodniczych, bo reforma Gowina z ich per-

eprasa.pl 48ee648283

spektywy nie niosła aż tak negatywnych skutków. Tyle że uniwersytet nie jest w stanie przetrwać bez nauk humanistycznych i społecznych. Ktoś musi nadawać głębszy sens temu, co wytworzą inżynierowie.

Co z tego wszystkiego wynika dla przyszłości? Nie ma się co łudzić, że nagle w sektorze pojawi się więcej pieniędzy. Nie ma się też co mamić, że zmieni się struktura władzy na uczelniach – nikt nie odważy się na nowo otwierać puszki Pandory, uczelnie pomału otrząsają się dopiero z rewolucji 2.0. Co więcej, przy tak niskim poziomie zaufania i poczucia wspólnoty akademickiej jakiekolwiek zmiany będą budzić nieufność i obawy.

Czeka nas zatem inercja i dalsze udawanie. Będziemy żyć w coraz marniejszym teatrze, z coraz większym poczuciem braku sensu. To trwanie będzie możliwe, bo jeszcze przez jakiś czas możemy liczyć na w miarę stabilny napływ studentów, a przynajmniej tak się wielu rektorom wydaje. Ja takiej pewności nie mam, bo choć demograficzne tsunami dotrze na uczelnie dopiero po 2040 r., nie wykluczam, że młodzi ludzie jako pierwsi połapią się, że cała ta zabawa nie ma sensu, i po prostu zrezygnują ze studiowania.

Nie wykluczam, że wspomniany współczynnik skolaryzacji netto, który od 15 lat spada o około pół punktu procentowego rocznie, w ciągu najbliższych 5 lat zejdzie z poziomu 34 do ok. 25 proc. Co się stanie, jeśli w 2030 r. z liczby ok. 1,3 mln studentów spadniemy do poziomu 800-900 tys. (tyle osób studiuje dziś na samych uczelniach publicznych)?

Mając to na uwadze, niezmiennie dziwią mnie plany niektórych rektorów, którzy chcą i tak ograniczone środki inwestować w lanie betonu pod nowe budynki dla nie wiadomo kogo. Tymczasem może się okazać, że nasze uczelnie, aby przetrwać i realizować jakikolwiek istotny interes publiczny, uzasadniający wydawanie pieniędzy z budżetu, będą musiały znaleźć zupełnie nowe obszary i formy działania. To jednak oznacza, że już dziś pilnie potrzebujemy szukać nowego sensu, zwłaszcza na uczelniach humanistycznych i społecznych.

© MARCIN KĘDZIERSKI



PRZEMEK WIERZCHOWSKI / REPORTER

Konferencja Euromajdan-Warszawa przed ambasadą Rosji. Warszawa, 9 maja 2026 r.

Zejście z Olimpu

JAKUB BODZIONY

WOJNA | Ukraina nie będzie naszym młodszym partnerem, a Polska nie będzie jej patronką na europejskich salonach. Coś się skończyło między Warszawą a Kijowem. I dobrze.

Jeśli ktoś był w Ukrainie przy linii frontu lub w jednym z bombardowanych miast, ten poznał zupełnie inną rzeczywistość, w której przerwy w dostawach prądu i ogrzewania czy nocowanie w głębokich tunelach metra – stają się normalnością. To doświadczenie, którego nie da się przełożyć na realia funkcjonowania w Polsce. Wojna przebudowała Ukrainę, jej instytucje, społeczeństwo i jego elity oraz sposób myślenia o świecie. Wciąż nie do końca to do nas dotarło.

Paternalizm w dobrej wierze

Polskie środowiska liberalne i lewicowe wypracowały w ostatnich latach wygodny język mówienia o Ukrainie. Każdy błąd ma swoje wytłumaczenie, każde zaniedbanie – okoliczność łagodzącą. Ukraina nie postępuje wobec Polski lekceważąco, ona po prostu „broni się w trudnych warunkach". Nie ignoruje polskich interesów, tylko „ma inne priorytety". Nie mami swojego społeczeństwa terminem wejścia do UE, tylko „komunikuje aspiracje". Ta czuła narracja, chociaż uzasadniona, sprawia, że traktuje się dorosłe, uzbrojone po zęby państwo jak podopiecznego, któremu jeszcze nie wypada stawiać wymagań.

To jest mechanizm, jaki Polska zna aż za dobrze – w ten właśnie sposób, przez dekady, traktowały nas Niemcy. Głaskanie po głowie, uznanie w słowach, protekcjonalność w praktyce. Zawsze znajdował się dobry powód, żeby nie postrzegać Polski jako w pełni równorzędnego partnera: a to sprawy wewnętrzne, a to specyfika regionu etc. Odgrywamy wobec Ukrainy tę samą rolę, którą przez lata z takim trudem sami znosiliśmy.

Paternalizm nie jest wyrazem szacunku. Jest jego zaprzeczeniem. Skoro uznajemy Ukrainę za podmiotową, musimy przyjąć, że ma własne interesy, ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ które realizuje, i własne błędy, za które ponosi odpowiedzialność. W przeciwnym razie nie traktujemy jej jak partnera, tylko jak beneficjenta naszej dobrej woli.

To podejście funkcjonowało jeszcze przed wojną, kiedy Warszawa chciała być „europejskim ambasadorem Kijowa". Po pełnoskalowej inwazji Rosji stało się jeszcze wygodniejsze, bo pozwalało patrzeć na Ukrainę z góry – jako na biedniejszego, skorumpowanego kuzyna, który akurat prowadzi słuszną wojnę. Pozwalało również frazesami o partnerstwie przykryć oczywiste konflikty interesów.

Efekt jest taki, że Polska w tej relacji wyszła na kogoś, kto szczerze wierzył we wzajemność, jakiej po drugiej stronie nigdy nie było. Po pierwsze dlatego, że zasoby polskiej pomocy szybko się wyczerpały. Po drugie, bo Ukraina stwierdziła, że Polska jest na tyle podporządkowana Amerykanom, że można ją pominąć i rozmawiać wprost z USA, Niemcami czy Francją. To zrodziło w nas obawę, ale nie przed silną Ukrainą, tylko przed Ukrainą nieodpowiedzialną. Taką, która uwierzyła, że jej znaczenie wzrosło na tyle, że błędy popełnione wobec Polski pozostaną bez konsekwencji.

I nie jest to podejście pozbawione logiki. Przypomnijmy rok 2023, śmierć dwóch naszych obywateli w Przewodowie i lata unikania odpowiedzialności za ten wypadek; postawienie Polski w jednym szeregu z Rosją podczas sporu o zboże na forum ONZ; ostentacyjne lekceważenie Karola Nawrockiego w kampanii prezydenckiej; wzywanie Donalda Tuska na granicę; rozgrywanie polskich sporów wewnętrznych między rządem a Pałacem Prezydenckim.

Uhonorowanie jednostki wojskowej imieniem Bohaterów UPA, wbrew niepisanej umowie między Andrzejem Dudą i Wołodymyrem Zełenskim, było kolejnym krokiem na tej ścieżce. Skoro nie widać różnicy, to po co przepłacać?

Fantomowe mocarstwo

Tyle tylko, że Ukraina jest dziś jednym z najbardziej paradoksalnych bytów politycznych. Jednocześnie posiada gospodarkę wielkości województwa mazowieckiego oraz armię, która ma wyjątkowe doświadczenie wojny pełnoskalowej i przemysł dronowy, którego Zachód dopiero się uczy.

Niemożność wejścia do UE rodzi w Ukrainie pokusę, żeby znaleźć kozła ofiarnego. Do niedawna taką rolę z powodzeniem spełniał Viktor Orbán. **W nowym castingu próbuje się ją nadać Polsce.**

Zarazem prawdą jest, że państwo ukraińskie bez zewnętrznego finansowania po prostu przestanie istnieć. Nie utrzyma ani wojska, na które przeznacza nawet 40 proc. PKB, ani administracji, o odbudowie nie wspominając. To także kraj z ogromnym kryzysem demograficznym. Jego siła jest więc całkowicie warunkowa, a mimo to istotna część ukraińskich elit zachowuje się tak, jakby uwierzyła we własną propagandę.

Widać to w zachowaniu prezydenta Zełenskiego. Deklarując początek 2027 r. jako datę dołączenia Ukrainy do Unii Europejskiej, wypowiada się z pewnością godną kogoś, kto naprawdę wierzy, że akcesja to kwestia dobrej woli, a nie faktycznego stanu ukraińskiego państwa.

Kijów lubi przy tym przedstawiać każdą polską wątpliwość jako przejaw nacjonalistycznej obsesji albo prorosyjskości, choć sprawa jest dużo prostsza: Ukraina nie spełnia dziś żadnego z trzech kryteriów kopenhaskich warunkujących członkostwo: nie ma stabilnych instytucji gwarantujących praworządność, nie posiada gospodarki rynkowej zdolnej sprostać unijnej konkurencji, a przyjęcie pełnego dorobku prawnego UE w obecnym stanie administracyjnym jest fikcją. To argument księgowy, nie emocjonalny.

Prawdopodobnie część ukraińskich elit wcale nie chce szybkiej akcesji, bo dobrze wie, co ta przyniesie: unijne procedury antykorupcyjne, kontrolę wydatków, przejrzystość zamówień publicznych. Dla środowisk, które przed i w trakcie wojny zbudowały sobie lukratywny system rozkradania pomocy i budżetu, członkostwo w UE jest zagrożeniem, nie nagrodą.

Ogromna danina krwi i niekwestionowane bohaterstwo Ukraińców nie sprawią, że Unia zmieni swoje procedury decyzyjne. Może to być odebrane jako niesprawiedliwość, ale współczucie nie jest walutą negocjacyjną w Brukseli. A im dłużej ukraińscy politycy karmią własne społeczeństwo złudzeniami, tym boleśniejsze będzie zderzenie z rzeczywistością. Efekt można przewidzieć – zbiorowe rozgoryczenie, a w najgorszej perspektywie narastający resentyment wobec Zachodu i podatność części społeczeństwa na narracje o konieczności porozumienia z Rosją.

Koniec uniesień

W Kijowie już pojawiła się silna pokusa, by znaleźć kozła ofiarnego. Do niedawna taką rolę z powodzeniem spełniał Viktor Orbán, a w nowym castingu próbuje się ją nadać Polsce – sąsiadowi kłopotliwemu, rzekomo rozhisteryzowanemu i pogrążonemu w sentymentalnych sporach. Adresatem takiego komunikatu byłby zresztą nie tylko elektorat w Kijowie, ale i Paryż z Berlinem.

Europejskie mocarstwa też mogą próbować przerzucić odpowiedzialność za blokadę europejskiej integracji na Warszawę. To wygodniejsze niż przyznanie wprost, że dołączenie kraju, który wraz z okupowanymi terytoriami jest większy niż kontynentalna Francja, zdestabilizuje już i tak niedecyzyjną w wielu kwestiach Wspólnotę.

– Ukraińcy myślą, że grają w innej lidze i że Polski nie potrzebują. No, to proszę bardzo, radźcie sobie sami z Paryżem, Berlinem i Waszyngtonem. Z pewnością pokażą Ukrainie, gdzie jest jej miejsce. My robimy krok w tył. Nie może być tak, że jesteśmy traktowani jak sojusznik ostatniej szansy – mówi mi jeden z wysokich urzędników polskiego MSZ.

Nie ma więc powrotu do tego co było, czyli budowania partnerstwa polsko-ukraińskiego na emocjach, niezależnie od tego, jak piękne one były. I piszę to z perspektywy osoby, która relacjonowała kryzys na granicy w 2022 r., widziała ukraiński front, a w międzyczasie pomagała uchodźcom jako wolontariusz. Każda relacja oparta na szczytowym uniesieniu prędzej czy później z niego spada. I zostają interesy: wspólne, oraz te, które nas dzielą.

Zełenski i jego otoczenie dokonali czegoś bezprecedensowego: zrazili do siebie ogromną część polskich środowisk, w tym tych najbardziej zaangażowanych

eprasa.pl 48ee648283

w pomoc Ukrainie. I nie można zrzucać tu odpowiedzialności na rosyjską propagandę, obecną tak w Polsce, jak i w Ukrainie. Ona nie funkcjonuje w próżni. Gdyby Zełenski nie zachowywał się w sposób, który oficjalnie nazywa się już butą, a w kuluarowych rozmowach po prostu chamstwem, to tych sytuacji można by uniknąć.

Tak, Zełenski ugrał na sporze z Polską sondażowy zysk, szczególnie wśród wpływowych środowisk związanych z wojskiem. Być może dlatego, że chce jesienią przeprowadzić wybory, tak by legitymizować swoją pozycję przed negocjacjami z Rosją, które będą musiały się zakończyć terytorialnymi koncesjami.

Jednak w tym samym momencie Ukraina zraziła do siebie niemal wszystkie siły polityczne w Polsce. Jest to trwała szczepionka na polski sentymentalizm wobec Ukrainy, która sama zapłaci znacznie wyższą cenę – prowadzenie proukraińskiej polityki każdego kolejnego rządu w Warszawie będzie znacznie trudniejsze.

Ukraina broni siebie

Szczególnie, że stare narracje przestają działać. Zełenski powtarza, że Ukraina broni nie tylko siebie, ale przede wszystkim Polski i Europy. Działało to znakomicie w 2022 i 2023 r., kiedy wspólne zdjęcie z prezydentem Ukrainy potrafiło skłonić zachodnich polityków do przekazania kolejnego wojskowego wsparcia. Dziś ta retoryka wywołuje głównie irytację. I to nie tylko nad Wisłą.

Ukraina broni przede wszystkim samej siebie, swojej państwowości i prawa do istnienia – i to jest zupełnie wystarczający powód, żeby ją wspierać, bez fikcji, że robi to głównie dla nas. Jeśli prezydent Ukrainy w to wierzy, niech spróbuje eksperymentu myślowego: przestać się bronić na 48 godzin i zobaczyć, jakie będą tego konsekwencje dla Polski, a jakie dla Ukrainy.

Z kolei w kwestii sporu wokół UPA Zełenski liczył chyba na to, że przedstawi Warszawę jako przedmiot cudzej narracji, zamiast świadomego podmiotu z uzasadnionymi zastrzeżeniami.

Tłumaczy to coś, o czym w polskiej debacie rzadko mówi się wprost: spora część ukraińskich elit, nie społeczeństwa, traktuje Polskę z mieszanką lekceważenia i zazdrości. Lekceważenia, bo dla Ukrainy nie byliśmy nigdy „prawdziwym Zachodem", ale krajem przyspawanym gospodarczo do UE, a politycznie do USA. Zazdrości, bo Ukraińcy pamiętają, że w 1989 r. ich gospodarka oraz demografia wyglądały lepiej niż polskie, a mimo to Ukraina pogrążyła się w chaosie i zapaści. Polska zaś staje się 20. gospodarką świata.

Jeden z polskich dyplomatów w Kijowie ujął to tak: – Niemiec, Amerykanin, Francuz mogą być lepsi i bogatsi. Ale Polak już nie. Poza tym: jesteś przyjacielem, jak robisz dokładnie to, czego oni chcą. Inaczej jesteś antyukraiński. Idziemy do ściany i oni sobie tę głowę o ścianę rozwalą.

W polityce wewnętrznej Zełenski może dziś niemal wszystko, ale uwierzył chyba zanadto w rolę półboga. Tymczasem zejście z Olimpu jest nieuchronne. Skala korupcji na Ukrainie pozostaje ogromna, a heroizm ukraińskiego społeczeństwa i żołnierzy nie sprawił, że elity przestały rozkradać własne państwo. Ludzie z najbliższego otoczenia prezydenta mają na koncie poważne zarzuty korupcyjne, a na ujawnionych nagraniach potrafią się skarżyć, że „walizka wypełniona 1,5 mln dolarów jest bardzo nieporęczna". Po zawarciu rozejmu, bo o trwałym pokoju trudno mówić, normalna polityka powróci. Wraz ze sprawami dziś zamiecionymi pod wojenny dywan.

Trzy filary interesów

Patrząc chłodno na relacje polsko-ukraińskie, da się je opisać poprzez trzy obszary interesów. Pierwszy to bezpieczeństwo, oparte na wspólnym zagrożeniu, bo Rosja nie zniknie. Drugi to gospodarka: naturalna konkurencja, a nie wojna. Transport, rolnictwo, przemysł spożywczy, kontrakty przy odbudowie. W dalszej perspektywie migracja, o którą oba kraje będą rywalizować.

Trzeci obszar, historia, nie jest równorzędny, ale może zniszczyć dwa poprzednie, jeśli zostanie rozegrany źle.

Jasne jest, że nigdy nie będzie dobrego momentu na rozliczenie ludobójstwa na Wołyniu. Trzy lata temu trwała wojna, za dwa lata będzie zapewne trwać odbudowa, za pięć negocjacje akcesyjne – zawsze znajdzie się argument, żeby odłożyć to na później.

Pamiętajmy jednak, że Polska też musiała zmierzyć się z własną, niewygodną historią. Potępienie polityki antyukraińskiej w II RP jest dziś bezdyskusyjne. Zbrodnia w Jedwabnem została uznana przez najwyższych urzędników w państwie i przebadana przez historyków posiadających swobodę w prowadzeniu swoich prac.

Skoro Chorwacja odeszła od kultu ustaszy, a na Słowacji nie czci się Jozefa Tisy, to Ukraina, jeśli poważnie myśli o europejskiej przyszłości, będzie musiała przejść przez podobny proces – w europejskim panteonie nie ma miejsca dla osób współodpowiedzialnych za ludobójstwo Polaków czy Holokaust.

Tyle że ci, którzy dziś w Polsce krzyczą najgłośniej, że Ukraina musi się rozliczyć ze swoją historią, to w znacznej mierze ci sami ludzie, którzy przez dwie dekady traktowali polską historię jak pole bitwy o honor, nie o prawdę. Dla nich rozliczenie się z Jedwabnem było „pedagogiką wstydu", nie aktem narodowej dojrzałości.

Polska przez lata budowała swoją tożsamość międzynarodową na figurze niewinnej ofiary. To prawda, ale niepełna. Spora część prawicy właśnie tę niepełność pielęgnowała jako świętość. Teraz ci sami ludzie domagają się ↦

Polska–Ukraina: impas

Ukraińska jednostka im. Bohaterów UPA; odebranie przez Karola Nawrockiego Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy; nieobecność Wołodymyra Zełenskiego na gdańskiej konferencji poświęconej odbudowie Ukrainy: stosunki Warszawa–Kijów znalazły się w impasie.

Artykuł Jakuba Bodzionego to kolejny głos komentujący te wydarzenia. Wcześniej na łamach „Tygodnika Powszechnego" publikowaliśmy teksty Wojciecha Konończuka, Łukasza Adamskiego, Grzegorza Motyki, Wojciecha Pięciaka, Marcina Matczaka i Jędrzeja Solińskiego.

Wszystkie są dostępne na naszej stronie internetowej: www.tygodnikpowszechny.pl

eprasa.pl 48ee648283

↦ od Ukrainy dokładnie tego wysiłku, na który sami nigdy się nie zdobyli. Mają rację co do treści żądania, ale nie mają żadnego prawa moralnego, żeby je wygłaszać z pozycji wyższości wobec kraju toczącego wojnę przeciwko Rosji, która odmawia Ukraińcom prawa do istnienia.

Scenariusz realistyczny

Ostatnia kwestia. Czy istnieją silne przesłanki, by zakładać, że powojenna Ukraina będzie państwem stabilnym i zintegrowanym z Zachodem? Taki scenariusz jest pożądany. Nie jest jednak najbardziej prawdopodobny.

Ukraiński nacjonalizm będzie karmiony traumą wojny, setkami tysięcy ofiar, milionami ludzi z doświadczeniem bojowym, ich rodzinami i tymi, którzy wyjechali, lecz wcale nie będą mile widziani po powrocie. Trudno sobie wyobrazić skalę napięć w kraju stale zagrożonym przez Rosję, gdzie dawni sąsiedzi, żołnierze (czasem kalecy) oraz uchodźcy spotkają się na weselu albo pogrzebie, po latach rozłąki i z wzajemnymi pretensjami o to, że ktoś walczył, a ktoś uciekł. W kraju, w którym weterani będą stanowić ogromną grupę polityczną, broni w obiegu będzie mnóstwo, a wzrost przestępczości stanie się nieuchronną konsekwencją.

Nazywanie powyższego scenariusza „antyukraińskim" jest właśnie tym paternalizmem, o którym pisałem na początku – dojrzałego państwa nie chroni się przed nieprzyjemną prognozą. A jeśli liberałowie i lewica odmawiają rozmowy o realnych zagrożeniach, o przestępczości związanej z tysiącami uzbrojonych weteranów w kryzysie, o napięciach społecznych czy pierwszych aktach przemocy wobec Ukraińców w Polsce – nie sprawiają, że problem znika.

Sprawiają, że temat przejmuje ktoś inny, kto zbije na tym kapitał polityczny w przyszłorocznej kampanii. Największym zagrożeniem jest bowiem sprzężenie dwóch nacjonalizmów, które wzajemnie się napędzają. W tej spirali nie wygrywa ani Warszawa, ani Kijów – wygrywa ten, kto od początku wierzył, że się poróżnimy.

© JAKUB BODZIONY

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Kultury Liberalnej".



Rodzina Radzimskich: Adam, Antek z psem Oreo, Katarzyna i Zuza. Najmłodsza Halinka już na wakacjach. Zabrze, 1 lipca 2026 r.

Gambit domowy

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

PASJE | Antek Radzimski ma 14 lat i jest szachowym mistrzem świata. Za jego sukcesem stoi historia całej rodziny, która od siedmiu lat podporządkowuje życie niezwykłemu talentowi chłopca.

Na wakacjach we Francji Antek wypatrzył ulicznego szachistę, który ogrywał kolejnych turystów. Kiedy naprzeciw niego usiadł jedenastoletni chłopak z Polski, role się odwróciły. Po dwóch wygranych partiach Antek odszedł od stolika bogatszy o 20 euro. Tak było niemal wszędzie. Dokądkolwiek Radzimscy wyjeżdżali, ich syn szukał nie zabytków, lecz szachownicy.

Od kilku tygodni Antek jest mistrzem świata do lat 14. Kiedy rozmawiamy, nie odrywa wzroku od ekranu. Rozgrywa kolejną partię.

– To jest jego życie – mówi Adam Radzimski, ojciec chłopca. – Wrócił z mistrzostw, wszedł do pokoju i pierwsze, co zrobił, to włączył szachy. Nie potrafi wyprasować koszulki, ale na szachownicy ogarnia absolutnie wszystko.

W przedpokoju, na ogromnej komodzie nie ma już miejsca na kolejne puchary. Ten najnowszy i największy błyszczy dumnie na samym środku. Na ścianach obok wiszą rodzinne zdjęcia i obrazy namalowane przez starszą siostrę, Zuzę.

Poświęcenie wieży

Czerwcowe mistrzostwo świata we włoskim Montesilvano było dla szachowego środowiska wydarzeniem. Antek wygrał osiem z jedenastu partii, zwyciężając w czterech ostatnich rundach. Tytuł zapewnił mu również automatyczne uzyskanie tytułu mistrza międzynarodowego, przyznawanego przez federację szachową FIDE.

Był to kolejny krok w błyskawicznie rozwijającej się karierze Antka. Wcześniej zdobył już tytuł wicemistrza świata do lat 12, medale mistrzostw Europy i mistrzostwo Polski juniorów. W wieku trzynastu lat i siedmiu miesięcy jako najmłodszy Polak w historii przekroczył granicę 2400 punktów Elo – szybciej,

eprasa.pl 48ee648283

niż zrobił to późniejszy arcymistrz Jan Krzysztof Duda.

Siedem lat wcześniej Antek po prostu lubił grać w piłkę nożną i nic nie zapowiadało, że porzuci tę pasję. Ale kiedy tata nauczył go grać w szachy, stały się one główną osią ich rodzinnego życia.

Ojciec Antka jest architektem. Zaczynał w pracowni Roberta Koniecznego, później prowadził własną firmę w Zabrzu. Dziś najczęściej można spotkać go za kierownicą, w drodze na kolejny turniej.

– To nie była żadna decyzja – mówi Adam Radzimski. – Wszystko działo się powoli. Było coraz więcej wyjazdów, coraz mniej projektów. Nigdy nie powiedziałem sobie, że zamykam firmę. Po prostu któregoś dnia uznałem, że nie da się już jej utrzymać. Na parę miesięcy trafiłem na bezrobocie.

Katarzyna Radzimska, mama Antka i dyrektorka jednego z zabrzańskich liceów, przyznaje, że szachy całkowicie zmieniły rytm ich życia. – Mieliśmy swoje plany, chcieliśmy budować dom. Tymczasem chłopaki ciągle były w rozjazdach. Nie było ich w święta, podczas wakacji lub rodzinnych uroczystości. Zostawałam sama z dziewczynkami, a to rodziło konflikty. Potem przyzwyczaiłam się, że ich nie ma. A teraz denerwuje mnie, kiedy za długo siedzą w domu – śmieje się.

Radzimscy mają troje dzieci. Zuza maluje i występuje w konkursach recytatorskich z autorskimi monodramami. Halinka uwielbia konstruować wszystko, co da się zbudować z patyków, śrubek i kawałków drewna. Antek żyje w świecie 64 pól.

Ta różnorodność ma też swój medyczny rewers. Zuza urodziła się z zespołem Turnera, co wymaga stałej opieki endokrynologicznej i nieustannych diagnoz. Halinka zmaga się z przewlekłym reumatoidalnym zapaleniem stawów. Antek ma tylko jedną nerkę i zdiagnozowany zespół Aspergera. Cała trójka posiada orzeczenia o niepełnosprawności.

O tym biologicznym obciążeniu rodzice mówią jednak ze spokojem. – My tego nie rozpatrujemy w kategoriach dramatu – tłumaczy Katarzyna. – To jest po prostu zadanie do wykonania. Taka sama rzeczywistość jak odrobienie lekcji czy logistyka wyjazdu Antka na turniej.

W niedoczasie

W tej opowieści podział ról wydaje się klarowny: Adam odpowiada za pasję i sukces, Katarzyna – za prozę życia: terminy u specjalistów, rachunki i stabilność rodzinnej konstrukcji. Sama w szachy grać nie umie, ale turnieje syna bardzo ją stresują. – Chyba nie nadaję się na matkę sportowca – przyznaje.

Najtrudniejsza okazała się jednak konfrontacja z barierą ekonomiczną. Talent Antka rósł odwrotnie proporcjonalnie do domowego budżetu. Wyjazdy stawały się coraz dalsze, trenerzy drożsi, a sportowa machina wymagała ciągłych nakładów. Poszukiwania sponsorów nie zawsze kończyły się sukcesem. Do tego doszła całkowita utrata kontroli nad własnym czasem.

– Nie dało się niczego ustalić. Nie mogliśmy zaplanować wakacji, bo trzeba było czekać na kalendarz rozgrywek. Ani umówić się ze znajomymi na sylwestra, bo może akurat będzie ważny turniej – mówi mama Antka. – Wiele razy krzyczałam: „Nie jedźcie na ten turniej!”. A potem sama się z tego wycofywałam, gdy widziałam, jak bardzo Antek tego chce. Nie potrafiłam powiedzieć: „dość”, choć próbowałam. Mówiłam: najpierw szkoła i obowiązki.

Próby ograniczenia szachowej pasji Antka kończyły się dramatycznie. Chłopiec wpadał w rozpacz. Mówił, że jeśli nie będzie mógł grać w szachy, to się zabije. Dzisiaj już tak nie reaguje, a oni nauczyli się żyć z jego talentem.

W tym wszystkim nie chodzi tylko o medale. Szachy są dla Antka miejscem, w którym czuje się bezpiecznie. Zespół Aspergera sprawia, że źle odnajduje się w nowych miejscach i wśród obcych ludzi. Nawet na zajęcia wyrównawcze z matematyki nie poszedł ani razu, bo były tam dzieci, których nie znał. Przy szachownicy świat jest przewidywalny. Poza nią – znacznie mniej.

Choć rodzinny budżet coraz bardziej podporządkowywał się szachom, Adam i Kasia od początku umówili się na jedną rzecz. Pieniądze wygrywane przez Antka należą do niego. Nie chcieli finansować z nich pracy trenerów czy wyjazdów – to były jego nagrody. Wyjątek zdarzył się, kiedy Antek przystępował do pierwszej komunii świętej. Wówczas większość pieniędzy z prezentów postanowił przeznaczyć na wyjazd na mistrzostwa świata do Batumi.

Po jednym z turniejów Antek za wygrane pieniądze kupił koledze bardzo drogie sportowe buty. – Mama tego chłopca chciała nam je oddać, ale nie zgodziliśmy się – wspomina Kasia. – Skoro Antek kupił je z własnych pieniędzy i z własnej woli, prezent należał do kolegi.

Rozmowa wychowawcza odbyła się później. Delikatna, bo przecież tak naprawdę Antek nie zrobił nic złego.

Presja w tle

Cena talentu młodego szachisty rosła z czasem nie tylko w złotówkach. Katarzyna wspomina, że dwa lata temu mieli duży kryzys i trafili na terapię. Trudno im się było wówczas porozumieć: mówili do siebie, ale się nie słyszeli. Wracali do tych samych pytań: co jest ważniejsze dla Antka – kolejny turniej czy szkoła? Co z potrzebami innych dzieci? Katarzyna przyznaje, że po prostu rozjechały im się wizje rodzicielstwa. Chciała, żeby to wszystko było bardziej poukładane, bo choć rozwój talentu jest ważny, dziecko musi też normalnie dorastać.

Adam patrzył na to inaczej. – My zawsze byliśmy różni – mówi spokojnie. – Kasia była świetną uczennicą. Ja uciekałem ze szkoły, żeby jeździć na rolkach. Dzisiaj po prostu wierzę, że jeśli Antek naprawdę ma zostać jednym z najlepszych szachistów na świecie, to nie da się tego zrobić na pół gwizdka.

Na małżeńskiej terapii szybko się okazało, że problem nie polega na tym, kto ma rację. Oboje usłyszeli coś, co dziś powtarzają niemal tymi samymi słowami: są różni, ale nie muszą się zmieniać, muszą tylko lepiej rozumieć siebie nawzajem. Kiedy pytam, za co dziś się nawzajem cenią, nie myślą długo.

– Podziwiam męża za poświęcenie – mówi Kasia. – Ja chyba nie umiałabym tak jak on. Potrafi całkowicie oddać się temu, co robi. Najpierw była architektura, teraz są szachy i Antek. Wiem, że jeśli w coś uwierzy, zrobi to na sto procent.

Adam: – Cenię Kasię za mądrość, otwartość, siłę. Zawsze uważałem, że dzięki niej zaszedłem dalej, niż bym to zrobił bez niej. Kiedy się poznaliśmy, niewiele wiedziałem o życiu. Dzięki Kasi stałem się innym człowiekiem. Jestem jej za to wdzięczny.

Gdy dziś myślą o drodze, którą przeszli, nie zastanawiają się, czy można było wybrać inaczej. ↦

eprasa.pl 48ee648283



Antoni Radzimski, szachowy mistrz świata w kategorii U14, ze zwycięskim pucharem. Zabrze, 1 lipca 2026 r.

Wariant wymuszony

↦ Szachowy mistrz o swoich zwycięstwach mówi rodzinie niewiele. – Jak wygra, to przychodzi i rzuca tylko: „No i wygrałem" – mówi mama Antka. – Czasami z daleka pokazuje wyciągnięty w górę kciuk – dodaje Adam.

Znacznie więcej emocji wywołują u niego porażki. – Kiedy był młodszy, płakał, krzyczał, rzucał się. Teraz jest spokojniejszy, ale nadal bardzo źle przeżywa przegrane – przyznaje ojciec i podaje przykład z Budapesztu. Antek miał praktycznie wygraną partię, ale jeden błąd sprawił, że zwycięstwo wymknęło mu się z rąk. – Chodził po mieście i kopał latarnie. Darł się na pół Budapesztu. Bałem się, że ktoś wezwie policję.

Sam Antek jest małomówny, z trudem udaje się go namówić na przerwę w partii i kilka słów. O swoich emocjach mówi ze spokojem. – Jak przegram z kimś lepszym ode mnie, łatwiej to zaakceptować. Wiem wtedy, że miałem prawo przegrać. Ale kiedy przegram albo zremisuję z kimś słabszym, jestem naprawdę zły.

Ojciec dodaje: – On jest jak Cristiano Ronaldo, który pomimo ponad czterdziestu lat płacze po przegranym meczu. Jemu po prostu tak zależy na wygrywaniu.

Sukcesy szachowe są ważne, ale jest jeszcze szkoła. Antek często wyjeżdża na turnieje, więc przez dużą część roku nie ma go na lekcjach. Ma świetną pamięć słuchową i doskonale radzi sobie z historią czy geografią, ale jeśli nie usłyszy materiału w klasie, trudno mu go później nadrobić. Największym zmartwieniem pozostaje matematyka i egzamin ósmoklasisty.

Wrócił z mistrzostw, wszedł do pokoju **i pierwsze, co zrobił, to włączył szachy.** Nie potrafi wyprasować koszulki, ale na szachownicy ogarnia absolutnie wszystko.

– Wszyscy myślą, że skoro jest szachistą, to matematyka przychodzi mu z łatwością. A to nieprawda. Matematyki trzeba się uczyć i ćwiczyć, tak jak szachy. A jego po prostu często nie ma w szkole – tłumaczy mama chłopca.

Na szczęście szkoła nie robi problemów z nieobecnościami. Dyrektor rozumie, że nie da się być wybitnym sportowcem i mieć same piątki. Kłopot w tym, że za rok o przyjęciu Antka do liceum zdecyduje wynik egzaminu i liczba punktów. Za tytuł mistrza świata dodatkowych nie dostanie.

– To jest dla mnie niezrozumiałe – mówi Kasia. – System premiuje laureatów konkursów przedmiotowych, czasami bardzo błahych, a mistrzostwo świata w szachach nie ma znaczenia. Przecież to też efekt lat pracy, nauki i ogromnej dyscypliny.

Równowaga figur

Zawieszona kariera ojca, samotne święta mamy i sióstr, kryzys małżeński, niepewność przyszłości, kłopoty finansowe. Ludzie często ich pytają, czy warto było zapłacić taką cenę.

Odpowiedź jest prosta. – Robimy to, bo nasz syn jest z tym po prostu szczęśliwy. Nie potrafię zrozumieć tych pytań – mówi Adam. – Moje życie nigdy nie obracało się wokół pieniędzy, tylko wokół pasji. W karierze architekta najtrudniejsze było zawsze to, że o kontrakty i projekty trzeba się ubiegać na polu golfowym czy w drogiej restauracji. To nie dla mnie. Zawsze robiłem coś dlatego, że to kochałem. Jestem dumny, że syn robi tak samo.

Jest jeszcze jedno pytanie, które wraca częściej niż inne. Czy sukces Antka nie odbywa się kosztem sióstr? – Nigdy nam tego nie powiedziały i nie dały tego odczuć, ale z tyłu głowy ciągle kołacze mi pytanie, czy dziewczyny nie czują się traktowane niesprawiedliwie – przyznaje Kasia.

Rodzice starają się, by po powrocie z turniejów Antek miał takie same obowiązki jak Zuza i Halinka. Nie chcą go faworyzować. – Powiedzieliśmy Zuzi, że jeśli znajdzie swoją drogę, będziemy gotowi inwestować w jej rozwój tak samo, jak w rozwój Antka – zapewnia Adam.

Na ekranie konsoli wirtualne figury zmieniają pozycje w nieuchwytnym dla laika tempie. Niedługo Antek zamieni ekran na prawdziwą szachownicę – czekają go kolejne rundy w barwach klubu szachowego w Czarnej na Podkarpaciu (zaproponowano mu tam lepsze warunki) i kadry narodowej Polski, drużynowe pojedynki w Polsce i Czechach. I chociaż brakuje już wolnego miejsca na kolejne puchary, to nikt nie zamierza kupować nowej komody. Przeorganizują przestrzeń, tak jak przez ostatnie siedem lat musieli przeorganizować życie.

Kiedy Antek pakuje torbę na turniej, na stole leżą terminy wizyt lekarskich Zuzy i Halinki. Życie Radzimskich rzadko przypomina harmonijną architekturę, to raczej partia szachów błyskawicznych. Choć Katarzyna i Adam patrzą na świat z różnych perspektyw, cel mają jeden: dopilnować, by w tym całym pędzie wszystkie ich dzieci były szczęśliwe.

©℗ JACEK TARAN

eprasa.pl 48ee648283

OLGA

Drenda: *Groza w kolorze jajecznicowym*



Podejrzewam, że tego lata popularną rozrywką stanie się licytacja na najbardziej nawiedzone korytarze i zaplecza. Sama sobie takie przypominam, na pozycję lidera wysuwa się sklep z tanią odzieżą, do którego owszem, z zewnątrz zapraszała zwyczajna, wesoła witryna, ale już by dostać się do środka, trzeba było przebyć kłębowisko niedoświetlonych, orurowanych korytarzy i schodów, a sama hala witała stosownie upiornymi mrugającymi świetlówkami. Gdy oglądałam horror „Backrooms", wyobrażałam sobie scenerie, w których mógłby powstać w Polsce.

„Backrooms" to film szczególny – gratka nie tylko dla miłośników kina grozy, ale też folklorystyki. Zanim powstał pełny metraż, jego reżyser Kane Parsons zrealizował niezależny serial zamieszczony na YouTubie, powstały też gry. Ale wszystko zaczęło się od creepypasty i niepokoju, jaki wywołało w pewnym anonimowym użytkowniku realne zdjęcie pustej hali sklepu meblowego. „Jeśli nie zachowasz ostrożności, to znoclipujesz się [słowo ze slangu gier komputerowych, które oznacza w największym, grubo ciosanym że aż wstyd, uproszczeniu, wypadniesz – przyp. O.D.] z rzeczywistości i wylądujesz właśnie w tej przestrzeni bez końca", ostrzegał.

Creepypasta to gatunek grozy z pogranicza fikcji i folkloru. Sama opowieść jest wymyślona, ale ponieważ przypomina kategorię zwaną w folklorystyce memoratem i fabulatem (opowieść o niezwykłym zdarzeniu, nowoczesne podanie, które ma źródło w czyjejś osobistej relacji) albo legendę miejską, to często naturalnie „wlewa się" do codziennego życia i mowy potocznej.

Niegdysiejsze polskie Backrooms



OLGA DRENDA

Tutaj również budowa całego złożonego świata zaczęła się od fotografii, której anonimowość i pozorny brak właściwości uruchomiły wyobraźnię ludzi. To w creepypastach i tzw. Cursed images, czyli niepokojących fotografiach bez kontekstu, najciekawsze: ten efekt, który kojarzy się ze złudzeniami człowieka niewyspanego lub przedmiotami, które zniekształcają się i ożywają po zmierzchu w oczach kogoś z wadą wzroku.

W świecie „Backrooms" wszystkie elementy składają się w przestrzeń, która ma być doskonale przewidywalna, nudna, bez właściwości. Wszystko ściśle praktyczne, łatwe do sprzątania i zgodne z normami BHP. Powtarzalne i jednakowe, czyli takie, jakie wielu ludziom zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Ale to właśnie staje się źródłem przerażenia. Jest tak neutralnie, nieskończenie neutralnie, że można odejść od zmysłów. Jakby jednocześnie w tle grała Siekiera: „jest bezpiecznie, jest bezpiecznie...". Serial „Backrooms" czerpał swoją siłę z umowności, ale pełny metraż rządzi się swoimi prawami. Dlatego fabuła kładzie nacisk na trochę inny, psychologiczny wątek. Zaplecze funkcjonuje tu jako metafora naszych własnych brudowników, niedokończonych spraw, w których snują się zmutowane złudzenia i spiętrzają ślepe uliczki, ale których opuszczenia z jakiegoś powodu odmawiamy. W filmie snują się po nich uosobienia zniekształconych wspomnień, przypominające halucynacyjne wizje starej wersji modelu językowego Dall-E (myślę, że to będzie prawdopodobnie jedyna ciekawa rzecz, która zostanie nam po smutnej epoce fascynacji sztuczną inteligencją).

Ale najciekawszym motywem jest wyciśnięcie maksymalnego horroru ze zwyczajności. W jednej z najbardziej inspirujących scen meble, przypominające do złudzenia autentyczny asortyment bardzo niegdyś modnej na Śląsku sieci „Mebel Cyroń", wsiąkają w wykładzinę, przypominając instalację sztuki współczesnej. Nostalgia to nie droga ratunku, to wciągająca, ale pułapka – wydaje się mówić Parsons, który osadza film w roku 1990 (z oczywistych przyczyn nie mogąc go pamiętać – urodził się znacznie później).

Potencjalne dziedzictwo świata „Backrooms" to zachęta do wyostrzenia uwagi na przestrzeń, zwłaszcza tę, przez którą przemyka się bezwiednie, albo tę bezdusznie użytkową, która z zasady ma nie sprzyjać budowaniu z nią więzi. Rzeczywistość już wyprzedza tu wyobraźnię. Pomysły sprzedawców tzw. mieszkań inwestycyjnych czy na wynajem krótkoterminowy kipią surrealizmem, którego Salvador Dali do spółki z Maksem Ernstem by nie wymyślili – np. drzwi wejściowe do mieszkania, które prowadzą prosto na sedes, czy mieszkalna piwnica o niezapomnianym prosektoryjnym klimacie, który zapewnia, z braku okien, mroźne światło podłużnej ledówki. A standaryzowane remonty przestrzeni użyteczności publicznej, z identycznymi lampami LED i siedziskami, zastępują nasze dotychczasowe polskie Backroomsy – te z PRL, z niezapomnianą zielonkawą lamperią i gumoleum. Dzięki nim kolejne creepypasty piszą się już same.

©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 48ee648283

REPORTAŻ

INSTRUKCJA WYCHODZENIA Z IZOLATKI



TEKST: BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ILUSTRACJA: MAGDA WOLNA DLA „TP”

Sanatoryjna krzywda dzieje się również dziś, po trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu latach. Ale są tacy, którzy spróbowali zamknąć ją w czasie przeszłym.

Punkty zwrotne przychodzą znienacka. I nie wyglądają na początki happy endów.

Tomasz, aktor po czterdziestce, budzi się w swoim mieszkaniu na 9. piętrze z myślą o dwóch drogach. Jedna wiedzie na balkon.

Sylwia, pisarka, powoli kończy wieloletnią terapię, gdy po raz pierwszy przychodzą do niej dwa słowa: „sanatorium” i „Rabka”.

U Ewy zaczyna się od pytania. „Bałaś się kiedyś czegoś, ale tak bardzo?” – zagaja miła pani na warsztatach psychologicznych. „Nie, skąd!” – odpowiada Ewa, ale po sekundzie czuje, że zaraz się rozpadnie.

Po ponad dwóch dekadach czyta mamie fragment reportażu. O czterolatku, który myślał, że został porzucony, a później przez kilka lat nie odzywał się w szkole. „Dość, wystarczy” – przerwie mama i się rozpłacze.

Trauma-Zdrój, ciągi dalsze

Ten reportaż to „Trauma-Zdrój”, opublikowany przez nas miesiąc temu. Ośmioro bohaterów opowiedziało o sanatoryjnych przeżyciach w Rabce-Zdroju. O poczuciu bycia porzuconym, o fizycznej i psychicznej przemocy – biciu, publicznym upokarzaniu, zmuszaniu do jedzenia itd. A psycholożka Sabina Sadecka mówiła o doświadczeniu pokoleniowym i „polskim tabu” medycznej traumy okresu PRL.

Reportaż przeczytało ok. 100 tys. Polaków, czytelnicy na profilu facebookowym „TP” zostawili kilka tysięcy komentarzy. „Moje ciało jest zdrowe. Ale jarzmo odrzucenia i poczucia bycia niechcianym noszę do dziś” – pisał Maciej. „Trauma życia”, „koszmar” – dodawali inni, i choć pojawiły się też dobre wspomnienia, stanowiły mniejszość.

Jednak wiele z tych „negatywnych” to też opowieści z ciągiem dalszym: o wychodzeniu z traumy, oswajaniu się z krzywdą, o leczeniu, terapii.

Ten tekst przedstawia trzy spośród dziesiątek podobnych historii.

Flashback

– Poza wrażeniem chłodu i porzucenia przez rodziców, spotkało mnie coś jeszcze – mówi do kamery laptopa Tomasz, aktor z dużego miasta. Wiemy, o czym za moment opowie, bo kilka dni wcześniej przysłał maila. „To niesamowite, jaka jest pamięć czterolatka (...) Przez 40 lat trzymałem to w sobie, aż wyhodowałem głęboką depresję” – pisał.

Tomasz: – Janowice Wielkie, prewentorium dla dzieci pracowników kolei. Miałem cztery latka. Regularnie byłem zaprowadzany do pokoju mężczyzny, 30-40 lat, nie wiem, czy lekarza, czy pielęgniarza. Molestował mnie.

– A potem były noce, jeszcze gorsze – dodaje Tomasz. – Spędzałem je w zamykanym od góry łóżku, jak dla niemowlaków. Przychodzili starsi chłopcy, gwałcili mnie. Nie wiem, czemu nie krzyczałem, dlaczego nie wzywałem pomocy, dlaczego nikt tego nie wyłapał. Później na długie lata to wyparłem.

Ewa, przed pięćdziesiątką, jest dzisiaj psychoterapeutką (prosi o zmianę imienia, bo nie wie, jak zareagowaliby pacjenci), lata temu była w Rabce. Po przeczytaniu „Traumy-Zdroju” napisała w mailu: „Jeśli mogę powiedzieć, jak rozumiem po latach takie doświadczenie,

eprasa.pl 48ee648283



chętnie to zrobię". I dalej: „Ma to sens pewnie tylko, jeśli przyda się innym. Da pojemnik ze słów na często nieopowiadane i ucieleśnione doświadczenie".

Rabka-Zdrój, jedno z sanatoriów (chodzi o inną placówkę niż opisany przez nas w reportażu popularny „Pstrowski"). Izolatka: oszklone ściany, łóżko z poduszką. – To w ogóle pierwsza zapamiętana przeze mnie scena z życia – wspomina Ewa. – Dziś bym powiedziała, że jestem blisko szaleństwa: przerażona, krzyczę, rzucam się na przeszklone ściany, żeby mnie ktoś stamtąd zabrał, bo wydaje mi się, że poduszka... oddycha. To jedyne, co pamiętam i co do czego jestem pewna, że się zdarzyło. Oczywiście poza „oddychającą poduszką", która była w mojej głowie i która mówi dużo o skali mojego przerażenia. To było doświadczenie skrajnej dezorganizacji dziecięcej psychiki, przerwanie ciągłości życia psychicznego.

Scena druga, zapamiętana przez jej ojca: mała Ewa schodzi po schodach, on stoi na dole. – Przyjeżdżał czasami z Warszawy, byłam w tym szczęściarą – uważa Ewa. – Pan Krzysztof z waszego poprzedniego reportażu, który myślał, że został porzucony, był pozbawiony najważniejszej i czasem jedynej rzeczy, która dziecku w takiej sytuacji zostaje – nadziei. Ja ją miałam. Tata zapamiętał, że schodzę po schodach i nie chcę rozmawiać. Mówię tylko: „Jak mnie nie zabierzesz, to ci tu umrę".

– Gdy go pytałam o jego reakcję, odpowiedział, że mu serce pękało – dodaje Ewa. – Moja mama starała się tam być, i to kolejna różnica na plus względem innych. Spędziłam tam cztery miesiące.

Sylwia jest pisarką, autorką sześciu książek poetyckich. Będąc w Rabce dwa lata temu, poszła do sanatorium (byłego „Pstrowskiego"; teraz to Śląskie Centrum Rehabilitacyjno-Uzdrowiskowe im. dr. A. Szebesty): – Poczułam te same zapachy, wróciło każde wspomnienie, każda krzywda.

Początki wyglądały jak u bohaterów naszego poprzedniego tekstu: przymus oddania rzeczy osobistych i ubrań, zastąpienie ich starymi ciuchami, często w niedobranych rozmiarach, z podartymi rajstopami; zbiorowe podmywanie się i kąpiele (po tamtym doświadczeniu Sylwia będzie się wstydzić swojego ciała, np. na plaży); zakaz wychodzenia nocą do toalety (dzieci moczyły się do łóżek), stanie za karę w zimnym korytarzu. I karaluchy.

Sylwia: – Były wszędzie. W szafkach, w których trzymałyśmy słodycze od rodziców, w toaletach, w łazience, na podłogach. Oprócz tego najgorsza była wszawica. Miałyśmy grzebieniem wyczesywać wszy i gnidy do umywalek. Wyczesywałam, ale wraz z nimi kapały mi łzy. Potem smarowano nam głowy odpowiednim specyfikiem, który strasznie śmierdział, i kazano chodzić w chustach na głowie. Pamiętam też, jak kiedyś jedna pani karmiła mnie na siłę. Zwymiotowałam. Do tej pory nie lubię mleka, choć wcześniej mi smakowało.

Sylwia opisuje jedną z wychowawczyń, często krzyczącą na dzieci: krótko obcięte włosy, chrapliwy głos, twarz pozbawiona uśmiechu, kurtka moro. – Była też inna surowa osoba, która prowadziła zajęcia z gimnastyki – dodaje Sylwia. – Robiliśmy ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ ćwiczenia tzw. seriami, np. 80 przysiadów, 80 rowerków, nożyce, ćwiczenia na drabinkach. Nie wolno było zwolnić tempa, bo była kara – dodatkowe ćwiczenia. Po ewolucjach na drabince miałam pęcherze na dłoniach. Pękały, pojawiała się krew, zasychało, znowu pęcherze. Ta kobieta krzyczała podczas gimnastyki i ciągle zadawała kary. Prowadziła też lekcje na basenie. I nieistotne, czy ktoś się prawie topił, czy sobie radził: trzeba było pływać prawie non stop. Pamiętam, jak kazała mi robić pompki na twardych płytkach basenowych, przez co miałam pokaleczone ręce.

Sylwia pamięta jeszcze odliczanie dni do końca pobytu: – Pokazywano nam np. dziewczynkę z zaawansowanym skrzywieniem kręgosłupa. „Jak nie będziecie długo w sanatorium, to będziecie takie garbate!" – słyszeliśmy.

Stało się coś złego

Pytamy Ewę, od kilkunastu lat psychoterapeutkę, o etapy zdrowienia. Odpowiada, że pierwszy to dostrzeżenie, że w moim wnętrzu powtarza się jakiś rodzaj cierpienia. I uświadomienie sobie, że stało się coś złego.

Ewa: – Mój początek to warsztat psychologiczny, gdy miałam nieco ponad 20 lat. I pytanie, czy kiedyś się czegoś bardzo bałam, na które odpowiedziałam przecząco. Po sekundzie opanował mnie stan, jakiego nie doświadczyłam nigdy. Paniczny lęku, po którym prowadząca warsztaty się zerwała i zaczęła mnie przytulać. Nikt wcześniej nie zadał mi tak tego pytania. To wtedy zdałam sobie sprawę, że lęk jest w moim życiu dziwnie obecny i że zdarzenia, które wcześniej nie wydawały się istotne, mają tutaj znaczenie.

Tomasz: – Już wcześniej najprawdopodobniej cierpiałem na stany depresyjne, ale pewnego dnia obudziłem się z myślą, że mam dwa rozwiązania. Albo wyskoczyć z 9. piętra, albo pójść do psychiatry. Nie wiem, czy faktycznie bym skoczył, ale to były konkretne myśli. Tego samego dnia znalazłem specjalistę. Później była praca z psychoterapeutką, gdzie wątek sanatoryjny pojawił się dopiero po jakimś czasie. Pamiętam łzy terapeutki, gdy opowiedziałem o swoim pobycie w Janowicach. I jej zdanie: „Ja też jestem człowiekiem".

Sylwia: – Zaburzenia lękowe i depresyjne zmusiły mnie do sięgnięcia po pomoc psychoterapeutyczną. Wydawało się, że wszystko mamy już przeanalizowane, ale bardzo długo nie wspominałam o Rabce. Jednak ze względu na to, że ciągle przez moje życie przewijał się motyw porzucenia, wróciliśmy jeszcze raz do samych początków, by wytropić, skąd się on bierze. Zaczęłam opowiadać o chorobach i po tej nitce doszliśmy do sanatorium. Nagle wszystko otworzyło się znów przede mną, jakby to działo się wczoraj.

Pokłosie

Tomasz (dziś aktor) przyjechał z Janowic Wielkich z tikiem nerwowym. – Zamknięty w sobie, wyciszony – opisuje.

Sylwia (dzisiaj pisarka) przywiozła z Rabki fobię na owady. Nawet na motyle, choć wychowywała się na wsi.

Ewa (teraz psychoterapeutka) wróciła zmieniona: – Wchodziłam pod stół, rodzice nie radzili sobie z moją złością.

Tomasz: – Moi rodzice przez całe dzieciństwo na każdą wzmiankę o tamtej placówce reagowali nerwami. Domyślali się, że działo się tam coś złego.

Ewa: – Komuś z boku opisałabym to tak. Wysadzono mnie jako czterolatkę z pociągu z napisem „rodzina". Zostałam sama, a pociąg z zadowolonymi ludźmi odjechał. Potem wrócił, a pasażerowie myśleli, że zwyczajnie dołączę do tej wesołej wycieczki. Tyle że ja już byłam zmieniona. I wydawało mi się, że nie bardzo pasuję – aż do dorosłości. Czułam się osobna, niepewna. Tak jakbym ciągle była na progu tej izolatki, zmuszona trzymać jedną nogę przed drzwiami, żeby znowu się za mną nie zamknęły.

Sylwia: – Po sanatorium długo bałam się publicznych wystąpień. W szkole, zamiast odpowiadać ustnie, wolałam pisemnie.

Ewa: – Miałam nikły dostęp do lęku w ciągu dnia. Za to w nocy był paraliżujący. I koszmary: stale uciekałam przed czymś po kręconych schodach. Strach przed zaśnięciem w ciemności towarzyszył mi do wieku dorosłego. Trauma zostawia specyficzne poczucie izolacji. Wtórnie owocuje problemami w relacjach z bliskimi, tak było w moim przypadku. Lęk, czy mogę przynależeć. Pragnę tego, ale też bardzo się tego boję. Do tego dochodziła głęboka depresja, w której widziałam życie na zewnątrz, ale nie mogłam się do tego życia przyłączyć.

Jak przeżyć dawny smutek

Kilka dni po rozmowie Ewa przyśle SMS: „Trochę się martwię, czy to, co mówiłam, nie zaszkodzi ludziom, którzy są w tera-



GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

92 km na 92. urodziny!

IDŹ, BIEGNIJ ALBO JEDŹ – na urodziny Redaktora Seniora. Daj Solenizantowi w prezencie swój wysiłek i kalorie. W zamian dostaniesz zdrowie, dobre samopoczucie i prezenty od Redakcji „Tygodnika Powszechnego".

Zapisz się już teraz! tyg-pow.pl/92

Msza Święta w intencji ks. Adama Bonieckiego odbędzie się 26 lipca 2026 r. o godz. 15.30 w kościele pw. św. Stanisława Kostki przy ul. Konfederackiej 6 w Krakowie. Liturgię uświetni koncert organowy prof. Krzysztofa Latały.

eprasa.pl 48ee648283

pii, czy nie wpisze się w podważanie zaufania do naszego zawodu. Nie zaniepokoi, że terapeutka miała tyle kłopotów".

Ale z własnych kryzysów, traum, granicznych doświadczeń czerpało wielu psychologów, psychoterapeutów, psychiatrów. Np. Antoniemu Kępińskiemu przypisuje się epizod psychotyczny. A Maria Orwid, pionierka terapii rodzinnej w Polsce, jako kilkulatka była w sanatorium w Rabce-Zdroju i dla niej również było to ponoć doświadczenie traumatyczne (mówiła o tym niedawno w podkaście „TP" psycholożka i psychoterapeutka prof. Barbara Józefik).

Pytamy Ewę o kolejne – po wypowiedzeniu swojej historii na głos – etapy zdrowienia. Nie chodzi o sztywny schemat, bo takiego nie ma, ale przeżyte przez nią samą i potencjalnie przydatne dla innych momenty zwrotne.

Krok kolejny, mówi, to zauważenie, jak złe rzeczy, które mi się przytrafiły w przeszłości, wpływają na moje teraz. Na lęk, stale obecny smutek, ataki paniki. – Zorientowałam się, że nie wszyscy tak mają – wspomina Ewa. – Dostrzegłam, jak jestem napięta, i jak bardzo to napięcie daje się zredukować np. alkoholem.

Inny moment zwrotny to dla Ewy narodziny jej dziecka, dzięki niemu doszacowała wagę swojej traumy: – Gdy córka miała cztery latka, a więc tyle, co ja wtedy, pomyślałam: „Ta dziewczynka, której bym nie zostawiła na dłużej niż parę dni, miałaby być sama przez kilka miesięcy?".

Krok kolejny według Ewy: – Przeżyć to, co jest do przeżycia, gdy sercem zobaczę siebie sprzed lat. Nie da się w wieku prawie 50 lat wypłakać łez, które się miało do wypłakania w wieku lat 4, ale pozwolenie sobie na to, by pomyśleć zdanie: „Naprawdę spotkała mnie wielka krzywda", jest bardzo ważne.

Ewa mówi, że dobrze zrobić te wszystkie kroki z fachową pomocą. Tomasz i Sylwia, zanim znaleźli drogę do gabinetów psychoterapeutycznych, opowiadali o swojej przeszłości poprzez sztukę.

Tomasz: – Jako sześciolatek zacząłem grać na fortepianie, trwało to 11 lat i dawało mi ukojenie. Dorośli zawiedli, ale mogłem wykorzystać klawisze i dźwięk. Potem poszedłem w aktorstwo, to był chyba kolejny etap – jako aktor jestem ja, bez protez. Ja i moje emocje, z którymi wchodzę na pustą scenę.



EWA, TERAPEUTKA:

Dzięki rozmowie z mamą dostałam zgubiony kawałek jej miłości z tamtego czasu – jakbym po latach mogła zobaczyć i poczuć, że mnie kochała.

Sylwia: – Pisać zaczęłam jeszcze w Rabce. To pozwalało mi na oderwanie się od sanatoryjnej rzeczywistości.

O innym wymiarze zdrowienia wspomina Ewa: – To regulacja układu nerwowego, który u osoby z traumą jest zawsze przeciążony. Chodzi mi o aktywne, świadome wybieranie tego, co koi, bo jest większe i trwalsze niż nasze doświadczenia. Dla mnie to np. las.

Ekspozycja

Po poprzednim reportażu dostajemy telefon od wydawcy „Dzień Dobry TVN", popularnej telewizji śniadaniowej. Chcą rozmawiać m.in. z jednym z bohaterów naszego tekstu. Wybór pada na Krzysztofa, który opowiedział nam o poczuciu porzucenia.

Opowiadał też o spustoszeniu, jakie pobyt w sanatorium wywołał w jego dalszym życiu. Skoro nie odzywał się słowem w szkole, a w dorosłości „gasł" w większej grupie, np. w czasie wystąpień, to czy da radę przed kamerami?

„Czuję ogromny strach i stres (...) Zrobiłem już duży krok, że jestem w stanie w ogóle o tym mówić, ale w niektórych sytuacjach dalej mogę zanosić się płaczem. Czuję też wściekłość, że to przez Rabkę moje ciało tak reaguje. Z drugiej strony, bardzo tego chcę: i rozgłosu tematu, i przekraczać swoje granice" – pisze do nas Krzysztof i prosi o czas na zastanowienie.

Po kilku dniach przychodzi odpowiedź: „tak". „Jestem pewien, że mnie to wzmocni" – powie przed programem. W trakcie rozmowy na żywo będzie moment, kiedy z trudem opanuje łzy – stanie się to podczas zdawania relacji o wspólnej wizycie w dawnym „Pstrowskim" wraz z synem.

Po programie powie, że stanięcie przed kamerą przełamało jego lęk przed większym audytorium – przywieziony, jak wierzy, z Rabki.

Terapeuci poznawczo-behawioralni nazywają to ekspozycją. Dobrowolnym, stopniowym oswajaniem się z trudnymi sytuacjami.

Lustro

Tomasz, Ewa i Sylwia opowiadają nam o niełatwych rozmowach z bliskimi. Rodzeństwem, partnerami, rodzicami.

Tomasz: – Po lekarzu i terapeucie była siostra. Potem moja partnerka – miałem wtedy 41 lat. Z początku pojawił się strach, ból, zagubienie. Partnerkę to zgasiło, rozproszyło, ale nie postawiłem się w pozycji „biednego misia", który przychodzi po ratunek, sam walczyłem o siebie. Ją też namówiłem na terapię.

Sylwia: – Po tekście w „Tygodniku" rozmawiałam z rodziną. W tamtych czasach, czyli w latach 80., lekarz ze Śląska po prostu wypisywał skierowanie na leczenie i trzeba było się temu poddać. Owszem, gdy byłam mała, nie rozumiałam tych mechanizmów systemowych, ale teraz wiem, że rodzice nie mieli innych możliwości leczenia dziecka z chorobą kręgosłupa.

Tomasz: – Tata był mocnym charakterem i gdy któregoś dnia nadepnął mi na odcisk, mówiąc coś w rodzaju: „A co ty z tą twoją depresją?", powiedziałem: „Usiądźcie". I opowiedziałem wszystko. Serca im prawie popękały, płakali. Przeprosili mnie. Nie chcę ich winić, ale wiem, gdzie leży ich odpowiedzialność. Byłem już na tyle silny, że mogłem z nimi normalnie rozmawiać, potrafiłem się nawet przy tym uśmiechnąć.

Ewa: – Wcześniej z mamą prawie o tym nie rozmawiałyśmy. Ale teraz ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ przeczytałam jej na głos kawałeczek artykułu z „Tygodnika”. Sam początek reportażu, o tym, co się dzieje w dorosłości z ludźmi po traumie. A także fragment o panu Krzysztofie, że czuł się porzucony. Właśnie wtedy, po kilku zdaniach, poprosiła, bym przerwała, i zaczęła płakać. Opowiedziała mi, że jak wróciłam z Rabki, to nie chciałam rozmawiać, rzuciłam lalką. Dzięki tej rozmowie dostałam ten zgubiony kawałek jej miłości z tamtego czasu – jakbym po latach mogła zobaczyć i poczuć, że ona mnie wtedy kochała.

– Sam reportaż był dla mnie jak zamknięcie niepełnej figury geometrycznej, która męczy niczym otwarte okienko w komputerze – dodaje Ewa. – Dostałam lustro, wydarzenia tak bardzo zbieżne z moimi. Też łazienka, też zamach na intymność, też opuszczenie, też zmuszanie do jedzenia, też kompulsywna masturbacja kogoś, z kim się jest w pokoju, itd. Najważniejsze sfery życia: intymność, fizjologia, relacje. Wszystko, co tworzy życie, było tam zaburzone, a ja dostałam ostateczny dowód, że tak mieli też inni ludzie.

Nie tylko Polska

Nie tylko w Polsce – w innych krajach też. W 2022 r. portal polskieradio24.pl cytował kolońską rozgłośnię Domradio, donoszącą o „koszmarnych obrazach przemocy” w Nadrenii Północnej-Westfalii. „Z ustaleń nadreńskiego rządu wynika, że jeszcze w latach 80. XX wieku w niemieckich domach uzdrowiskowych dzieci były systematycznie bite i poddawane torturom”. Istnieje też podejrzenie, że prowadzono na nich eksperymenty medyczne, testując preparaty na uspokojenie, które pogarszały zdrowie.

Pod koniec 2019 r. niemieccy poszkodowani spotkali się po raz pierwszy na ogólnokrajowej konferencji, gdzie mogli podzielić się swoimi doświadczeniami. Założyli stowarzyszenie – Inicjatywę na Rzecz Dzieci Wysyłanych. Domagają się od władz Niemiec i poszczególnych krajów związkowych stworzenia z publicznych środków centrum dokumentacji oraz ośrodka doradztwa dla poszkodowanych. Pojawił się też pomysł, by na budynkach nieczynnych już sanatoriów upamiętnić byłych dziecięcych pacjentów.

TOMASZ, AKTOR:

Dwa miesiące po zamknięciu terapii odkryłem, że już nie muszę wchodzić na scenę. I że nie jestem, ale byłem ofiarą złych ludzi w sanatorium.

Dzisiaj

Gdzie Sylwia, Tomasz i Ewa są dzisiaj?

Sylwia: – Przywołanie, wypowiedzenie i przeanalizowanie doświadczeń sanatoryjnych pozwoliło mi zrozumieć przyczyny różnych swoich zachowań. Bez tego człowiek błądzi we mgle i ma nieuzasadnione poczucie winy. Wypracowałam sobie całkiem niezły sposób funkcjonowania. Na zewnątrz mogę wydawać się osobą otwartą, twórczą, odważną. To nie znaczy jednak, że wszystko minęło jak ręką odjął. Ciągle pulsuje we mnie jakiś stan lękowy. Jednak umiem już sobie z tym radzić.

Tomasz: – Dwa miesiące po zamknięciu terapii odkryłem, że już nie muszę wchodzić na scenę. Teraz jestem pedagogiem teatru, mam satysfakcję, gdy widzę, jak niektórzy moi uczniowie zachodzą w zawodzie dalej ode mnie. Dzięki terapii mogę powiedzieć, że nie jestem, ale byłem ofiarą złych ludzi w sanatorium.

Sylwia: – Choruję na nerki, często bywam w szpitalach i bez oporów informuję personel, że ze względu na złe doświadczenia z dzieciństwa potrzebuję po swojemu zagospodarować przestrzeń. Zwłaszcza zadbać o warunki higieniczne. Ważne jest też dla mnie, by wiedzieć, na czym będą polegały zabiegi. To pomaga oswajać lęk, ale też poczuć się podmiotowo, czego w „Pstrowskim” zabrakło.

– No i paradoksalnie, jako przejaw zdrowienia oceniam to, że potrafię dziś spojrzeć na pobyt w Rabce w sposób bardziej wypośrodkowany – dodaje Sylwia. – Tych pozytywnych stron było może 20 proc. w porównaniu z koszmarnymi, ale teraz je też dostrzegam. Np. byli wychowawcy i pielęgniarki, a zwłaszcza nauczyciele, których wspominam dobrze. Szkoła sanatoryjna była miejscem wytchnienia: wykwalifikowana kadra, świetnie wyposażone pracownie. Chcę to podkreślić: były w sanatorium nieliczne osoby, które miały w sobie pokłady empatii i dzięki którym bywały chwile z perspektywy dziecka przyjemne.

Izolatka

Ewa: – Jest taki tekst ks. Tischnera „Ludzie z kryjówek” [esej napisany w 1978 r. – red]. Do kryjówek trafiamy z powodu różnych życiowych okoliczności. A to, co może nas z tych kryjówek wydobyć, to nadzieja i fakt, że poza przestrzenią izolacji zobaczymy jakieś ważne dla nas wartości. Sama też tkwiłam w takim ukryciu, niczym w tej rabczańskiej izolatce, przez lata. Poza nią zobaczyłam ludzi, relacje, pracę i miłość.

©℗ BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Instytucje (nie) reagują

W POPRZEDNICH CZĘŚCIACH REPORTAŻU opisaliśmy nasze próby uzyskania od instytucji reakcji na opisane zdarzenia. Komentarza odmówił nam burmistrz Rabki-Zdroju, nie dostaliśmy też odpowiedzi na pytania od spadkobiercy prawnego sanatorium „Pstrowskiego” w Rabce.

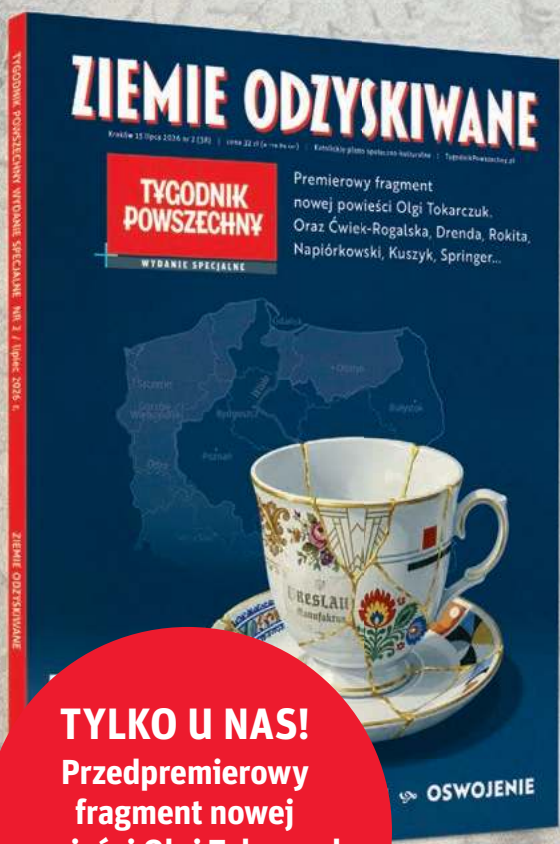
Z KOLEI następcą prawnym byłego Prewentorium Kolejowego dla dzieci w Janowicach Wielkich w województwie dolnośląskim, które działało przez kilkadziesiąt lat od 1955 r., jest Wojewódzki Szpital Rehabilitacyjny, funkcjonujący w tym samym budynku od 2017 r. Na nasz e-mail do tej placówki odpowiedziała Teresa Szkaradek-Roman, kierowniczka administracyjno-gospodarcza szpitala, która pracowała też w latach 70. (na niższych stanowiskach i nie w pionie wychowawczym) w prewentorium. Na pytania dotyczące dramatycznych zdarzeń dotyczących pana Tomasza urzędniczka odpowiedziała, że nie pamięta ani tej historii, ani żadnych doniesień o przemocy na terenie placówki. ©℗ BCH, PW

eprasa.pl 48ee648283

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.



TYLKO U NAS!
Przedpremierowy fragment nowej powieści Olgi Tokarczuk. Sprawdź, na co czeka cały literacki świat!

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZIEMIE ODZYSKIWANE

Przestrzenie pośrednie

Oswajanie miejsca nie musi być czynieniem go wyłącznie swoim. Może też oznaczać respektowanie jego dziedzictwa, rozumienie jego obcości, świadomość granicy pomiędzy moim światem i światem innego.

CVETA DIMITROVA

W 1991 r. przyjechałam z rodzicami i bratem do Polski. Na chwilę, na kilka lat. Spędziłam tu, jak dotąd, trzydzieści pięć, a o nadanie mi polskiego obywatelstwa wystąpiłam dopiero dekadę temu. Język opanowałam wcześnie, chodziłam do polskich szkół, studiowałam po polsku, miałam tu przyjaciół i rozmaite relacje, polskość była moją drugą skórą, choć zawsze przedstawiałam się jako Bułgarka. W sensie geograficznym przekroczyłam kilka granic, ale znalazłszy się tu w ostatniej dekadzie XX w., przekroczyłam przede wszystkim granice tego, co znajome, zostałam wrzucona w coś nowego i nieoswojonego. Tamta epoka również była graniczna. Właśnie skończył się jeden ustrój, rozpoczęła się budowa nowej rzeczywistości.

Dla tych, którzy zasiedlali obszary objęte powojenną zmianą granic, czyli tzw. Ziemie Odzyskane, to doświadczenie było zapewne zupełnie inne, niemniej jedno może je łączyć z moim – przybycie, oswajanie i życie pośród czegoś poniekąd obcego. Choć życie osadnika zaczyna się od nowa, to nigdy nie wkracza w pustkę, tylko buduje własną historię w miejscu, które miało już cudzą.

Oswajanie polskości dla mnie jako dziecka odbywało się przez drobne gesty – mimowolną naukę języka podczas zabawy, interakcje z paniami w przedszkolu, obserwację otoczenia, wdrażanie się w tutejsze rytuały. Dość szybko zaczęłam postrzegać rzeczy lub zjawiska jako „polskie”. Układało się to w jednorodny obraz tego, że coś jest ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ charakterystyczne, „tutejsze". Dostrzegałam różnice względem mojego kraju pochodzenia – w krajobrazie, potrawach, sposobach obchodzenia się z przedmiotami, nawet w oczekiwaniach wobec dzieci. Od rzeczy oczywistych dzieliła mnie niewidzialna granica.

KIEDY PRAWIE DZIESIĘĆ LAT TEMU trafiłam na książkę „Granica" nieznanej mi autorki o bułgarsko brzmiącym nazwisku, coś mnie w tym tytule uderzyło. „Być może wszystkie granice brzmią na falach podświadomości – ostatecznie to tutaj materia rzednie" – pisała Kapka Kassabova (przeł. Maciej Kositorny). Co to znaczy, że materia rzednie właśnie tam, gdzie różnic doświadczamy w sposób jak najbardziej konkretny i materialny – w kształtach budynków, w architekturze przestrzennej, w przedmiotach, w drobiazgach, które zdradzają swoją obcość, przeszłość oraz historię jej mieszkańców?

Opowieść o podróży Kassabowej po bułgarsko-turecko-greckich terenach przygranicznych przyciągnęła mnie najpierw przez to, że jest historią miejsc, z których pochodzą moi przodkowie. Autorka wędrując przez nieomal opuszczone już wioski, wsłuchiwała się w opowieści mieszkańców – tych, którzy byli tu od zawsze, tych, którzy uciekali, wracali, a ich przynależność determinowały nie tyle wybory osobiste, co tektoniczne ruchy wielkiej historii. Kolekcjonowała opowieści o tych, którzy uciekali z Bloku Wschodniego, narażając życie z nadzieją na coś lepszego – kiedyś. A dziś – opowieści tych, którzy obierali kierunek odwrotny – ku Europie, w nadziei na lepszą przyszłość.

Kassabova pisała o tych miejscach na peryferiach, miejscach styku, miejscach naznaczonych mitami nowożytnymi i starożytnymi, którym nadała miano „psychicznie namagnetyzowanych". Zaludnionych przecież przez konkretnych ludzi, czasem podobnych, czasem całkiem różnych, ale przecinających się w tej przestrzeni, tworząc historie nawarstwiające się przez kolejne dekady. Przez te tereny przetaczały się osobiste losy, kształtowały różne tożsamości, dla jednych zaczynało się tu nowe życie, dla innych coś kończyło się bezpowrotnie.

Tymczasem ja, wraz z rodziną, znalazłam się w polskiej stolicy – w polskim „centrum", na początku nowej epoki. Zmieniło się jednak nie tylko moje miejsce. Dla dziecka przybyłego z Bułgarii Polska dała się odczuć – choć wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam – również jako przestrzeń „psychicznie namagnetyzowana". Jej losy nabierały dla mnie kształtu powoli, a jej tajemnice odsłaniały się przede mną stopniowo. Jako zewnętrzna obserwatorka byłam cały czas na pograniczu. Kiedy słyszałam komentarze rodziców o architekturze niektórych miast albo ich niemiecko brzmiących nazwach, przeczuwałam jakąś inność, ale nie całkiem rozumiałam, co to znaczy. Niemieckie w Polsce? Byłam za mała, żeby to pojąć. A jednak przez te drobiazgi przedzierało się echo pogranicza, krusząc powoli obraz wyobrażonej przeze mnie polskiej spójności.

GRANICE PAŃSTW BYWAJĄ TAKŻE GRANICAMI CZASÓW. Tak jak Kassabova opisuje pogranicze jako miejsce, w którym zagęszczają się historie, tak ziemie przyłączone do Polski po II wojnie światowej stały się dla mnie soczewką polskiej niejednorodności. Pokazują, że oswajanie miejsca nie polega na wejściu w pustkę, lecz na zamieszkaniu wśród śladów, przeszłych żyć i cudzych historii. Tym samym ziemie odzyskiwane nie dają się pomyśleć wyłącznie w kategoriach narodowościowych. To historie zamieszkiwania, pamięci, budowania życia na nowo.



W otwierającej najnowsze wydanie specjalne rozmowie Beaty Chomątowskiej Karolina Ćwiek-Rogalska nie przypadkiem nazywa Ziemie Odzyskane po prostu „Ziemiami". Tymi, które stały się częścią polskiej mozaiki, na którą składają się place zabaw powstałe na miejscach dawnych cmentarzy albo kapliczki, przy których ludzie modlą się, nie wiedząc, że pod figurą Maryi znajdują się niemieckie nazwiska poległych żołnierzy. Oswajanie miejsca, zadomowienie się jest tak samo dialogiem z przeszłością, jak i pytaniem o przyszłość, którą można sobie w tym miejscu wyobrazić. Ślady innych nie znikają, czasem przestajemy je jednak zauważać.

Pojawiając się, wchodzimy w interakcję tak samo z przestrzenią, jak i z czasem. Przypomniał mi się Sebald, którego bohaterowie, wędrując, odkrywają archiwa w otoczeniu i przedmiotach, widzą zapętlenia czasu. Jego bohater, Austerlitz, powiada: „kiedy na przykład idąc przez miasto, za-

eprasa.pl 48ee648283



CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Podświetlona na niebiesko Filharmonia im. Mieczysława Karłowicza. Szczecin, 2 kwietnia 2023 r.

glądam na jedno z tych cichych podwórek, gdzie od dziesiątków lat nic się nie zmieniło, czuję niemal cieleśnie, jak strumień czasu spowalnia w polu grawitacji zapomnianych rzeczy. (...) A czy nie można sobie wyobrazić, że mamy umówione spotkania także w przeszłości, w tym, co już było i po większej części przeminęło, i mamy tam odszukać miejsca i osoby, które niejako poza czasem, pozostają z nami w jakimś związku?" (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Te ruchome przestrzenie naznaczone są specyficzną kondensacją czasu, bo niosą pamięć przeszłości, a teraźniejszość to chwila, w której bierzemy odpowiedzialność za to, co zastaliśmy.

ABY PRZYBYSZA MOŻNA BYŁO MIANOWAĆ TUBYLCEM – ten proces nie ma chyba konkretnego czasu trwania. Historia ziem włączonych do Polski po zmianie granic to też różne historie kolejnych zamieszkujących je pokoleń. Wpierw tych, którzy się tu osiedlili, zostawiwszy za sobą swoje dotychczasowe miejsca i życia. Następnie tych, którzy się w tym miejscu urodzili, ale często otrzymywali w spadku poczucie tymczasowości i kruchości ich przynależności do miejsca. Potem kolejnych, dla których stopniowo zanika pamięć o różnicy, a znajome jest tylko to, co na miejscu.

Nie mam pojęcia, czy migranta kiedykolwiek opuszcza poczucie tymczasowości. Poczucie niepewności przypisane jest przybyciu w nowe miejsce. Spojrzenie w stronę tego, co utracone, nadzieja na budowanie tego, co przyszłe, ale i nieustająca czujność, a może czasem wyczekiwanie związane z przekonaniem, że to rozwiązanie chwilowe i prowizoryczne. Dla kolejnych pokoleń jest jednak doświadczenie wrastania, z pamięcią o historii, ale z myśleniem o przyszłości.

Przez lata przeciwstawiałam tymczasowości wyobrażenie stałości. Myślałam, że zadomowienie oznacza odzyskanie tego, co zostawiłam za sobą: języka, kultury, melodii, miejsc, przedmiotów. Jednak zakorzenienie oznacza również decyzję o związaniu swojej przyszłości z danym miejscem. Przez budowanie relacji i myślenie o tych, którzy przyjdą po mnie. To łączenie pamięci o różnych czasach i możliwość stwarzania nowego.

PRZEZ LATA MYŚLAŁAM TEŻ O POLSCE JAKO O MIEJSCU, do którego przyjechałam, ale trudno mi było o niej myśleć jako o domu – właśnie przez doświadczenie różnicy, ten rodzaj wyobcowania i niepewności, kiedy czuje się, że coś nie jest moje i zamienia się to w „nie znam, nie rozumiem, nie mam prawa". Tym bardziej trudno było wypowiadać się niejako „z zewnątrz" o tym, czym jest zadomowienie się ludzi o zupełnie innych losach i biografiach na Ziemiach. Odkrywam jednak, że paradoksalnie wrastanie nie wiąże się z odzyskiwaniem pamięci ani z tłumaczeniem przeszłości na teraźniejszość, ale z projektowaniem siebie w przyszłość, z poczuciem „jestem stąd", „mam prawo", „mogę budować", „mieszkam tu, tak jak inni mieszkali". Wtedy przeszłość nie znika, ale nie przesłania innych warstw, a czas – jak u Sebalda – ze sobą współistnieje.

Oswajanie miejsca nie musi być czynieniem go wyłącznie swoim. Może też oznaczać respektowanie jego dziedzictwa, rozumienie jego obcości, świadomość granicy pomiędzy moim światem i światem innego. Zarazem Ziemie Odzyskane i tajemnice, które zaczęła odsłaniać przede mną Polska, rozbiły obraz jednolitego bytu, który sobie zbudowałam, a może został mi podsunięty w warszawskiej szkolnej ławce w latach 90. Dopiero później zaczęłam rozumieć, że polskość składa się również z doświadczeń przybycia, przesiedlenia i życia na styku różnych pamięci. To zaprzeczyło intuicji, że wrosnąć w polskość to rozpoznać jeden kod, z którym mogłabym się mniej lub bardziej utożsamić. Przybycie jest jedną z form istnienia, tak samo tu, jak i wszędzie indziej.

Kassabova pisała o tym, że „nikomu z nas nie uda się uciec przed granicami – między nami samymi i innymi, między zamierzeniem a czynem, śnieniem i przebudzeniem, życiem i śmiercią. Być może ludzie pogranicza mogą powiedzieć nam coś o przestrzeniach pośrednich". Przestrzenie pośrednie mogą być domem: miejscem, gdzie cudza przeszłość i nasza przyszłość pozostają ze sobą w dialogu, a przedmioty i miejsca zyskują nowe znaczenia, nie tracąc pamięci o tym, czym były wcześniej.

© CVETA DIMITROVA

eprasa.pl 48ee648283

MATKA WSZYSTKICH DRÓG

Przecinająca Stany legendarna trasa Route 66 obchodzi 100 lat istnienia. Przez ten czas wiele się w USA zmieniło. Choć zarazem niewiele. Udajmy się nią w podróż – także w czasie.

MARTA ZDZIEBORSKA



NICK FOX / ADOBE STOCK

Mieszkańcy Albuquerque mają kawałek historii tuż pod nosem. Przez środek tej półmilionowej metropolii w stanie Nowy Meksyk ciągnie się Central Avenue: niemal 29-kilometrowy odcinek Route 66 – czyli Drogi nr 66 – usiany starymi neonami restauracji i moteli.

Jadące tędy samochody mijają m.in. neon, który jest pozostałością po De Anza Motor Lodge – motelu założonym w 1939 r. przez C.G. Wallace'a, handlarza indiańską biżuterią. Jego motel, nowoczesny jak na tamte czasy, wyposażony był w każdym pokoju w prysznic, telefon i klimatyzację. Wallace, szukając nowych rynków zbytu, sprzedawał swoim gościom biżuterię wykonaną przez indiańskie plemię Zuni. Dobrze je znał, bo przez wiele lat prowadził sklep na terenie ich rezerwatu w Nowym Meksyku.

De Anza Motor Lodge po wielu dekadach osławili twórcy amerykańskiego serialu „Breaking Bad", filmując jedną ze scen na parkingu opuszczonego już motelu. Dziś na tym terenie mieści się osiedle luksusowych apartamentów, ale motelowy neon pozostał.

Podobnie jak ten na budynku baru Dog House, działającego wciąż w Albuquerque. Słynie on z 30-centymetrowych hot-dogów z chili oraz z podświetlanego nocą jamnika, który merda ogonem i wgryza się w pęto kiełbasek. Neon dobrze znany jest fanom „Breaking Bad" – to tu, właśnie w Dog House, jeden z bohaterów serialu jadał i robił ciemne interesy. W świecie rzeczywistym knajpa stołuje Amerykanów od 1948 roku.

Dobry numer

Route 66 usiana jest historiami przydrożnych moteli i barów, które do dziś przyciągają turystów z całego świata.

Legendarna szosa przecina osiem stanów – od Chicago w stanie Illinois, przez Missouri, Kansas, Oklahomę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizonę, aż do Kalifornii. Trasa, licząca ponad 3900 km, kończy swój bieg w Santa Monica, położonej nad Pacyfikiem miejscowości niedaleko Los Angeles.

Route 66 formalnie funkcjonuje od 11 listopada 1926 r., gdy zatwierdzono pierwszy w kraju system numerowanych autostrad. Trasa, łącząca istniejące już drogi lokalne, stanowe i krajowe, otrzymała łatwy do zapamiętania nr 66, o co zabiegał biznesmen z Oklahomy Cyrus Avery. Zależało mu na chwytliwej nazwie, bo widział w tej trasie potencjał – szansę na rozwój jego rodzinnego miasta Tulsa, gdzie sam zresztą prowadził stację benzynową.

Już w 1927 r. Cyrus Avery, razem z innym biznesmenem Johnem Woodruffem, założyli organizację U.S. 66 Highway Association, której celem była promocja nowej autostrady oraz zabieganie o utwardzenie jej nawierzchni na całej długości.

Jeszcze zanim pod koniec lat 20. XX w. Stany pogrążyły się w Wielkim Kryzysie, dwójka biznesmenów zwerbowała znanego agenta sportowego Charlesa C. Pyle'a, aby zorganizował bieg transkontynentalny z Los Angeles do Nowego Jorku. Nagłośnione przez media zawody trwały 84 dni – przez ten czas Amerykanie mogli czytać o zmaganiach biegaczy i pięknych krajobrazach Południowego Zachodu USA.

Droga Matka

Jako jedni z pierwszych – z konieczności, a nie z wyboru – Route 66 przemierzyli mieszkańcy wielkich równin w środkowych Stanach. W latach 30. XX w. uciekali przed kryzysem gospodarczym oraz suszami i burzami pyłowymi, które zrównały z ziemią wiele gospodarstw rolnych.

Większość migrantów kierowała się do Kalifornii, gdzie panował łagodniejszy klimat, co umożliwiało uprawę ziemi przez cały rok. Odnosząc się do tej tułaczki, pisarz John Steinbeck nazwał Route 66 „Drogą Matką" – i to określenie już do niej przylgnęło.

W czasie II wojny światowej przemieszczały się nią na zachód ciężarówki ze sprzętem wojskowym, zaopatrzeniem i żołnierzami. Gdy zaś nastał pokój, ↦

Motel Roy's przy Route 66, Amboy, Kalifornia, listopad 2023 r.



↦ Route 66 stała się popularną trasą wakacyjną dla amerykańskich rodzin.

To podczas podróży legendarną szosą w 1946 r. powstał pomysł na przebój „(Get Your Kicks On) Route 66". Tekst piosenki napisał Bobby Troup – twórca z Pensylwanii, któremu marzyła się kariera w Hollywood. W trakcie przeprowadzki do Los Angeles jego żona Cynthia wpadła na chwytliwą, tytułową frazę, a on za nią podążył.

Ponoć niecały tydzień po przyjeździe do Kalifornii Troup przedstawił szkic piosenki Natowi Kingowi Cole'owi, pierwszemu wykonawcy przeboju. „Drogę Matkę" spopularyzował potem także serial „Route 66", opowiadający o dwóch młodych mężczyznach podróżujących Corvettą przez Stany. Pierwszy odcinek telewizja CBS wyemitowała 7 października 1960 r., w dniu debaty rywali w wyścigu prezydenckim – Richarda Nixona i Johna F. Kennedy'ego.

Symbol swobody (dla niektórych)

Popularność Route 66 napędzała nie tylko popkultura, ale także powojenne *prosperity* i produkcja coraz tańszych aut, co sprawiło, że klasę średnią stać było na wycieczkę do Wielkiego Kanionu czy na plaże Kalifornii.

Ci, którzy chcieli zarobić na turystycznym boomie, prześcigali się w pomysłach, jak zachęcić kierowców do zjechania z trasy. Stąd oryginalne neony (jak ten z jamnikiem w Albuquerque), motele oferujące nocleg w betonowym tipi czy przydrożne atrakcje, jak ogromne figury dinozaurów czy farmy węży.

Route 66, przebiegająca w znacznej części przez tereny rdzennych Amerykanów, także im dawała zarobić. Naprawiali auta, sprzedawali ceramikę, tradycyjne wypieki i biżuterię. Już w połowie lat 20. XX w. indiańskie wioski odwiedzali zamożni Amerykanie, którzy chcieli zobaczyć Południowy Zachód USA. Gdy więc ludzie zaczęli podróżować Route 66, na przydrożnych billboardach roiło się od indiańskich akcentów, np. pióropuszy i tipi (co według krytyków jedynie umacniało kulturowe stereotypy).

Autostrada Route 66, przez dekady przedstawiana jako symbol swobody, na początku nie kojarzyła się tak jednak Afroamerykanom. W czasach segregacji rasowej nie obsługiwano ich bowiem na większości stacji benzynowych, w barach czy motelach. W 1930 r. niemal połowa hrabstw położonych wzdłuż Route 66 usiana były miejscowościami, gdzie czarnoskórzy mieli zakaz pojawiania się po zmroku. W niektórych miastach umieszczano tablice: „Czarnuchu, nie pozwól, by słońce tu nad tobą zaszło".

To nie była tylko groźba. Znalezienie się w takim miejscu nocą mogło skończyć się linczem z rąk białych Amerykanów.

Poradnik dla czarnych

Aby uniknąć problemów, wielu czarnoskórych kierowców zabierało w trasę dodatkowe kanistry z benzyną, lodówki turystyczne, a nawet przenośne toalety. Często nie zatrzymywali się nawet na nocleg, co przy zmęczeniu długą jazdą zwiększało ryzyko wypadków.

Z myślą o takich kierowcach w 1936 r. powstał przewodnik z listą obiektów obsługujących Afroamerykanów. Aktualizowaną co roku publikację pt. „The Negro Motorist Green Book" wydawał czarnoskóry listonosz z Nowego Jorku – Victor H. Green. Przewodnik ukazywał się do 1967 r., czyli jeszcze przez kilka lat po zniesieniu segregacji rasowej w miejscach publicznych, szkołach i pracy.

W czasach segregacji odległości między przydrożnymi motelami i barami dla Afroamerykanów były ogromne. Według „Green Book" po wyjechaniu z Chicago, kolejne takie obiekty były dopiero w Springfield, mieście oddalonym o ponad 300 km. Inny przykład: na krótkim odcinku Route 66 w zróżnicowanym etnicznie mieście Albuquerque tylko kilka moteli spośród setki oferowało nocleg czarnoskórym. Otwarty dla nich był m.in. wspomniany De Anza Motor Lodge.

To smutny paradoks, że uciekając przed rasizmem w południowych stanach, Afroamerykanie doświadczali go także w innych rejonach kraju. Nawet kalifornijskie miasta, jak Glendale czy Culver City, znane były z rasistowskiej polityki i działalności „pilnujących porządku" członków Ku Klux Klanu. Również na plażach w Santa Monica, gdzie Route 66 kończyła swój bieg, obowiązywała segregacja rasowa.

O panujących wtedy realiach przypomina też historia Nata Kinga Cole'a. Wykonawca wspomnianego przeboju często nie mógł nocować w hotelu, w którym grał koncert, bo był on zarezerwowany tylko dla białych.

Śladem autobahnów

Rozsławiona przez Cole'a, „Droga Matka" przestała pełnić funkcję autostrady w 1985 r. Stało się tak za sprawą rozwiniętej sieci dróg międzystanowych, których budowa rozpoczęła się w latach 50. XX w.

Głównym architektem zmian był prezydent Dwight D. Eisenhower. Zainspirował się niemieckimi autostradami, jakie widział jako naczelny dowódca sił alianckich w czasie II wojny światowej. Na mocy podpisanej przez Eisenhowera ustawy z 1956 r. priorytetem były autostrady łączące stolice stanów i miejscowości o liczbie mieszkańców powyżej 50 tysięcy.

W efekcie już w latach 70. niemal wszystkie odcinki Route 66 zostały wyparte przez kilkupasmowe drogi, umożliwiające kierowcom szybkie przemieszczanie się na dużych odległościach, z dala od zakorkowanych centrów miast.

„Droga Matka" tego nie gwarantowała. Na facebookowej grupie „Historic Route 66" czytam wpis Wayne'a Schella, byłego żołnierza *marines*, który wspomina, że na trasie przecinającej miasteczka obowiązywało ograniczenie prędkości do 30 mil na godzinę (ok. 48 km/h). Schell, podróżujący w latach 50. między bazą wojskową w Kalifornii a stanem Illinois, pisze, że ruch na trasie spowalniały też znaki „stop" i sygnalizacja świetlna.

Gwoździem do trumny dla Route 66 było otwarcie w październiku 1984 r. odcinka autostrady międzystanowej nr 40, który omijał miasteczko Williams w Arizonie. Jego mieszkańcy, po nieudanej sądowej walce o zablokowanie budowy, zorganizowali dla Route 66 „przyjęcie pożegnalne". Zaprosili na nie Bobby'ego Troupa, który wykonał swój kultowy „(Get Your Kicks On) Route 66". Specjalnie z tej okazji do utworu wyliczającego miasta położone wzdłuż legendarnej szosy dodał arizońskie Williams.

Ucieczka na przedmieścia

Sieć autostrad nie tylko strąciła Route 66 z piedestału, ale także sprawiła, że położone wzdłuż trasy miasteczka, usiane oryginalnymi motelami, mocno podupadły. Jednocześnie wzdłuż nowych dróg budowano sieciowe hotele i restauracje, które

eprasa.pl 48ee648283

oferowały gościom przewidywalny standard.

Z czasem międzystanowe autostrady na dobre zdeterminowały amerykański styl życia. To one przyspieszyły proces suburbanizacji, czyli przenoszenia się na przedmieścia, gdzie zamiast gnieździć się w budynkach wielorodzinnych, klasa średnia kupowała na kredyt dom z ogródkiem.

Przeprowadzka na przedmieścia, z dobrymi szkołami i niską przestępczością, stała się symbolem sukcesu i awansu społecznego. Tyle że z suburbanizacji, podobnie jak wcześniej z Route 66, na równi nie mogli skorzystać czarnoskórzy Amerykanie. W wyniku polityki segregacji rasowej mieli zakaz kupowania domów na białych przedmieściach, choć przy ówczesnych cenach byłoby ich jeszcze na nie stać.

Tak powstały obszary dwóch prędkości: białych zamożnych przedmieść i czarnych dzielnic w miastach, przez które planiści bez skrupułów wytyczali coraz to nowe autostrady. W efekcie dziś kolejne pokolenia Amerykanów z mniejszości etnicznych muszą wychowywać się w rejonach oszpeconych przez wielkie arterie i wiadukty.

Drugi dom Amerykanów

Wielka budowa autostrad przyniosła też jedną fundamentalną zmianę: mieszkańcy USA, oddaleni od centrów miast, skazani byli na dojazdy samochodem. Dziś w Stanach to standard, że do pracy dojeżdża się autem ok. 30-40 kilometrów w jedną stronę. Potrzeba też samochodu, by odwieźć dzieci do szkoły, dotrzeć do sklepu czy lekarza. W wielu miejscach nie ma nawet chodników i przejścia dla pieszych.

Nigdy nie zapomnę, gdy mieszkając w San Diego w południowej Kalifornii, musiałam przebiec trasę szybkiego ruchu, by dostać się do przychodni lekarskiej. Choć i tak nie mogę narzekać, bo w San Diego funkcjonuje transport publiczny.

Tymczasem, według wyliczeń American Public Transportation Association, niemal połowa Amerykanów nie ma takiego luksusu, a nawet jeśli go ma, to rzadko z niego korzysta. Np. w San Diego autobusem jeździli głównie Latynosi, bezdomni i ci, którzy... tymczasowo stracili prawo jazdy.

Samochód jest dla Amerykanów drugim domem: to w nim w pośpiechu jedzą posiłki, słuchają muzyki i omawiają biznesowe sprawy przez telefon, włącznie z udzielaniem wywiadów mediom, co nieraz zdarzało się moim rozmówcom. Bywa, że Amerykanie po powrocie do domu nie wychodzą od razu z auta, tylko zostają w nim na podjeździe, zapewne chcąc mieć chwilę spokoju po trudnym dniu pracy.

Koniec trasy

Dziś, gdy „Droga Matka" zbliża się do setnych urodzin, mieszkańcy USA i zagraniczni turyści świętują je nie gdzie indziej, tylko za kółkiem. Na facebookowych grupach pełno jest wpisów turystów, którzy dzielą się zdjęciami z podróży. W tym także tym będącym wisienką na torcie, czyli zdjęciem znaku w Santa Monica, który głosi „*End of trail*" – koniec trasy.

Teraz, z okazji setnych urodzin Route 66, w wielu miejscowościach lokalne władze odnowiły historyczne neony przy motelach, restauracjach i stacjach benzynowych. Przy wjeździe do Albuquerque wybudowano nawet nowy ogromny neon z napisem „*Welcome to Albuquerque, East Gateway*".

W miasteczkach położonych wzdłuż Route 66 od miesięcy odbywają się pokazy zabytkowych samochodów, festiwale muzyczne i wystawy. Stowarzyszenia promujące legendarną drogę i walczące o jej rewitalizację organizują też grupowe przejazdy całą trasą z Santa Monica do Chicago lub na odwrót.

Dziś w Ameryce każdy może wziąć sobie do serca słowa przeboju „(Get Your Kicks On) Route 66" – i ruszyć w drogę, nie martwiąc się, czy w najbliższym motelu przyjmują czarnoskórych.

Inna sprawa, że zapewne nielicznych stać na taką eskapadę. W kraju, gdzie tak wielu ludzi żyje od pierwszego do pierwszego, łatwiej posłuchać kultowej piosenki na podjeździe przed domem.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Tu jesteś: mural z mapą trasy Route 66 w Kingman, Arizona, kwiecień 2026 r.



JOHN N / ADOBE STOCK



MUSTAFA YALCIN / GETTY IMAGES

Marine Le Pen po ogłoszeniu wyroku w procesie apelacyjnym w sądzie w Paryżu. 7 lipca 2026 r.

Lwica skrajnej prawicy

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Niczym feniks z popiołów, Marine Le Pen wraca do walki o prezydenturę. Choć skazana za milionowe defraudacje, pozostaje faworytką w walce o schedę pod Emmanuelu Macronie.

Sąd Ostateczny nad Marine Le Pen – tak media nad Sekwaną nazwały dzień 7 lipca. Mowa o oczekiwanym od ponad roku wyroku sądu apelacyjnego, którego stawką było polityczne przeżycie liderki skrajnej prawicy.

W ostatnich miesiącach większość obserwatorów – a nawet część polityków z jej partii, Zjednoczenia Narodowego (RN) – spisało już ją na straty, z racji ciążących na niej oskarżeń korupcyjnych. Przez ostatnie miesiące wschodzącą gwiazdą Zjednoczenia stawał się 30-letni Jordan Bardella. To w nim właśnie zwolennicy partii pokładali większe nadzieje na zwycięstwo w wyborach prezydenckich, zaplanowanych na wiosnę 2027 r.

Zaskakujący werdykt sądu apelacyjnego, który ogłoszono w słynnym paryskim Pałacu Sprawiedliwości – dwa kroki od zjawiskowej kaplicy królewskiej Sainte-Chapelle – przekreślił rachuby Bardelli. Przywrócił bowiem 57-letnią Marine Le Pen do tej wielkiej gry. Gry, w której brała udział już trzy razy – w tym dwukrotnie (w 2017 i 2022 r.) przegrywając w drugiej turze z Emmanuelem Macronem.

SYSTEM DEFRAUDACJI | Zacznijmy jednak od początku. Dlaczego to wymiar sprawiedliwości decydował o politycznym losie Marine Le Pen?

Otóż ponad rok temu, 31 marca 2025 r., sąd pierwszej instancji skazał ją za sprzeniewierzanie środków publicznych (unijnych) na cztery lata więzienia, w tym na dwa lata bezwzględnego pozbawienia wolności. Ponadto liderka francuskiej skrajnej prawicy dostała pięcioletni zakaz wybieralności na funkcje publiczne, połączony z natychmiastowym wykonaniem. Wykluczało to ją z nadchodzącego prezydenckiego wyścigu – pierwsza tura wyborów ma się odbyć 18 kwietnia 2027 r.

Marine Le Pen przedstawiała się wtedy jako „ofiara systemu", a z poparciem dla niej pospieszyli międzynarodowi sojusznicy Zjednoczenia Narodowego, w tym Viktor Orbán i Mateusz Morawiecki. A także, pospołu, Donald Trump i Kreml.

Na przekór tej fali oburzenia, materiał śledczy jest solidny. Sprawa dotyczy defraudacji środków unijnych przez stworzenie systemu fikcyjnego zatrudniania asystentów w Parlamencie Europejskim. Długoletnie śledztwo wykazało, że rzekomi asystenci eurodeputowanych skrajnej prawicy w ogóle nie pracowali dla europarlamentu, lecz tylko dla swojej partii we Francji.

System ten, działający w latach 2004-2016, zainicjował jeszcze Jean-Marie Le Pen, lider ówczesnego Frontu Narodowego, a kontynuowała jego córka Marine wraz z innymi działaczami partii (której nazwę zmieniono w 2018 r. na Zjednoczenie Narodowe). Lepeniści mieli łącznie wyprowadzić w ten sposób z kas unijnych prawie 3 mln euro.

eprasa.pl 48ee648283

ZWROT AKCJI | Teraz paryscy sędziowie, orzekający w apelacji, powtórnie uznali winę Marine Le Pen i innych liderów partii, ale złagodzili wyroki z pierwszej instancji. Zmniejszyli zakaz wybieralności na funkcje publiczne z 5 lat do 45 miesięcy (w tym 30 miesięcy w zawieszeniu). Oznacza to, że Marine Le Pen odbyła już bezwzględną część kary (rok i trzy miesiące), gdyż liczono ją od wyroku w pierwszej instancji. Może zatem startować w wyborach prezydenckich w 2027 r.

Jednak dając jej tę furtkę, sąd apelacyjny jednocześnie skrępował jej ruchy. Skazał ją bowiem na trzy lata więzienia, w tym dwa lata w zawieszeniu i rok pod nadzorem elektronicznym. Sama Le Pen wcześniej wiele razy zapowiadała, że nie wyobraża sobie prowadzenia kampanii wyborczej w warunkach aresztu domowego. W tej sytuacji przewidywano, że przekaże pałeczkę Bardelli.

Nic z tego! Nastąpił bowiem kolejny zwrot akcji: kilka godzin po wyroku Marine Le Pen oświadczyła, że nie rezygnuje z walki o prezydenturę. Ogłosiła też, że złoży skargę o unieważnienie wyroku do Sądu Kasacyjnego (odpowiednik polskiego Sądu Najwyższego). „Jestem niewinna!" – powtarzała przed kamerami telewizji TF1.

GRA VA BANQUE | Prawnicy tłumaczą, że taka skarga o kasację powoduje zawieszenie wyroku, włącznie z nadzorem elektronicznym. Tak więc – przynajmniej na razie – Marine Le Pen może prowadzić kampanię bez ograniczeń.

Najwyraźniej polityczka gra *va banque:* spodziewa się, że albo Sąd Kasacyjny unieważni poprzedni wyrok, albo jego werdykt zapadnie dopiero po wyborach. Jednak tu może się pomylić. Zdaniem prawników, domagając się kasacji, liderka RN podjęła ogromne ryzyko: jest możliwe, że Sąd Kasacyjny odrzuci jej wniosek jeszcze przed wyborami, wobec czego będzie musiała, chcąc nie chcąc, kończyć swoją kampanię pod sądowym nadzorem. To utrudni, jeśli nie uniemożliwi prowadzenie np. wyborczych wieców.

Choć można się spodziewać, że w takim wypadku Marine Le Pen – na wzór Donalda Trumpa sprzed wyborów w 2024 r. – będzie odgrywać rolę ofiary rzekomej sądowej niesprawiedliwości.

Co jednak, jeśli liderka RN zostanie wybrana na następczynię Macrona, będąc pod elektronicznym nadzorem? Jak to wpłynie na obraz Francji za granicą, dziś i tak marny za sprawą np. skazania byłego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego za korupcję?

TANDEM Z DELFINEM | Powtarzając „jestem kandydatką", Marine Le Pen jednocześnie namaściła na przyszłego premiera Jordana Bardellę, swego „delfina" (jak zwano kiedyś francuskich następców tronu).

Bardella ma być sympatyczną twarzą skrajnej prawicy. Jego rodzicami są włoscy imigranci, a on sam dorastał na ubogich przedmieściach Paryża. Błyskawiczną karierę u boku Marine Le Pen zrobił w ciągu kilku ostatnich lat. Popularny wśród młodych dzięki TikTokowi, stał się medialnym objawieniem RN. Starsi wyborcy lubią go, gdyż aparycją przypomina tzw. idealnego zięcia. Albo, jak chcą inni, prezydenta Jacques'a Chiraca w jego młodych latach.

Poglądy Bardelli różnią się nieco od tych Le Pen, zwłaszcza w kwestiach gospodarki – jest bardziej liberalny. Według tygodnika „Le Nouvel Obs" Bardella nawiązał bliskie związki z wielkim biznesem, m.in. z otoczeniem Bernarda Arnaulta – najbogatszego Francuza, „króla" imperium luksusu LVMH. W promowanie Bardelli zaangażował się ultrakonserwatywny milioner i magnat medialny Vincent Bolloré (wydał jego autobiografię i wychwala Jordana w swojej telewizji CNews, wzorowanej na amerykańskiej Fox News).

MODOWA PUŁAPKA? | Do tej pory milionerzy trzymali się z daleka od lepenistów, a Marine Le Pen przez lata atakowała ich jako „międzynarodową oligarchię". Teraz, wobec możliwego objęcia władzy przez RN, następuje zbliżenie obu światów.

Słabość Bardelli do luksusu i milionerów może jednak okazać się pułapką. Francuzi dowiedzieli się niedawno, że jego nową partnerką jest włoska księżniczka i modowa influencerka Maria Carolina z dynastii Bourbonów Obojga Sycylii.

Wprawdzie Francuzom wydaje się raczej obojętne, z kim sypiają politycy. Ale nie lubią blichtru i ostentacyjnego bogactwa. Zwłaszcza u tych, którzy – jak politycy RN – przedstawiają się jako emanacja „ludu". Stąd Bardella powinien uważać, z kim się pokazuje.

WOBEC ROSJI | Z polskiej perspektywy niepokoić może proputinowska przeszłość Marine Le Pen oraz jej wieloletnie związki z Kremlem, polityczne i finansowe. Wprawdzie od czasu inwazji na Ukrainę liderka i jej otoczenie zmieniło radykalnie język w tej sprawie. Ale czy oznacza to rzeczywistą i trwałą woltę? Można wątpić.

Podczas niedawnej czerwcowej wizyty w Warszawie i po spotkaniu m.in. z prezydentem Karolem Nawrockim Bardella mówił, że „Rosja jest wielowymiarowym zagrożeniem u wrót Europy". Zapewniał, że Paryż wypełni zobowiązania w NATO w razie ataku na Polskę.

Politolog Bruno Cautrès uważa jednak, że te deklaracje wynikają głównie z wyborczej taktyki. – Politycy RN zdają sobie sprawę, że, jak pokazują wszystkie sondaże, zdecydowana większość Francuzów wspiera sprawę Ukrainy i potępia Rosję jako agresora. Nawet jeśli te same sondaże wskazują, że Francuzi nie zgadzają się, by nasi żołnierze walczyli na Ukrainie, ani nawet aby stacjonowali przy jej granicy, np. w Polsce – mówi Cautrès „Tygodnikowi".

Media krytyczne wobec RN, jak dziennik „Le Monde" czy biograf Bardelli, Pierre-Stéphane Fort, zwracają uwagę na hipokryzję lepenistów. W Parlamencie Europejskim posłowie RN, należący do frakcji Patrioci dla Europy (razem z węgierskim Fideszem i polską Konfederacją), głosują zwykle w interesie Kremla i przeciw Ukrainie.

Jeden z ostatnich przykładów: 11 lutego według agencji AFP Bardella głosował przeciw przyznaniu Ukrainie 90 mld euro unijnej pożyczki (zauważmy, że Manon Aubry – liderka posłów z radykalnie lewicowej Francji Nieujarzmionej, LFI, w europarlamencie – wstrzymała się od głosu).

W UKROPIE | Powraca pytanie: czy Francja może uniknąć rządów skrajnej prawicy?

Do wyborów zostało dziewięć miesięcy. W tej chwili następuje ogólne przegrupowanie sił i można doliczyć się ponad 30 pretendentów do prezydentury, ale już jesienią ta stawka się skurczy. Na razie największe szanse na wejście do drugiej tury zdają się mieć 55-letni Édouard Philippe (przedstawiciel centroprawicy, premier w latach 2017-20) oraz 74-letni Jean-Luc Mélenchon (weteran radykalnej lewicy, lider LFI). No i Marine Le Pen. ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ Wielu zrozpaczonych Francuzów głosowało dotąd na Le Pen, mówiąc: „Tego jeszcze nie próbowaliśmy". Skrajna prawica gra wciąż na trzech fortepianach: imigracja (redukowana do islamu), nacjonalizm, walka z przestępczością. Nie ma dużo do powiedzenia w innych kwestiach, np. zapaści finansów publicznych czy zmian klimatu.

A są to sprawy, które zajmują Francuzów. Zwłaszcza że teraz przechodzi przez kraj trzecia od końca maja fala skrajnych upałów. Temperatury dochodzą znów do 40 stopni. Tylko w ciągu jednego tygodnia w czerwcu z tego powodu zmarło 2 tys. osób (według oficjalnych danych). Katastrofalne pożary lasów przy granicy z Hiszpanią sprawiły, że jeden z etapów Tour de France odbył się bez widzów.

Zmiana klimatyczna wdarła się też do polityki. Skrajna prawica proponuje „wielki plan klimatyzacji" we wszystkich domach, szpitalach i domach seniora. Nie podaje jednak ani źródeł finansowania, ani innych, prócz masowego montowania klimatyzacji, sposobów walki z ociepleniem.

Niekompetencja i brak kadr to słabość partii Marine Le Pen. Jej adwersarze mogą to wykorzystać. Choć ogrom emocji i rozczarowania Francuzów dekadą „macronizmu" utrudnia spór na racjonalne argumenty. © SZYMON ŁUCYK

Francuzi są zmęczeni i wściekli

BRUNO CAUTRÈS, POLITOLOG Z PARYSKIEGO OŚRODKA BADAŃ POLITYCZNYCH:

Jeśli nie dojdzie do jakiegoś trzęsienia ziemi, Le Pen wejdzie do drugiej tury wyborów prezydenckich.

SZYMON ŁUCYK: Co oznacza powrót Marine Le Pen do gry w wyborach prezydenckich? Wielu uważa, że Bardella miałby tu większe szanse na sukces.

BRUNO CAUTRÈS: Od miesięcy poparcie sondażowe dla nich obojga utrzymuje się na tym samym poziomie, powyżej 30 procent. W tym sensie niewiele się zmienia. Z pewnością jednak kampania Marine Le Pen będzie różnić się od tej, którą prowadziłby Bardella. Ona ma ogromny kapitał doświadczenia wyborczego.

Czy wyrok za defraudację wpłynie na poparcie dla niej?

Nie sądzę, żeby to miało znaczący wpływ na wynik wyborów. Opinia publiczna we Francji jest zbyt rozdrażniona. Coraz więcej ludzi uważa, że wymiar sprawiedliwości przestał działać.

Niedoszły kandydat Bardella ma być atutem kampanii Le Pen. Złośliwi mówią: przystojny „aparatczyk", bez studiów, z zerowym doświadczeniem w pełnieniu funkcji publicznych, ani lokalnie, ani w rządzie. To prawda, że nie ma doświadczenia w rządzeniu, ale w obecnej sytuacji we Francji może to być tak słabością, jak i mocną stroną.



MATERIAŁY PRASOWE

Jak to?

Francuscy wyborcy nigdy jeszcze nie byli tak bardzo zmęczeni doświadczonymi politykami, jak dzisiaj. Bardella jako nowa i młoda twarz przyciąga do RN ludzi zrozpaczonych, wściekłych i pragnących pozbycia się starej klasy politycznej. Dekada rządów prezydenta Macrona zapowiadała się bardzo obiecująco, a kończy się chaosem. Macroniści pokończyli prestiżowe szkoły, a mimo to doprowadzili kraj do politycznego impasu i katastrofalnej sytuacji budżetowej.

Stale podkreślam, że istnieje dziś dwóch Macronów. Ten pierwszy jest wielbiony przez światowych przywódców i media. Drugi, ten krajowy, jest bardzo silnie odrzucany przez własne społeczeństwo. Bierze się to głównie z tego, że przynajmniej od dwóch lat sprawia on wrażenie, jakby porzucił swój kraj na rzecz zajmowania się zagranicą. Jestem przekonany, że w wyborach w 2027 r. kwestie wewnętrzne odsuną na bok politykę zagraniczną.

Według Ipsos, pytani o swe największe obawy, Francuzi wymieniają – obok przestępczości i niekontrolowanej imigracji – sprawy życiowe (drożyzna, ubóstwo, nierówności, duże podatki). Dalej są zdrowie i klimat. Co będzie tu najważniejsze?

Decydująca będzie kwestia ogromnego zadłużenia. Niezależnie od tego, kto będzie prezydentem, Francję czekają w ciągu 2-3 lat ogromne cięcia wydatków państwowych i zarazem wzrost podatków. Sytuacja finansów publicznych wymknęła się spod kontroli. Nie jestem pewien, czy będziemy w stanie wywiązać się ze zobowiązań Macrona dotyczących zbrojeń na okres 10 lat. Trudno sobie wyobrazić, że Francuzi będą zachwyceni, jeśli ich rząd kupi samoloty i rakiety, a będzie ciął wydatki na szpitale i edukację.

Kto może wygrać z Marine Le Pen?

Na razie pewne jest jedno: jeśli nie dojdzie do jakiegoś trzęsienia ziemi, kandydatka RN wejdzie do drugiej tury. Ale z kim się tu spotka i kto na koniec wygra? Powtórzę: jedno z miejsc na ten lot już wstępnie zarezerwowano. Drugie czeka na pasażera.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

eprasa.pl 48ee648283



ROBERTHARDING / ALAMY / BE&W

Adamstown na wyspie Pitcairn, najmniejsza „stolica" na świecie

Pitcairn. Ostatni okruch imperium

SEBASTIAN JABŁOŃSKI

OCEANIA | To jedno z najbardziej izolowanych miejsc świata: wyspa na Pacyfiku, zamieszkana przez garstkę ludzi. To także mit, który towarzyszy jej od ponad 200 lat. Skonfrontujmy go z rzeczywistością.

Na cyfrowej mapie świata to tylko kropka pośrodku oceanu. Trzeba długo przesuwać ekran od Europy i wielokrotnie powiększać widok, żeby znaleźć ją na południowym Pacyfiku – wysepkę Pitcairn. Na zwykłych mapach pojawia się dopiero, gdy już wiemy, czego szukać.

A naprawdę jest czego szukać. Dziś na tej kropce, wielkości 47 km², żyje kilkadziesiąt osób; w ostatnich latach ich liczba wahała się między trzydziestoma a pięćdziesięcioma. Prawie wszyscy noszą te same nazwiska i są potomkami tej samej grupy: buntowników z brytyjskiego okrętu „Bounty" oraz Tahitanek i Tahitańczyków, którzy przypłynęli na wyspę wraz z nimi pod koniec XVIII wieku.

Nie ma tu lotniska ani portu, do którego mógłby zawinąć większy statek. Nie ma nawet dogodnej plaży, na którą można by bez wysiłku zejść z łodzi. Pitcairn to prawdopodobnie najmniej liczna wspólnota na świecie, która rządzi się niemal jak osobne państwo – i jest jednym z ostatnich śladów brytyjskiego imperium na Pacyfiku.

Pośrodku oceanu

Jak dotrzeć na tę wyspę? Dolecieć się nie da, jedynie dopłynąć. Przy czym podróż prowadzi zwykle przez Polinezję Francuską: najpierw na Tahiti, potem na Mangarevę, a stamtąd statkiem przez setki kilometrów otwartego oceanu.

Nie kursuje regularny prom – zaopatrzenie i nielicznych pasażerów przywozi statek, który przypływa co kilka miesięcy. Od burty przejmuje ich długa otwarta łódź, którą mieszkańcy wprowadzają następnie do małej Zatoki Bounty. Stamtąd do osady prowadzi stroma droga; wyspiarze nazwali to miejsce Wzgórzem Trudności.

Każde zejście na ląd zależy od pogody, fal i doświadczenia tych, którzy znają zatokę najlepiej.

Kto czyta praktyczne instrukcje dla podróżnych, szybko dostrzega, że „dalekość" Pitcairn nie jest metaforą, lecz konkretnym problemem logistycznym: rozkładem jednego statku, liczbą miejsc na pokładzie, warunkami na oceanie i decyzjami podejmowanymi daleko.

Bunt na „Bounty"

Reszta świata, jeśli w ogóle słyszała o Pitcairn, to głównie ze względu na jedno konkretne wydarzenie, obrosłe legendą i popkulturą.

W 1789 r. na brytyjskim okręcie „Bounty", wracającym z Tahiti, doszło do chyba najsłynniejszego buntu w historii żeglugi. Część załogi, pod wodzą Fletchera Christiana, wsadziła kapitana Williama Bligha wraz z lojalnymi wobec niego marynarzami na szalupę, po czym wyruszyła w drogę. Zabrali ze sobą kilkanaścioro mieszkańców Tahiti i pobliskich wysp.

Buntownicy i Tahitańczycy dotarli w końcu do samotnej, niezamieszkanej ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ wtedy wyspy – do Pitcairn. Swój statek spalili w przybrzeżnej zatoce (pieczętując nieodwracalność decyzji o buncie; groziła za niego kara śmierci) i na prawie 20 lat zniknęli z pola widzenia Europy.

Gdy europejskie statki, żeglujące po Pacyfiku, natrafiły w końcu na osadę na Pitcairn, większość mężczyzn już nie żyła. Okazało się, że pierwsze lata istnienia tutejszej wspólnoty były naznaczone krwawą przemocą. Z grupy buntowników przeżył tylko jeden.

Dzisiejsi mieszkańcy wyspy są, jak powiedziano, potomkami tamtej społeczności: buntowników z „Bounty" oraz kobiet i mężczyzn zabranych z Tahiti i innych wysp Polinezji.

Mit o raju

Ta historia miała wszystko, czego trzeba do narodzin mitu: morze, bunt, ucieczkę, przemoc, tajemnicę i osadę ukrytą przed światem. Powieści, XIX-wieczne broszury misyjne, a później hollywoodzkie filmy – „Bunt na Bounty" z 1935 r. (z Clarkiem Gable'em), a potem z Marlonem Brando w roli Christiana z 1962 r., pod takim samym tytułem – utrwalały obraz Pitcairn jako odległego raju. Miejsca, gdzie można zacząć od nowa, uciec od cywilizacji.

Ten motyw „nieskażonego raju" wracał szczególnie często: wyspę miała zamieszkiwać prosta, moralnie wzorowa wspólnota, odcięta od zepsucia nowoczesnego świata. W XIX-wiecznych opowieściach misyjnych Pitcairn stawało się biblijną przypowieścią: tutaj właśnie, z buntu, grzechu i chaosu, miał narodzić się chrześcijański porządek.

Religia była też sposobem, w jaki brytyjskie i amerykańskie imperia opowiadały o sobie: o nawróceniu, postępie i własnej opiekuńczej roli. Problem w tym, że takie opowieści rzadko są niewinne. Łatwo było w nich pominąć przemoc, rasizm i zależność, wpisane w początki osady. A także zapomnieć o Polinezyjkach i Polinezyjczykach, których obecność zbyt często była tylko tłem dla brytyjskiej legendy.

Faktem jest jednak, że religijny charakter tej wspólnoty nie był wyłącznie XIX-wieczną legendą. Pod koniec XIX w. Pitcairn znalazło się pod wpływem Adwentystów Dnia Siódmego (a sobota, zgodnie z ich rozumieniem szabatu, stała się tu dniem odpoczynku i modlitwy).

Terytorium zamorskie

Dziś życie skupia się na wyspie w jednej miejscowości, Adamstown, która jest jednocześnie najmniejszą „stolicą" na świecie.

Mieszkańcy poruszają się głównie quadami po wąskich, częściowo nieutwardzonych drogach. Prąd, jak powiedział mi jeden z byłych burmistrzów wyspy, pochodzi dziś w całości ze źródeł odnawialnych (gdy jeszcze niedawno dostarczał go generator, działający tylko przez część doby). W tak małej społeczności prawie każdy pełni kilka funkcji naraz: ta sama osoba może być urzędnikiem, sklepikarzem, sternikiem łodzi zaopatrzeniowej i strażakiem.

Formalnie rzecz biorąc, Pitcairn jest dziś brytyjskim terytorium zamorskim. Cały ten obszar obejmuje cztery wyspy: Pitcairn, Henderson, Ducie i Oeno, ale tylko pierwsza jest zamieszkana. Administracyjne centrum znajduje się nie na wyspie, lecz tysiące kilometrów dalej – w Auckland, w Nowej Zelandii (ta należy wszak do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów).

Zależność ta ma praktyczny wymiar: prawo, budżet, transport, bezpieczeństwo i administracja są pochodną decyzji podejmowanych gdzie indziej.

Zbrodnia w raju

Jak konkretny może być ten związek z Londynem, pokazały wydarzenia sprzed 20 lat.

W 2004 r. przed brytyjskim sądem stanęło kilku mieszkańców Pitcairn, w tym mężczyźni pełniący na wyspie ważne funkcje, oskarżeni o przestępstwa seksualne popełniane przez lata, w wielu przypadkach wobec nieletnich. W społeczności liczącej kilkadziesiąt osób oskarżeni stanowili sporą część dorosłych mężczyzn.

Na wyspę trzeba było sprowadzić sędziów i prawników, a nawet zbudować prowizoryczny areszt. Obrona twierdziła, że brytyjskie prawo nie powinno tu obowiązywać. Sąd uznał inaczej i zapadły wyroki skazujące.

Gdy rozmawiałem z jednym z urzędników odpowiedzialnych za administrację Pitcairn, uderzyło mnie, jak silnie historia procesów z 2004 r. wciąż wpływa na codzienne życie wyspy. Mój rozmówca mówił nie tylko o prawie, ale też o nieufności części mieszkańców wobec brytyjskich władz, narastającej po tych procesach.

Z zewnątrz łatwo przedstawić te wydarzenia jako historię państwa prawa, które po latach milczenia wreszcie zareagowało. Z bliska obraz jest bardziej skomplikowany. Sprawiedliwość była konieczna, ale przyszła z rąk tego samego imperium, które przez dekady współtworzyło mit nieskażonej wyspy, a potem musiało zmierzyć się z tym, co ten mit pomagał ukrywać. Raj, który wymaga milczenia ofiar, przestaje być rajem.

Z dala, choć nie całkiem

Dziś brytyjska obecność wokół Pitcairn coraz częściej opisywana jest innym językiem. Mowa jest w nim o ochronie oceanów, bioróżnorodności i wielkich rezerwatach morskich.

Nie znaczy to, że ochrona przyrody jest tutaj pustym hasłem. Wody wokół wyspy należą do najcenniejszych ekosystemów Pacyfiku. Warto jednak zapytać, co dzieje się z polityką ochrony przyrody, gdy staje się ona także opowieścią o prestiżu państwa.

Odległe terytoria łatwo pokazać jako dowód ekologicznej odpowiedzialności. Im dalej od metropolii, tym łatwiej objąć ochroną ogromny obszar oceanu i mówić o nim jako o ekologicznym sukcesie. Trudniej odpowiedzieć na pytanie, co takie decyzje oznaczają dla ludzi tu żyjących: dla ich pracy, przyszłości i poczucia, że mają wpływ na własne życie.

To właśnie demografia od lat jest największym problemem Pitcairn. Mieszkańcy się starzeją, młodzi wyjeżdżają. Wyspa próbuje przyciągnąć nowych osadników, reklamując się jako miejsce dla ludzi gotowych żyć z dala od zgiełku świata.

Internet i łączność satelitarna sprawiły, że nie jest to już całkowita izolacja – można prowadzić korespondencję, sprzedawać lokalne wyroby i pokazywać wyspę w mediach społecznościowych. Łączność nie likwiduje jednak geograficznej odległości. Nie zastąpi szpitala, szkoły pełnej dzieci, regularnego transportu ani rynku pracy.

Napięcia w soczewce

Turystyka jest więc dla wyspy i szansą, i paradoksem. Pitcairn potrzebuje turystów, ale to, co najbardziej przyciąga wyobraźnię podróżnych, wynika właśnie z faktu, że prawie nikt nie może tam dotrzeć.

eprasa.pl 48ee648283



MGM / RONALD GRANT ARCHIVE / MARY EVANS / BE&W

Marlon Brando w filmie „Bunt na Bounty", reż. Carol Reed, Lewis Milestone, 1962 r.



ROBERTHARDING / ALAMY / BE&W

Wyspa Pitcairn na Oceanie Spokojnym

Nieliczne statki wycieczkowe, jachty i garstka podróżnych wspierają lokalną gospodarkę – mieszkańcy sprzedają rękodzieło, pamiątki, noclegi i miód (ponoć uwielbiała go królowa Elżbieta II). Do tego dochodzą źródła dochodu, których nie widać z pokładu: znaczki pocztowe cenione przez kolekcjonerów na całym świecie i opłaty za internetową końcówkę „.pn", przypisaną tej wyspie. Pitcairn potrafi więc zarabiać na swej wyjątkowości.

Każde takie spotkanie jest jednak także zetknięciem z obcym wyobrażeniem: turysta najczęściej przypływa zwabiony mitem „Bounty", mitem ostatniej brytyjskiej posiadłości na Pacyfiku i wspólnoty na krańcu świata.

Właśnie dlatego prawdziwa Pitcairn jest ciekawsza niż jej legenda. Wymyka się prostym kategoriom. Nie jest tylko pozostałością kolonializmu, bo ma własną historię, język i pamięć. Nie jest też miejscem w pełni samodzielnym, bo jej codzienność zależy od statków, urzędów, zewnętrznych funduszy i zainteresowania ludzi żyjących gdzie indziej.

Na tych paru kilometrach kwadratowych jak w soczewce skupiają się wielkie napięcia: między centrum a peryferiami, mitem a faktem, opieką a kontrolą, pamięcią a zapomnieniem.

Więcej niż pocztówka

Z polskiej perspektywy Pitcairn może wydawać się odległa. Nie łączą nas z nią ani więzi polityczne, ani kolonialna przeszłość.

Jednak europejski sposób patrzenia na Pacyfik nigdy nie był tylko brytyjski czy francuski. Był częścią szerszej kultury wyobrażania świata: map, podróży, literatury, misji chrześcijańskich, muzeów i szkolnych opowieści, które dziedziczymy także my. To w tej kulturze jedne miejsca jawią się jako centrum historii, a inne jako jej tło: egzotyczna ciekawostka, kataklizm, pocztówkowy krajobraz.

Pitcairn uczy ostrożności wobec takiego spojrzenia. Jeśli widzimy w niej tylko ciekawostkę po buncie na „Bounty", odbieramy jej teraźniejszość. Jeśli widzimy tylko skandal sprzed 20 lat, odbieramy mieszkańcom prawo do zwykłego życia poza cudzym osądem. Jeśli widzimy tylko „raj", nie dostrzegamy zależności politycznych i ekonomicznych. Jeśli widzimy tylko „problem", łatwo przeoczyć wysiłek, dzięki któremu ta społeczność wciąż istnieje.

Miejsce prawdziwe

Na mapie Pitcairn wciąż jest tylko małym punktem. Ale mapa nie pokazuje wszystkiego. Nie pokazuje ciężaru mitu, który od ponad dwóch stuleci próbuje do niej przylgnąć, ani pracy ludzi, którzy przyjmują statek, naprawiają drogę, obsługują turystów i odpowiadają na maile z drugiego końca świata.

Dlatego Pitcairn nie jest egzotyczną ciekawostką, lecz prawdziwym miejscem, na którym odcisnęły się europejskie fantazje, religia, kolonializm i całkiem współczesne kłopoty.

Nie trzeba robić z niej symbolu, wystarczy przestać ją do tego zmuszać. Wtedy ta daleka wyspa stanie się trochę bliższa: nie dlatego, że nagle łatwo ją znaleźć, lecz dlatego, że zaczynamy patrzeć na nią uważniej.

© SEBASTIAN JABŁOŃSKI

Autor jest doktorantem Uniwersytetu Poczdamskiego, zajmuje się literaturą i kulturą Pacyfiku, historią kolonializmów i wyspy Pitcairn. Wiceprezes stowarzyszenia SIETAR Polska, które zrzesza trenerów i trenerki międzykulturowe z Polski i świata.

eprasa.pl 48ee648283

WIARA

SZUKAM, WIĘC WIERZĘ

KS. ANDRZEJ LUTER, DUSZPASTERZ ŚRODOWISK TWÓRCZYCH:

Dusza człowieka poszukującego, niepewnego, wątpiącego w dogmaty, ale otwartego na Tajemnicę, jest „duszą religijną".

ZBIGNIEW MENTZEL: Od lat jesteś stale obecny w środowisku twórców. Kiedy zaczęło się to Twoje duszpasterzowanie?

KS. ANDRZEJ LUTER: Nie potrafię określić dokładnie. Zapewne mój pierwszy kontakt z twórcami nastąpił na planie „Ziemi obiecanej" Andrzeja Wajdy. Jako kilkunastoletni szczeniak wcisnąłem się w pobliże ekipy i podpatrywałem, jak pracuje Mistrz. Byłem świadkiem kręconej na ulicy Lipowej, w „moich" Pabianicach, tragicznej sceny. Mam na myśli samobójstwo Trawińskiego, którego grał Andrzej Łapicki. Strzał w głowę zbankrutowanego lodzermenscha. Byłem bardzo poruszony. Przypomniałem sobie ten dzień 45 lat później, kiedy podchodziłem do ambonki w kościele dominikanów, by powiedzieć kazanie na pogrzebie Andrzeja Wajdy. Poczułem domknięcie czasu. „Lato się przełamało".

Tak, jestem z twórcami kultury. Czuję z nimi wewnętrzną więź. Wiele rozmów, spotkań, także tych związanych z udzielaniem sakramentów.

Ktoś złośliwy powiedziałby, że to snobizm.

Daj spokój, nie przejmuję się takimi opiniami. Na szczęście nie zamykam się zresztą tylko w tzw. środowiskach twórczych. Izolowanie się w jakiejś jednej hermetycznej „bańce" to zawsze zafałszowywanie rzeczywistości.

Chcę być wolny od jakichkolwiek koterii, tych – nie daj Boże! – politycznych, medialnych, ale także tych kościelnych. Chcę być otwarty na wszystkich i na każdego pojedynczego człowieka. Mam nadzieję, że mi się to udaje.

Papież Franciszek mówił: „Proszę, nie czyńcie z Kościoła komory celnej: tu wchodzą sprawiedliwi, ci, którzy są w porządku, a tam wszyscy inni. Nie. Kościół nie jest taki. Sprawiedliwi i grzesznicy, dobrzy i źli, wszyscy, wszyscy, wszyscy". A papież Leon mówił niedawno do księży: „Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek, zwłaszcza tam, gdzie liczby wydają się wskazywać na dystans między ludźmi a Kościołem, trzymajcie drzwi otwarte! Pozwólcie wchodzić i bądźcie gotowi, aby wyjść. To kolejna tajemnica waszego życia: jesteście kanałem, a nie filtrem".

Ale ciągnie Cię do sztuki.

No cóż, uzależniłem się, wpadłem w ten nałóg w latach 70. i szczęśliwie trwam w nim do dziś. W Polsce lata „wczesnego i schyłkowego Gierka" to był czas poetyckiej Nowej Fali, krytyki „świata nieprzedstawionego", kina moralnego niepokoju, słuchania na zmianę Doorsów i Kaczmarskiego, Pink Floydów i Okudżawy, Janis Joplin i Wysockiego. Później, w latach 80., już jako młody kleryk, miałem szczęście poznać osobiście wielu polskich twórców. Prowadziłem z nimi wywiady dla „telewizji seminaryjnej", czyli po prostu nagrywane na kasety VHS. Pamiętam rozmowy z Krzysztofem Kieślowskim i Stefanem Kisielewskim. A pod koniec lat 90. TVP zaakceptowała mój pomysł na „Rozmowy na koniec wieku". Prowadzili je Katarzyna Janowska i Piotr Mucharski. Pierwszą nagrywaliśmy w czytelni UJ z Czesławem Miłoszem. Niektóre takie kontakty i rozmowy wywarły duży wpływ na mnie jako księdza.

Opowiedz choćby o jednym takim zdarzeniu.

W 1989 r., tuż przed święceniami kapłańskimi, postanowiłem przeprowadzić rozmowę z Julianem Stryjkowskim, wielkim pisarzem żydowskiego pochodzenia, którego ojczyzną był język polski. W stanie wojennym publikował opowiadania w dominikańskim wydawnictwie „W drodze". Zgodził się na rozmowę. Na jego biurku leżały sterty szesnastokartkowych zeszytów w kratkę, bo pisał swoje powieści ręcznie, w takich właśnie zeszytach, a potem ktoś musiał to wszystko przepisać na maszynie. Na początku zaczął opowiadać o spotkaniu z Janem Pawłem II w Kościele Świętego Krzyża. Był oszołomiony. Opowiadał o papieżu jak o Bogu.

Nie był katolikiem ani nawet wierzącym Żydem.

Ale miał swoją wizję Absolutu. Rok później, po święceniach kapłańskich, zaprosiłem go na swoją drugą mszę świętą w życiu. Odprawiałem ją w kościele na Placu Zbawiciela. Jest niedziela, wychodzę do ołtarza. Patrzę, a w przedostatniej ławce siedzi ten stary, drobny, mały, ledwo widoczny człowiek. Wzruszyłem się. Kilka tygodni później opowiadał pięknie o tej mojej mszy dla „Tygodnika

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

eprasa.pl 48ee648283



Powszechnego” w rozmowie z Ewą Berberyusz.

Przed wyjazdem na pierwszą parafię, poza Warszawę, odwiedziłem go jeszcze raz. I znowu widzę te sterty zeszytów. Pytam, co teraz pisze. „Nie mogę powiedzieć, bo nigdy już by mnie ksiądz nie odwiedził”. Byłem zaskoczony. Zrozumiałem te słowa dwa lata później, gdy przeczytałem „Milczenie”, bo o to opowiadanie mu chodziło. Z ogromną szczerością porusza w nim temat swojego homoseksualizmu.

Ks. Andrzej Luter (ur. 1956) – duszpasterz środowisk twórczych i publicysta, doktor teologii ekumenicznej, autor książek „Ekspostkatolik” i „Kino wiecznie młode”, współtwórca telewizyjnego programu „Rozmowy na koniec wieku”.

Na zdjęciu:
ks. Andrzej Luter
Warszawa, grudzień 2024 r.

Mijały lata. Pracowałem w Łowiczu w katedrze. I nagle w lipcu 1996 r., ni stąd, ni zowąd, postanowiłem do niego zadzwonić, tak bez powodu. Odebrał telefon. Zorientowałem się po głosie, że był bardzo słaby. Ciężko chorował. A jednak mocnym szeptem zdołał wykrzyczeć z radością jedno zdanie: „To jednak mnie ksiądz nie potępił!”. Jedyne, co mogłem mu powiedzieć, to że nie mam prawa nikogo potępiać, zwłaszcza za jego ludzką tożsamość. Wkrótce, może dwa tygodnie po tej rozmowie, Stryjkowski zmarł. ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ Zawsze też będę pamiętał o słowach, które napisał w swojej wielkiej powieści „Przybysz z Narbony" i powtórzył w rozmowie ze mną: „Żydów palono, mordowano zawsze, z przerwami. Nam dzięki Bogu udało się żyć *w przerwie*". Od tamtej rozmowy bardzo często dzwonię „bez powodu", może ktoś czeka na ten telefon.

Jak dziś rozmawiać o tym, co najważniejsze?

Od eschatologii nie uciekniemy. Ona nas dopadnie wcześniej czy później. Odpowiem za o. Wacławem Hryniewiczem. Pisał on, że gdy czyta się eschatologiczne fragmenty Ewangelii, widzi się paradoks w postawie Chrystusa. Z jednej strony wizja śmierci, a z drugiej – ogromne przywiązanie do życia. Słowo „życie" w Jego ustach pojawia się najczęściej. Przyniósł nam słowa żywota, dał nam pokarm żywota. Ale potem, kiedy sam zbliża się do śmierci, daje o sobie znać trwoga, lęk przed śmiercią. Ludzki lęk w Bogu. Jezus stanął zatem przed problemem zamiany tego, co jest przekleństwem człowieka, na coś, co byłoby wyzwoleniem. Zmienić naturę śmierci – najbardziej ambitne w dziejach ludzkości przedsięwzięcie Jezusa z Nazaretu. Zmartwychwstał, żeby nas zbawić.

Śmierć jest filarem życia. Twój Mistrz, Zbyszku, prof. Leszek Kołakowski pisał: „Człowiek jest bytem ku śmierci i ona współokreśla naszą egzystencję. Jest przeto stosowne, by zaliczyć ją do filarów życia, chociaż jest końcem, a nie częścią". Akceptacja śmierci i protest przeciw niej to dwie nieusuwalne strony naszego życia. Mimo skazania na śmierć, mamy żyć pełnią życia. Tu leży istota chrześcijaństwa. Jezus wtargnął w ten nasz nieunikniony konflikt między życiem i śmiercią. Oto jest zmartwychwstaniem! Jego przesłanie to nie apokalipsa, a afirmacja życia. O tym pisali Hryniewicz i Kołakowski.

W czasie słusznie minionym artyści uznawali Kościół za jedyną w Polsce oazę wolności. Kulminacją był okres stanu wojennego. Wiemy, że z tego przymierza nic zgoła nie pozostało. Dzisiaj Kościół i większość artystów traktują się krytycznie, podejrzliwie, o ile nie wrogo. Czy jest szansa na „nowe przymierze" między nimi?

Czasami zdumiewają mnie pewni siebie kaznodzieje.

Przecież o Bogu więcej nie wiemy, niż wiemy. Ja z wiekiem wiem coraz mniej.

Kościół katolicki, jak sama nazwa wskazuje, jest uniwersalny, powszechny i powinien być otwarty na wszystkich, także na agnostyków i ateistów, których wśród artystów jest niemało. Nie lękajmy się! Kościół ma łączyć, a nie dzielić, zwłaszcza jeśli podziały na dobrych i złych katolików albo na wierzących i niewierzących wykorzystywane są w brutalnej walce politycznej o władzę.

To banalne prawdy i wstydzę się, gdy je powtarzam. Ale trzeba je powtarzać po tysiąckroć: przesłanie Kościoła jest przesłaniem pokoju i miłości, a nie walki i nienawiści.

Przykładów, że tak nie jest, znajdziemy wiele.

O wiele łatwiej to deklarować niż praktykować. I to dotyczy wszystkich stron ideowych. Ja skupiam się na „mojej" stronie. Zbyt często zapomina się, że „dusza religijna" może być duszą człowieka poszukującego, niepewnego, wątpiącego w dogmaty religijne; człowieka, który jednak ma szacunek dla tradycji religijnej (nawet jeśli nie był w tej tradycji wychowany) i jest otwarty na Tajemnicę. Błędem jest narzucanie takim ludziom już na starcie ortodoksji. Błędem jest niechęć do szukania języka, który by do nich trafiał. Oczywiście mam tu na myśli nie tylko twórców kultury, ale wszystkich ludzi młodych duchowo, czyli zdolnych do wewnętrznych przemian. Chodzi mi o język przekonujący, że chrześcijaństwo jest w dzisiejszym świecie nadal potrzebne, choć niektórzy myślą, że nie da się go połączyć z duchem nowoczesnej racjonalności i oszałamiającym rozwojem technologii.

Pytasz, czy jest szansa na „nowe przymierze"? Czas takich przymierzy minął, one okazują się płytkie, krótkotrwałe i koniunkturalne, dziś najważniejsze to być ze sobą, obalać mury niechęci i być.

Leszek Kołakowski zamiast słowem „Bóg" wolał posługiwać się wyrażeniem „Duch Sensonośny". Pisał też, że „cały nasz empirycznie dostępny kosmos jest przejawieniem innej rzeczywistości, empirycznie wprost niedostępnej, ale że nie są zasadniczo niemożliwe próby odczytania tej drugiej rzeczywistości przez jej ulotne znaki w świecie". Sądzę, że takie poczucie może być bardzo atrakcyjne dla młodych ludzi, doskonale wiedzących, czym jest komputerowa „chmura", w której mieści się nieskończenie wiele danych.

„Duch Sensonośny" wydaje mi się genialnym sformułowaniem. Genialnym, bo może trafić do każdego z nas, bo wszyscy możemy się przy nim spotkać. Kim jest ów Duch, który nadaje sens naszemu życiu? Czasami zdumiewają mnie pewni siebie kaznodzieje, którzy zawsze wiedzą, co Jezus miał na myśli. Ja z wiekiem coraz mniej wiem. Wierzę w Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka, który umarł na krzyżu, aby nas zbawić.

O innej rzeczywistości niż ta, której doświadczamy empirycznie, trudno coś pewnego powiedzieć, przecież o Bogu więcej nie wiemy, niż wiemy. Zgadzam się z profesorem Kołakowskim, że można odczytać ulotne znaki tej „innej rzeczywistości" tu i teraz. Żyjemy przecież życiem wiecznym, tak wierzę. Wielka sztuka przychodzi nam tu z pomocą.

Wróćmy zatem do sztuki jako „pięknego śladu" obecności Ducha. W „Liście do artystów" Jan Paweł II wyjaśniał, że Kościół nie potrzebuje sztuki nieautentycznej, która nie jest koniecznością duszy, poszukiwaniem prawdy i sensu, tylko politycznym czy partyjnym obstalunkiem albo agresywną blagą i dlatego pozostaje w głębokiej sprzeczności z istotą religii. Czy potrafimy dzisiaj odróżniać sztukę autentyczną od nieautentycznej?

Myślę, że sztuka, która jest koniecznością duszy, musi być pozbawiona jakiejkol-

eprasa.pl 48ee648283

wiek ortodoksji. Poszukuję, więc wierzę. Kiedy ktoś mi mówi, że już znalazł Boga, że już dotarł do Tajemnicy, że niewzruszona racja jest po jego stronie, od razu nabieram do niego dystansu. Mam też swój subiektywny, może naiwny, wskaźnik autentyczności dzieł sztuki: czy przeczytaną książkę chcę przeczytać raz jeszcze? Albo czy zobaczony w kinie film mam ochotę obejrzeć znowu?

Daj przykład takiego filmu.

„Rękopis znaleziony w Saragossie" Hasa oglądałem bodaj dwudziestokrotnie i za każdym razem odkrywałem tam coś, czego wcześniej nie dostrzegłem. Całkiem inaczej było z „Pasją" Mela Gibsona, filmem starannie zrealizowanym, ale epatującym okrucieństwem. Przyznaję, że po premierze byłem wstrząśnięty, ale od razu pomyślałem, że nigdy więcej nie chcę tego filmu oglądać.

Nazwałeś go nawet „klasyczną jednorazówką".

Inaczej było z „Ewangelią według świętego Mateusza" Piera Paola Pasoliniego – ateisty przecież i homoseksualisty, wiecznego buntownika potępianego przez prawicę i lewicę. A jednak jego „Ewangelia" znalazła się na watykańskiej liście czterdziestu pięciu filmów zalecanych przez Kościół. Reżyser zadedykował go „uśmiechniętemu papieżowi Janowi XXIII". Arcydzieło ewangeliczne! Nikt przed nim ani po nim nie zrobił lepszego filmu na podstawie Ewangelii.

A którą z ostatnio przeczytanych książek chciałbyś przeczytać po raz drugi?

Właśnie przeczytałem najnowszy zbiór wierszy Marcina Świetlickiego „Wypisy" i na pewno będę do niego wracał. Jest tam wiersz „Piosenka bezbożna", który kończy się słowami:

Bo na bezbożu I my bóg.

To chyba dobra puenta naszej rozmowy.

© Rozmawiał ZBIGNIEW MENTZEL

Autor (ur. 1951) jest prozaikiem, eseistą, krytykiem literackim, wydał powieść „Wszystkie języki świata" (finał Nagrody Nike) oraz biografię Leszka Kołakowskiego „Czytanie świata".

Przystanek Dobrej Nadziei

STANISŁAW ZASADA

POMOC | Mimo sprzeciwu niektórych parafian, oddał bezdomnym część kościoła. Bydgoski proboszcz, fan Metalliki, w młodości buntownik, dziś karmi codziennie kilkadziesiąt osób.

Obiad wydają o szesnastej. Pierwsi chętni czekają od południa. Jak Grzegorz i Halina.

– Lepiej być tu wcześniej, bo czasem same kartofle na koniec zostają – mówi ona.

Siedzą na ławeczce pod przystankową wiatą przy kościele. „Przystanek Dobrej Nadziei" – czytam na tabliczce. Na drewnianym kramie, podobnym do tych, jakie są na świątecznych jarmarkach, napis „Miłosierdzie". Na frontonie świątyni: „Błogosławieni miłosierni".

– Zostałem księdzem, żeby pomagać potrzebującym – mówi ksiądz Sławomir Bar ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, proboszcz bydgoskiej Bazyliki Świętego Wincentego à Paulo.

Wpuścił brudasów

Sześć lat wcześniej.

Ze strachu przed pandemią mieszkańcy zamykają kamienice i bloki, żeby bezdomni nie nocowali po klatkach schodowych. – Była zima, ci ludzie nie mieli gdzie się podziać – wspomina ksiądz Bar.

W lewym skrzydle bazyliki jest boczna kaplica. W czasach PRL odbywały się tu po kryjomu śluby partyjnych działaczy, wojskowych i nauczycieli, którzy woleli nie przyznawać się do wiary. Chrzczono ich dzieci. Potem służyła studentom. Ostatnio była nieczynna.

Proboszcz ze współbraćmi wymyślił, że dadzą tam schronienie osobom w kryzysie bezdomności. Wyniesiono ołtarz, tabernakulum i ambonę, rozłożono karimaty. W najcięższe mrozy nocowało tu po pięćdziesiąt osób. W dawnej kaplicy powstała Ogrzewalnia „U Miecia", czynna od jesieni do wiosny. Nazwa upamiętnia byłego proboszcza księdza Mieczysława Kozłowskiego, który też dbał o bezdomnych.

Część parafian miała pretensje, że zamienili kaplicę w noclegownię. „Ksiądz oddaje kościół brudasom" – ogłosił na YouTubie zagorzały tradycjonalista.

– Nie pozwolę ludziom umierać na ulicy z zimna – odpowiedział stanowczo proboszcz. Przywołał scenę z Ewangelii, gdy głodni uczniowie zrywali w szabat kłosy, a Jezus nie miał nic przeciwko. – Pretensje mieli faryzeusze – przypomniał.

Samochód prymasa

Po zaborach w Bydgoszczy brakowało katolickich świątyń i polskich duchownych. Prymas Edmund Dalbor sprowadził do miasta księży misjonarzy i kazał budować kościół.

Stojąca w centrum miasta neoklasycystyczna bazylika z wielką kopułą to jedna z największych świątyń w Polsce: po Licheniu, Świątyni Opatrzności Bożej i paru katedrach. Powstawała pół wieku.

Gdy wybuchła wojna, Niemcy zamienili kościół w magazyn, a klasztor – w koszary. Komuniści przez dwadzieścia lat blokowali odbudowę. Potem renowacją kierował Wiktor Zin: zaprojektował latarnię ze złoconym krzyżem na szczycie kopuły, żeby światło docierało do środka. – Wystrój świątyni to też zasługa profesora Zina – ksiądz Bar wskazuje na pilastry, kasetony, witraże i rozety.

W proboszczowskiej kancelarii patrzy na nas z olejnego portretu kardynał Stefan Wyszyński: był tu wiele razy, pod koniec życia konsekrował kościół.

Współbracia opowiadali księdzu Barowi, jak za komuny do innej kaplicy ze względów bezpieczeństwa wprowadzano auto prymasa. I nikt się wtedy nie buntował. – Samochód chronili, a ludzi to na zimnie chcieliby zostawić – zauważa proboszcz. ↦

eprasa.pl 48ee648283

Metal ciężki

↦ Młody Sławek Bar słucha Metalliki. – Grają heavy metal – tłumaczy, bo nie wie, czy jestem zorientowany.

– Gdyby przyłożyć ucho do torów kolejowych, byłoby to samo – śmieje się jego młodszy brat.

W ich rodzinnym domu w Grodkowie na Opolszczyźnie było ich dziewięcioro. Niektórzy uważali to za patologię. Ojciec angażował się w Solidarność, po stanie wojennym stracił państwową posadę, założył firmę budowlaną.

A kilkunastoletni Sławek (rocznik 1975) buntował się, pyskował rodzicom. Do kościoła chodził z musu – męczyła go obłuda. Komuna upadła, w pierwszych ławkach zasiedli ci, co wcześniej służyli gorliwie partii. Najbardziej kościelny zrobił się były esbek, który nachodził ojca za Solidarność.

„Po co wierzyć?" – pytał Sławek samego siebie.

Poszedł do ogólniaka, ale uczyć mu się nie chciało. Ledwo przeszedł do drugiej klasy. Założył z kolegami zespół, grali ostrego rocka. Ojciec dał mu radę: – Skończ zawodówkę i zostań dekarzem, jak ja.

Pojechał na wakacje i wrócił odmieniony.

Chwila nieuwagi

– Potrafię zrobić wiele rzeczy – mówi Paweł.

Gdy Halina i Grzegorz siedzą na „Przystanku Dobrej Nadziei", on kroi cebulę, kiełbasę, mięso na dzisiejszy gulasz. Roboty dużo – trzeba ugotować ponad pół setki porcji.

– Pracy na kilka godzin – podkreśla Paweł.

Był żołnierzem kontraktowym, pracował jako kaletnik w firmie u brata, ale ten umarł i praca się skończyła. Nie ma rodziny, mieszkania. – W bezdomność łatwo wpaść, wystarczy chwila nieuwagi – mówi.

Pół roku temu przyszedł do noclegowni. A że postanowił zmienić swoje życie, ksiądz Bar mu zaufał: pozwolił zostać do czasu, aż Paweł się usamodzielni, choć latem noclegownia jest nieczynna.

– Nie chcemy hodować bezdomnych – mówi proboszcz. – Zależy nam, żeby wrócili do świata i normalnego życia. Dajemy im nie tylko łaźnię i łóżko, ale także lekarza, prawnika, wspieramy w szukaniu pracy – wylicza.

Paweł stałą pracę zaczyna jutro. W kuchni pomaga mu jeszcze paru mężczyzn, którzy tak jak on starają się usamodzielnić.

Pani Zofia jest emerytką, kroi warzywa i pilnuje kaszy, żeby się nie przypaliła. Ma mieszkanie, emeryturę. – Lubię pomagać – tłumaczy, dlaczego przychodzi charytatywnie do stołówki. – Nie można wszystkiego robić za pieniądze – dodaje.

– Co gotujecie? – przez uchylone okno dopytuje Margarita, która też czeka na obiad. – Pachnie aż tutaj – mówi.

Do obiadu zostały trzy godziny.

Rówieśnik Richelieu

Ksiądz Wincenty à Paulo słucha spowiedzi umierającego, ubogiego wieśniaka. Przez całe życie nie miał świadomości, że grzeszył. Spowiednik zrozumiał, że wielu ludzi nie umie wyznać grzechów. Martwi go, że skazują się na wieczne potępienie.

Na drugi dzień wygłasza płomienne kazanie o spowiedzi generalnej: że uwalnia sumienie od zadawnionych grzechów. Wieśniacy garną się do konfesjonału, trzeba sprowadzić spowiedników.

Jest XVII wiek. We Francji czas muszkieterów, religijnych wojen i dużych wpływów Kościoła – rówieśnik księdza Wincentego, kardynał Richelieu, zostanie zaraz pierwszym ministrem.

Ze względu na wykształcenie Wincenty ma koneksje wśród arystokracji: uczy ich dzieci, prowadzi duchowo. Pomaga także biedakom. „To są nasi Panowie i Mistrzowie" – mówi o nich.

W dzieciństwie zaznał biedy (żeby opłacić jego studia, ojciec sprzedał bydło), przeżył kilka lat w muzułmańskiej niewoli. Na starej rycinie widać, jak na paryskiej ulicy pochyla się nad żebrakiem. To dla nich zakłada Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, w Polsce nazywanych popularnie szarytkami: od francuskiego słowa *charité* – „miłosierdzie". W 1625 r. powstaje Zgromadzenie Księży Misjonarzy: mają troszczyć się duchowo i materialnie o ubogich.

– Wypełniamy nakaz naszego założyciela – mówi ksiądz Bar.

Oaza z krzyżem

Na rekolekcje oazowe do Orawki szesnastoletniego Sławka wyciągnął brat. Jechał bez przekonania. Delikatne granie na gitarze, ckliwe religijne piosenki, modlitwa – to nie jego świat. – Przeżyłem tam swoją drogę krzyżową – mówi dziś. – Rozmawiałem z Bogiem o moim życiu. Zastanawiałem się, co chcę robić? – wspomina.

Z kolegą zbili z ciężkich belek pięciometrowy krzyż. Sławek wypisał na tabliczce osobistą intencję: że chce się zmienić. Krzyż wnieśli na wzgórze.

Po wakacjach zmienia klasę, żeby odciąć się od poprzedniego towarzystwa. Poprawia oceny, widzi sens chodzenia do kościoła. Im bliżej matury, tym więcej myśli o kapłaństwie. Parafię w Grodkowie prowadzą księża misjonarze – zdecydował, że pójdzie do nich.

Od początku wie, że będzie pomagać biedakom – jak założyciel zgromadzenia. Ale żyjący kilkaset lat wcześniej francuski kapłan to postać odległa. Współczesny wzór Sławek ma w domu.

W Grodkowie żyła sędziwa pani Władysława, która straciła dach nad głową. Urzędniczka z gminy spytała Barów, czy nie odstąpiliby jej jednego pokoju, który gmina przydzieliła im w kamienicy. Rodzice się zgodzili, choć dzieci się buntowały.

Potem w pomoc samotnej kobiecie zaangażowali się wszyscy. Ojciec przenosił staruszkę do wanny, mama ją kąpała i przewijała, chłopcy nosili z piwnicy węgiel, rano wynosili popiół. Pani Władysława spędzała u nich święta.

– Mama pokazała nam wrażliwość na drugiego człowieka. Nie w gadaniu, ale w działaniu – wspomina dziś ksiądz Bar. Czasem myśli, że właśnie dlatego angażuje się tak w pomaganie innym.

W moro z łańcuchami

Że to ksiądz, wiedzą tylko uczniowie i nauczyciele. Zamiast sutanny i koloratki, do szkoły zakłada moro, obwieszone łańcuchami. Uczy religii w jednym z najlepszych w Bydgoszczy liceów.

Proboszcz namawia dyrektorkę, żeby na niego wpłynęła. Miała odpowiedzieć, że straciłby zaufanie wśród młodzieży, gdyby przychodził ubrany jak ksiądz.

Jeszcze na początku kapłaństwa założył Stowarzyszenie Młodzieży Misjonarskiej. Dla wierzących, niewierzących, poszukujących. Niektórzy przyszli z sekt, inni brali narkotyki albo pili.

Hubert Kowalewski był w liceum, gdy poznał księdza Bara. Opowiada, jak na rekolekcjach był z nimi niewierzący chłopak. Na mszy wszyscy przyklękali, a on

eprasa.pl 48ee648283



PIOTR ULANOWSKI

Ksiądz Sławomir Bar, proboszcz bazyliki w Bydgoszczy, z jednym ze swoich podopiecznych w noclegowni znajdującej się w piwnicach kościoła. Bydgoszcz, styczeń 2023 r.

wstawał – z szacunku do nich. – Trzymały nas relacje. Rozmawialiśmy o życiu, miłości, nie tylko o wierze – wspomina dziś ksiądz Hubert Kowalewski, który po maturze wstąpił do Zgromadzenia Księży Misjonarzy.

Nie tylko modlili się i rozmawiali. Z księdzem Sławkiem robili kanapki dla bezdomnych. – Pomaganiem drugiemu człowiekowi chciałem im pokazać Boga; nie przez duchowe uniesienia, ale praktyczne działanie – tłumaczy ksiądz Bar. – Gdy widzieli, jak ze szczerością nalewam biedakom zupę, rozumieli, że miłosierdzie to coś więcej niż filantropia.

Jeżdżą za granicę. – Poznawali inny, lepszy świat – mówi. Choć był też inny cel: – Chodziło o to, żeby mieli marzenia, zaczęli walczyć o siebie.

Pojechał z nimi kiedyś na oazowe rekolekcje. – Ci twoi nie pasują do naszej młodzieży – marudzili księża. – Przeklinają, palą, zepsują naszych.

Wielu udało mu się zmienić. Są lekarzami, prawnikami, zajmują się biznesem, niektórzy zostali duchownymi. Jak ksiądz Hubert, który opiekuje się Młodzieżą Misjonarską w bydgoskiej bazylice.

Z Bydgoszczy w świat

W jednej ręce ściska religijne pisemko, drugą wyciąga po pieniądze. „Pan Bóg patrzy” – komentuje naszą obojętność. Philippe nie wytrzymuje natarczywości, sięga do kieszeni.

To Paryż, Siódma Dzielnica. Sanktuarium Matki Bożej Cudownego Medalika przy Rue du Bac zamknięte na czas obiadowej przerwy. W czerwcowe popołudnie, kwadrans przed otwarciem, czeka kilkanaście osób. Mężczyzna z pisemkami podchodzi do kolejnych.

Co paryska kaplica ma wspólnego z jadłodajnią i noclegownią w bydgoskiej bazylice? Tutaj dwieście lat temu Matka Boża miała poprosić szarytkę Katarzynę Labouré o wybicie medalika z wizerunkiem Maryi – ma pomagać tym, którzy będą go nosić.

Ksiądz Bar też tu był ze swoją młodzieżą. Pokazał ważne dla Zgromadzenia Misjonarzy miejsca: przy Rue du Bac jest relikwiarz z sercem Wincentego à Paulo, przy Rue du Sèvres – jego grób.

– Byli w szoku, że są w Paryżu – wspomina pielgrzymkę. – A w jeszcze większym, że przychodzi tutaj tylu ludzi z całego świata.

Późną nocą przyszli raz jeszcze: w opustoszałym sanktuarium odprawił dla nich mszę.

Spod bomb

Zegar na wieży bazyliki wybija czwartą. W kolejce do budki „Miłosierdzie” ze czterdzieści osób. Rozmawiam z niektórymi.

Grzegorz: – Pracowałem na budowach, ale umowa wygasła. Nie mogę nic znaleźć. Nie wiem, czy za stary już jestem, czy co?

Jedni jedzą na miejscu, inni zabierają jedzenie do domu, dla bliskich.

– Jak było na praktykach? – Margarita wita kilkunastoletnią córkę. Słucha uważnie jej wrażeń, przechodzą na luźne tematy. Chwalą gulasz. Dziewczyna zachęca Margaritę, żeby zabrała porcję na wynos dla młodszej siostry.

Sebastian przyszedł prosto z pracy. Schludnie ubrany, wziąłbym go za nauczyciela, choć pracuje fizycznie.

– Po rozwodzie straciłem mieszkanie – opowiada. Przygarnęli go znajomi. – Jak dostanę pensję, pójdę na pokój – mówi.

Natalia ma 77 lat, ciągnie torbę na kółkach – spakowała do niej pojemnik z gulaszem, surówki, ciasto. Przyjechała z Charkowa, zaraz po rosyjskiej agresji.

– Tam wsje wriemja bomby – rosyjski miesza z polskim.

Chcę jej pomóc dojść do autobusu. Mówi, że da radę sama. Życzę jej zdrowia. – I mira – dopowiada.

Inni też się rozchodzą.

Trzyma nas jutrznia

– Tutaj będzie nowoczesny gabinet lekarski, a tutaj pokój dla psychologa – ksiądz Bar oprowadza mnie po lewym skrzydle bazyliki.

W jednym z pomieszczeń powstaje nowocześnie wyposażona kuchnia. – Niejedna restauracja chciałaby taką mieć – ksiądz Sławomir nie kryje dumy. Obok kuchni będzie bar socjalny. – Kogo nie będzie stać, będzie jadł za darmo, inni mogą dać tyle, na ile ich stać – tłumaczy ideę proboszcz.

Księża misjonarze prowadzą też w innej części miasta dom dla kobiet, które wyszły z więzienia. Na miejscu rozdają paczki z żywnością, jest sklep z tanią odzieżą.

– Ma Ksiądz w tym wszystkim czas na duchowość, modlitwę? – dopytuję, bo odnoszę wrażenie, że zajmuje go przede wszystkim dobroczynność.

– Codziennie mamy wspólną modlitwę wieczorną, a w niedzielę odmawiamy razem jutrznię – odpowiada. – Modlitwa daje nam siłę do pracy. Bez niej nie dalibyśmy rady.

Na koncerty Metalliki jeździ nadal.

© STANISŁAW ZASADA

eprasa.pl 48ee648283

Niepotrzebna legenda

ARTUR SPORNIAK

BEATYFIKACJA | Wietnamski męczennik nie został zamordowany przez komunistów – jak podają media. Choć rzeczywiście oddał życie za wiarę – uznał Watykan.



DOMENA PUBLICZNA

Ks. Franciszek Ksawery Truong Buu Diep

Procesja długo zbliżała się do miejsca celebracji, bo oprócz asysty liturgicznej kroczyło w niej czterdziestu biskupów – prawie cały wietnamski episkopat. Wcześniej, po lewej stronie ołtarza, zbudowanego pod olbrzymim namiotem, miejsca zajęło prawie tysiąc duchownych. W pierwszym rzędzie zaś zasiedli przedstawiciele lokalnych władz, a także wiceminister ds. mniejszości etnicznych i religii w komunistycznym wietnamskim rządzie Nguyen Hai Trung.

To wydarzenie historyczne – po raz pierwszy w Wietnamie odbyła się beatyfikacja zamordowanego w 1946 r. ks. Franciszka Ksawerego Truonga Buu Diepa. Mszy beatyfikacyjnej, odprawianej 2 lipca tego roku, przewodniczył specjalny wysłannik papieża, filipiński kardynał Luis Antonio Tagle, a koncelebrował ją Polak – rezydujący w Wietnamie przedstawiciel Watykanu abp Marek Zalewski. Do centrum pielgrzymkowego przy grobie męczennika w Tac Say w Delcie Mekongu przybyło 70 tys. pielgrzymów. Jak to możliwe, że w kraju, gdzie jeszcze kilkanaście lat temu Kościół katolicki był prześladowany, komunistyczni notable uczestniczą w religijnych uroczystościach?

KAI powtarza legendę

Katolicka Agencja Informacyjna napisała – a za nią informację powtórzył m.in. konserwatywny portal PCH24 – że beatyfikowany wietnamski kapłan został zamordowany przez „komunistycznych milicjantów współpracujących z Viet Minh" (chodzi o założoną przez Ho Chi Minha partyzantkę). Gdyby to była prawda, sensacja byłaby jeszcze większa. Wyobraźmy to sobie: komunistyczne władze nie tylko godzą się na zorganizowanie uroczystości, ale nawet wysyłają swoich wysokich przedstawicieli na beatyfikację męczennika komunizmu. Czyżby bezprecedensowy akt skruchy?

Tak jednak nie jest. KAI powtórzyła rozpowszechnianą od lat legendę, że kapłan zginął z rąk komunistów, oddając swoje życie w zastępstwie kilkudziesięciu parafian, którzy mieli zostać spaleni w ryżowym spichlerzu. Tymczasem śledztwo prowadzone w latach 2011-2017 przez miejscową diecezję w ramach procesu beatyfikacyjnego wykazało, że ks. Diep zginął z rąk dwóch japońskich dezerterów, którzy zadali kapłanowi ciosy w głowę mieczami charakterystycznymi tylko dla wojska japońskiego. Motywem była nienawiść Japończyków do krajów zachodnich i do katolicyzmu, spotęgowana przegraną wojną. Opinię tę wydano na podstawie pośredniego świadectwa – uznanego jednak za wiarygodne – parafianina ks. Diepa, który zaprzyjaźnił się ze skruszonym członkiem grupy zbrojnej pomagającej Japończykom i będącym świadkiem egzekucji.

Raport wspomina również o nienawiści i chęci zamordowania kapłana przez grupę posiadaczy ziemskich, z którymi ks. Diep wygrał kilka procesów sądowych w sporach o ziemię dla biednych chłopów.

Badania historyczne wykazały też, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby śmierć kapłana mogła mieć związek z Viet Minhem i siłami komunistycznymi. Zaraz po II wojnie światowej ruch ten dążył do zjednoczenia wszystkich Wietnamczyków, bez względu na wyznanie, w walce o wyzwolenie od francuskiego kolonializmu, a sam ks. Diep nie był aktywny politycznie. Świadectwa mówią, że odnosił się przyjaźnie do każdego ugrupowania – np. nie odmawiał jedzenia tym, którzy o nie prosili.

Bambusowa dyplomacja

Beatyfikacja ks. Diepa nie jest więc ani wyrazem skruchy, ani sygnałem rozpoczęcia procesu rozliczania się komunistów z prześladowań religijnych. Choć rzeczywiście sytuacja katolików w Wietnamie od kilkunastu lat stopniowo zaczyna się poprawiać.

W 2009 r. Watykan rozpoczął negocjacje z komunistami w sprawie mianowania biskupów. Podobną politykę rozmów dyplomatycznych Stolica Apostolska prowadziła z Chinami, gdzie jednak do dziś nie przyniosła ona oczekiwanych rezultatów. W przeciwieństwie do Wietnamu, gdzie katolicy odzyskali swobodę kultu, zwłaszcza od momentu, gdy kraj otworzył się na państwa zachodnie, wprowadzając tzw. bambusową dyplomację (w 2021 r. sekretarz generalny Partii Komunistycznej Nguyen Phu Trong przyrównał politykę zagraniczną swego kraju do bambusa „o silnych korzeniach i elastycznych gałęziach"). Dalsze poszerzanie wolności religijnych ma nastąpić – jak zapewnia rząd wietnamski – od 1 stycznia 2027 r.

Kult męczennika

Po zakończeniu wojny i japońskiej okupacji Wietnamu kult ks. Diepa stał się powszechny. W 1969 r. Kościół wybudował mauzoleum nad jego grobem w parafii Tac Say. Zaczął się ruch pielgrzymkowy, zwłaszcza po zapoczątkowaniu w 1979 r. corocznych nabożeństw żałobnych w rocznicę śmierci męczennika, 12 marca. Liczba przyjezdnych z każdym rokiem rosła, w 1997 r. przy kościele powstało Franciszkańskie Centrum Pielgrzymkowe. 25 listopada 2024 r. papież Franciszek ogłosił, że Diep „został zamordowany z nienawiści do wiary", co pozwoliło na przeprowadzenie beatyfikacji bez potwierdzenia cudu. ©

eprasa.pl 48ee648283

Poznajmy się, porozmawiajmy i zostańmy Partnerami!

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY



Tygodnik

to doskonały partner dla Twojego wydarzenia!

Od lat towarzyszymy instytucjom kultury, samorządom, firmom oraz NGO w podejmowanych inicjatywach, oferując wsparcie redakcyjne i promocyjne. Współnie z naszymi Partnerami wydaliśmy dziesiątki publikacji, dodatków tematycznych i specjalnych serwisów internetowych, robiąc to z największym profesjonalizmem i z pełnym zaangażowaniem.

Odwiedź naszą stronę i poznaj dotychczasowe realizacje:
TygodnikPowszechny.pl/dodatki-tematyczne

Napisz na **promocja@tygodnikpowszechny.pl**

lub zadzwoń do nas:

Anna Pietrzykowska tel. 602 590 416
Mateusz Gawron tel. 602 331 791

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 48ee648283

O. WACŁAW

Oszajca: *Moc przebaczenia*



„Prócz Ciebie nie ma boga troszczącego się o wszystkich (...) Twoja potęga jest podstawą sprawiedliwości, a w swej wszechwładzy wszystkich traktujesz łagodnie. Okazujesz potęgę, gdy ktoś wątpi w nieograniczoną moc Twoją, a jeśli ją uznaje, ostrzegasz go przed zuchwałością. Jesteś wszechwładny, a sądzisz łagodnie i kierujesz nami wyrozumiale (...) W ten sposób nauczyłeś lud swój, że człowiek prawy powinien kochać innych. Dałeś swoim synom zbawienną nadzieję, że gdy zgrzeszą, obdarzysz ich nawróceniem".

Ten fragment Księgi Mądrości autorzy lekcjonarza zestawili z przypowieścią o siewcy i o ziarenku gorczycy, uwypuklając tym samym przewodni motyw Biblii. Obserwując rzeczywistość i zastanawiając się nad nią, ten intelektualny wysiłek autorów biblijnych rabin Abraham Joshua Heschel nazwał procesem poszukiwania człowieka przez Boga i Boga przez człowieka. Dzięki niemu Izraelici doszli do wniosku, że to sam Bóg „nauczył lud swój, że człowiek prawy powinien kochać innych". Ale wiele wody musiało upłynąć w Jordanie, zanim padło stwierdzenie: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził. A Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie (...) Bądźcie więc tak doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec niebieski". Tym zachwycającym słowom towarzyszą jeszcze inne: „Okazujesz potęgę, gdy ktoś wątpi w nieograniczoną moc Twoją, a jeśli ją uznaje, ostrzegasz go przed zuchwałością". To znaczy, że mamy się mieć na baczności. Czym bowiem kończy się uleganie owej zuchwałości? Wystarczy przypomnieć, kto i na czym budował mające trwać wiecznie mocarstwa wiecznej szczęśliwości – Trzecią Rzeszę i Związek Radziecki. To piekło na ziemi zbudowali ludzie, którzy uwierzyli, że posiedli ową boską potęgę i nieograniczoną moc właściwą tylko Bogu.

Dzisiaj ten sam zuchwały duch nie pozwala Polakom i Ukraińcom zdobyć się na wypowiedzenie słów, które naprawdę już udowodniły boską moc: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Czyli odpuść nam, gdyż i my odpuszczamy. Odpuścić, przebaczyć może tylko pokrzywdzony, do czego zobowiązuje nas miłość do nieprzyjaciół. Dlatego nie co innego jak przebaczenie jest boskim przejawem człowieczeństwa. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Tłum*



„Jezus obchodził wszystkie miasta i wioski (...). A widząc tłumy, litował się nad nimi, bo byli znękani i porzuceni, jak owce nie mające pasterza" (Mt 9, 35-36). Z takim obrazem – i z taką reakcją Jezusa – skonfrontowała nas (między innymi) ubiegłotygodniowa Liturgia.

Reakcja ta mogłaby dziwić. Nas widok tłumów raczej cieszy i pokrzepia. Dobrze jest zobaczyć, że ciągle jest nas dużo, ciągle zbieramy się licznie, są wydarzenia, w których uczestniczymy masowo – tu było nas kilka tysięcy, tam kilkadziesiąt, a tam spodziewamy się nawet kilkuset... Te liczby nas uspokajają i przekonują. Mają też przekonać innych.

Jezusa widok tłumów nie uspokaja i nie zachwyca. Raczej wstrząsa Nim i przejmuje Go aż do samych trzewi (tak można by przetłumaczyć użyte przez Ewangelistę greckie słowo *splagchnizomai*, od *splagchna* – wnętrzności) i budzi w Nim miłosierdzie (stąd polskie tłumaczenie: „litował się"). Najwyraźniej „tłum" nie oznacza, że wszystko jest dobrze. „Tłum" może oznaczać zewnętrzną fasadę – nawet imponującą – pod/za którą kryją się poważne problemy. Nie każdy jednak je widzi. Żeby je zobaczyć, trzeba mieć wzrok Jezusa.

Jaki jest problem tego tłumu? Odpowiedź: są „jak owce nie mające pasterza". Jezus mówi: „Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo". Polskie tłumaczenie idzie tu blisko za łacińskim, gdzie użyte zostało słowo *mitto, mittere* („posłać"). W greckim tekście Ewangelii pada tu jednak słowo *ekballo*, które znaczy przede wszystkim tyle, co „wyrzucić", „wygnać". A więc to nie jest tak, że pasterzy nie ma... Są! Ale trzeba ich „wygnać" do pracy! Najwyraźniej widok tłumu uśpił pasterzy. Nie mobilizuje ich do działania. Raczej przeciwnie – spowalnia. Skoro jest tłum... Nie muszą się zmagać, nie muszą zabiegać, nie muszą poszukiwać nowych inicjatyw ani tym bardziej nowych ludzi! Sami też dobrze czują się w tłumie – nie widzą powodu, aby się z niego wychylać ani też głębiej wchodzić w indywidualne problemy składających się nań osób. Są pasterze, ale jakby ich nie było. Więc owce są porzucone. I znękane.

Prośmy dla siebie o wzrok Jezusa. Wszyscy – nie tylko ci, których automatycznie rozszyfrowujemy pod słowem „pasterze". Wszyscy potrzebujemy widzieć głębiej. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 48ee648283

ZUZANNA

Radzik: *List do Watykanu*



Wyobraź sobie, że piszesz pełen oburzenia list do Watykanu. Może się zawsze zdarzyć – powodów, niestety, nie brakuje. Być może się powstrzymasz, bo przecież to jak pisać na Berdyczów. Ale powiedzmy, że tym razem nie wytrzymałaś albo nie umiałaś sobie tego odmówić. Siadasz, przelewasz na papier swój ból. Wysyłasz. Przyszłoby Ci do głowy, że 80 lat później badaczka odkryje teczkę z twoim profilem w watykańskich archiwach?

Taka historia spotkała studenta szkoły rabinicznej w Nowym Jorku Seymoura Siegela, który po pogromie kieleckim i nieadekwatnej do tej tragedii konferencji prasowej kardynała Hlonda napisał do Watykanu. List znalazła polska badaczka Monika Stolaczyk-Bilardie z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven. Siegel grzmi, że wśród bestialskich morderców sześciu milionów Żydów wielu było katolikami i że haniebne zachowanie katolików w Kielcach jest jak sypanie soli na świeże rany. O reakcji kardynała Hlonda zaś pisze: „Czy to nie dość, że krew 95 procent narodu żydowskiego w Polsce zrasza teraz ziemię tego przeklętego kraju, że wysoki urzędnik Kościoła »miłości« wygłasza tak zjadliwe, antysemickie, prowokujące i podżegające do buntu oświadczenia, które mogą tylko posłużyć do dalszego podpalania namiętności nieludzkich, bestialskich i okrutnych polskich chuliganów, z których większość to katolicy?”.

Więcej o reakcji kardynała Hlonda, tej znanej i tej świeżo odkrytej, jeszcze bardziej wstrząsająco antysemickiej, którą Stolaczyk-Bilardie znalazła w archiwach Watykanu, można przeczytać w jej artykule w „Gazecie Wyborczej”, wydrukowanym z okazji niedawnej 80. rocznicy pogromu w Kielcach. Może bardziej trzeba przeczytać, niż można. Bo to trzeba wiedzieć i zapamiętać, żeby potem rozumieć, jak mało serca Kościół polski miał i ma dla Żydów, mimo Zagłady.

Wróćmy jednak do teczki personalnej studenta Siegela. Bo, fantazjuję, ile takich teczek jeszcze znajdą badacze, szukając czegoś innego? A może to tylko dla oburzonych Żydów biskupi wraz z nuncjaturą szykowali takie profile? W każdym razie sprawę Siegela Watykan odesłał nuncjuszowi w Waszyngtonie, ten zasięgnął języka u arcybiskupa Chicago, skąd pochodził student. Razem zawyrokowali, żeby jego protest olać i nie odpowiadać. Więcej: uznali list za „histeryczny stan umysłu, w jakim znajdują się niektórzy Żydzi”. Mamy 1946 rok, rok po Zagładzie, miesiąc po głośnym pogromie Ocalałych z niej. Do owej oceny dołączają teczkę Siegela, a w niej, jak relacjonuje Stolarczyk-Bilardie: dokładny adres, nazwiska rodziców i rodzeństwa, historię edukacji, oceny, raporty kredytowe i opis cech fizycznych, koloru oczu, włosów i odcień skóry.

No to wyobraź sobie, że twój słuszny protest wysłany do Watykanu czy do kurii zyskuje taką oprawę. Zdolność kredytowa twoja i małżonka, imiona dzieci, kolor oczu, włosy proste czy kręcone, miejsce zamieszkania. Teczka jak z policyjnego śledztwa, tylko dlatego, że coś ci się nie podoba. Choć trzeba przyznać, że opis cech fizycznych żydowskiego studenta mdli bardziej, bo to w końcu dekada, w której profilowano Żydów rasowo i wyłapywano też na podstawie wyglądu. Komu to przyszło w tej kurii czy nuncjaturze do głowy? I że ręka nie drgnęła, gdy pakował to *dossier* w kopertę?

Zatrzymuje w tej sprawie jeszcze jedna rzecz. Kto by pomyślał, że gdy Kościół w odpowiedzi na oburzony list milczy, to nawet do tego milczenia tak pieczołowicie się przygotowuje. Raczej zakładałam, że nasze petycje, narzekania, odwołujące się do moralności apele, są przyjmowane milczeniem, bo są po prostu ignorowane. Jakby nie istniały. A jednak Watykan to stara wytrawna biurokracja, pisma cyrkulują, sprawy odsyłane są tam, gdzie przynależą, za zasłoną milczenia odbywa się być może – bo nie wiemy, jak jest dziś – ciężka urzędnicza praca, mająca wewnętrznie uzasadnić właśnie tę ciszę, jaka nam odpowiada. Ileż trzeba zapisać papieru, żeby to milczenie czymś podeprzeć. Jak scharakteryzować petenta, żeby samemu uwierzyć, że nie jest wart naszej odpowiedzi. Czy to dowodzi bardziej serca, które trzeba zagłuszyć, czy jest raczej rutyną urzędu?

A co się stało z Seymourem Siegelem? Nie mam pewności, czy to ten, ale wiele się zgadza. Pisząc do Watykanu, miał 19 lat, potem był uczniem słynnego rabina Heschela, ważnym liderem konserwatywnego judaizmu, doradcą amerykańskich prezydentów. Już w latach 60. uczył o Zagładzie, był pionierem żydowskiej etyki medycznej. Politycznie konserwatywny, ale zwolennik ordynacji rabinicznej kobiet w konserwatywnym judaizmie. Milczenie Watykanu nie zraziło go do dialogu z chrześcijanami; uważał, że jest on niezbędny. Został jednym z pierwszych rabinów, który uczył w chrześcijańskich seminariach. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

eprasa.pl 48ee648283



DOMENA PUBLICZNA

Żona Heinricha Schliemanna, Sophia, w złotej biżuterii ze skarbu Priama (ok. 1873)

HISTORIA

WSZYSTKIE SKARBY NINIWY

Turcja i Izrael rywalizują także na polu archeologii. Spierają się o zabytki i używają wykopalisk do legitymizacji swych ambicji – tych jak najbardziej współczesnych.

ALEKSANDER R. MICHALAK

Prezydent nie bawił się w półsłówka. Występując w sierpniu 2025 r. na sympozjum archeologicznym w Ankarze, Recep Tayyip Erdoğan obwieścił, że Turcja to światowy lider. I to podwójny: zarówno gdy idzie o skalę odkryć archeologicznych, jak też odzyskiwanie tego, co utraciła. Od 2002 r. sprowadzono bowiem do kraju aż 13 tys. artefaktów – tych wywiezionych z jej terytorium w czasie, gdy istniało Imperium Osmańskie.

Erdoğan zapowiedział też, że tureccy eksperci „dokładnie zbadają każdy centymetr kraju i każde miejsce, w którym postawili stopę Turcy", dokumentując ich dziedzictwo.

TURCJA VS IZRAEL | Wizja Erdoğana jest jasna: wspaniała historia Turcji to przyczynek dla jej obecnych i przyszłych aspiracji. Gdyż, jak mówił, „nie chodzi tylko o odkrywanie artefaktów, ale o zajęcie naszego miejsca w historii cywilizacji".

Choć ani Erdoğan, ani premier Benjamin Netanjahu nigdy by tego nie przyznali, pod tym względem są podobni: także dla Izraela, który powstał na terenach dawnego państwa Osmanów, zamieszkanych głównie przez ludność arabską (tę, która w XX w. zyska odrębną tożsamością palestyńską), zabytki – świadectwa przeszłości – to ważny przyczynek: dla jego roszczeń i dla legitymizacji jego istnienia w tym miejscu mapy świata.

Jednak gdy idzie o zabytki, Izrael ostatnio nie tylko je odkrywa. To izraelska rakieta zniszczyła niedawno zabytkową kolumnę w libańskim Tyrze (to także część Imperium Osmańskiego), wpisaną na światową listę dziedzictwa.

Takie zdarzenia przywołują argument, że dla niektórych zagrożonych artefaktów byłoby lepiej, gdyby zostały wcześniej ukradzione do europejskich muzeów – tam przynajmniej byłyby bezpieczne.

ŁOWCY SKARBÓW | Najpierw zatrzymajmy się przy Turcji. Inaczej niż miało to miejsce w Chinach i Polsce, osmańska Turcja nie traciła bezcennych artefaktów w wyniku wojennej grabieży. Część z nich opuściła ją jako prezenty, część wywieziono legalnie – początkowo zachodni archeolodzy mieli zgodę na wywóz obiektów z wykopalisk.

Działo się tak zwłaszcza przed rokiem 1869, kiedy to po raz pierwszy wprowadzono zakazy wywozu zabytków. Wcześniej do British Museum trafiły np. rzeźby z mauzoleum w Halikarnasie; dziś Ankara domaga się ich zwrotu. Jednak nawet po roku 1884, gdy sułtan ogłosił, że wszystkie artefakty znalezione podczas wykopalisk należą do państwa, wciąż wędrowały one na Zachód – kradzione, przemycane.

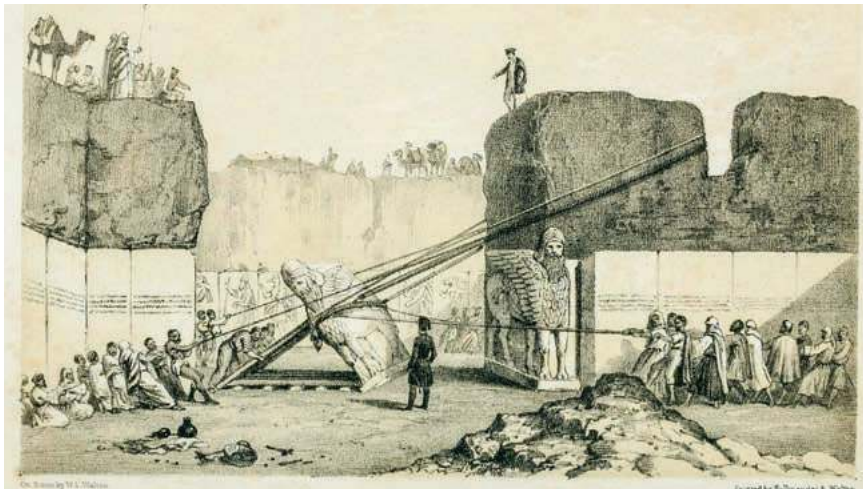
Było co wywozić. Wiek XIX owocował wielkimi odkryciami archeologicznymi. Przy czym wykopaliska przybierały często charakter łowów na skarby. Starożytne cywilizacje budziły w Europie ogromne zainteresowanie, a bieg dziejów sprawił, że ich materialne ślady znajdowały się w większości w granicach Imperium Osmańskiego.

Tu można było odnaleźć więc zabytki greckie, perskie, hetyckie, sumeryjskie, asyryjskie, fenickie, a także hebrajskie. Tu stały historyczne Babilon, Niniwa, Tyr, Jerozolima. Tu rozgrywały się wydarzenia opisane w Biblii hebrajskiej.

WIELKA WYWÓZKA | Wyobraźmy sobie atmosferę tamtych czasów. Pierwsi zachodni podróżnicy, którzy przybywali na Bliski Wschód, na pustych przestrzeniach, gdzie czasem tylko wędrowali Beduini, odkrywali starożytne ruiny i pomniki. Wychowani na Biblii, Homerze i Herodocie, gorliwie zabierali się za odkopywanie dawnych światów. Uznając za pewnik, że to, co znajdą, wolno zabrać do Europy – do muzeów w ich krajach.

Już w początkach XIX w. wywieziono więc do Anglii marmury ateńskiego Partenonu. Zrobił to Thomas Bruce, a jego czyn, nawet w tamtej epoce, wzbudził mieszane uczucia. Dekadę później do Paryża trafiła Wenus z Milo. Także znaleziska z dzisiejszego Iraku trafiały do Europy. Imponujące asyryjskie rzeźby ładowano na statki i tratwy na Tygrysie. Bywało, że tonęły podczas transportu.

eprasa.pl 48ee648283



DOMENA PUBLICZNA

Wykopaliska Austena H. Layarda w Niniwie, przygotowania do transportu zabytków do Londynu, 1849 r.



CASTRO / AP PHOTO / EAST NEWS

Izraelski generał i archeolog Yigael Yadin oprowadza sekretarza stanu USA Henry'ego Kissingera (w białej koszuli) po ruinach żydowskiej twierdzy Masada. 22 marca 1975 r.

Zabytków jednak nie brakowało, a zachodni dyplomaci okazywali się gorliwi, gdy idzie o wspieranie wykopalisk i wywóz antyków. Francuski konsul w Sydonie stworzył własne muzeum, a gości obdarowywał urnami z fenickich grobowców.

WYŚCIG IMPERIÓW | W wieku XIX archeologia, dyplomacja i polityka imperiów wzajemnie się przenikały. Znakomicie widać na przykładzie Austena H. Layarda, który odkopał biblijną Niniwę i Nimrud. Prowadził on też działalność wywiadowczą, a archeologia była przykrywką – i narzędziem w wielkiej grze między Wielką Brytanią a Rosją, zwłaszcza na terenie Persji (dziś Iranu).

Oczekując na spodziewane stanowisko dyplomatyczne w Konstantynopolu (dziś Stambuł), Layard postanowił spędzić czas na poszukiwaniu asyryjskich zabytków. Jak się okazało, to one miały przynieść mu nieśmiertelną sławę odkrywcy miast zagrzebanych w piasku.

A co na to Imperium Osmańskie? W badaniach archeologicznych, jakie odbywały się na jego terenie, początkowo odgrywało znikomą rolę. Spór o odkrycia miast Mezopotamii przybierał więc charakter rywalizacji kolonialnych potęg: Wielkiej Brytanii i Francji. Obawiając się, że Francuzi wyprzedzą Brytyjczyków w studiach asyryjskich, Layard uznał za kwestię honoru, by znaleziska przewieźć do Anglii szybciej, niż Francuzi przetransportują „swoje" artefakty.

MUZEUM SUŁTANA | Osłabione w XIX w., państwo Osmanów podjęło jednak reformy. W 1846 r. w dawnym kościele Hagia Eirene założono pierwsze muzeum (choć bardziej przypominało składzik niż instytucję muzealną). W 1867 r. sułtan Abdülaziz odwiedził Europę, a imperialne muzea zrobiły na nim wrażenie. Po powrocie przemianował kolekcję w Hagia Eirene na Muzeum Imperialne, budując dla niego gmach w kształcie hellenistycznego sarkofagu.

Pierwszymi dyrektorami instytucji byli zagraniczni uczeni. Dopiero po kilkunastu latach jej istnienia dyrektorem został Turek: Osman Hamdi Bey. Postać nietuzinkowa – archeolog (odkrywca tzw. sarkofagu Aleksandra), a także malarz i intelektualista.

Początkowo prawo tureckie zapewniało podział wydobytych antyków (między Turcję a zagranicznych archeologów). Z czasem zdecydowano, że wszystkie znalezione artefakty należą do Imperium Osmańskiego. Powołując się m.in. na to prawo, Ankara usiłuje dziś odzyskać zabytki znajdujące się w europejskich muzeach.

Europejskie mocarstwa i naukowcy nie byli zachwyceni tą zmianą. Padały oskarżenia, często rasistowskie. Anglicy i Francuzi uważali, że zwłaszcza dziedzictwo grecko-rzymskie przynależy do Europy, a nie do „azjatyckich" Turków. Kpiono, że szansa, aby wśród Turków pojawili się archeologowie, jest taka sama jak to, że zjawią się wśród Hotentotów.

ZŁODZIEJE ANTYKÓW | Zakaz nie był jednak gwarancją, że antyki zostaną w imperium. Bywało, że gdy nie można było wywieźć ich legalnie, uciekano się do kradzieży. Najsłynniejszej dokonał odkrywca homeryckiej Troi, Heinrich Schliemann: wywiózł do Niemiec biżuterię zwaną skarbem Priama. Dlatego jego wykopaliska były później strzeżone przez zbrojną gwardię z Konstantynopola.

Brytyjscy kuratorzy raczej nie wzdrygali się przed zakupem nielegalnie pozyskanych antyków. Znany jest list, jaki Ernest Alfred Wallis Budge, kustosz w British Museum, otrzymał od handlarza z Bagdadu. Ten pisał, że właśnie wysłał do Budge'a kolekcję tabliczek klinowych. Nie krył, że przemycił ją przez tureckie cło, ukrytą w workach z anyżem.

Dla kuratora nie był to problem. Sam przemycił wcześniej tabliczki klinowe, a społeczności handlarzy z Bagdadu dał ↦

eprasa.pl 48ee648283



DOMENA PUBLICZNA

Osman Hamdi Bey podczas prac wykopaliskowych na górze Nemrut, 1882 r.

↦ znać, że muzeum będzie kupować od nich takie kolekcje. Budge przez lata utrzymywał też sieć agentów w Iraku i Egipcie. Antyki przemycali np. pracownicy Kompanii Żeglugi Parowej Eufratu i Tygrysu. Podczas 30 lat urzędowania Budge potroił wielkość kolekcji, którą się opiekował – nie tylko dzięki reglamentowanym antykom z wykopalisk, ale też dzięki przemytowi.

IZRAEL W KOLEJCE | Dziś Turcja domaga się zwrotu wielu antyków, uważając się za pokrzywdzoną względem krajów Zachodu. Jednak niektórzy uznają tureckie roszczenia za hipokryzję, a krytyka wychodzi od narodów, które niegdyś podlegały władzy sułtana.

Armeńsko-amerykański publicysta Harut Sassounian tak komentuje tureckie wysiłki: „Ironią losu jest to, że kraj, który rości sobie prawo do tych zabytków, jest jednym z największych grabieżców dziedzictwa kulturowego innych narodów, jak kościoły, klasztory, zabytki i szkoły należące do Ormian, Asyryjczyków i Greków. Trzeba mieć samemu czyste ręce, żeby mieć czelność oskarżać innych o kradzież".

Sassounian nie wymienił tu Żydów (Izraelczyków). Tymczasem także oni mają swoje roszczenia wobec Turcji. Dawne terytoria Imperium Osmańskiego były niezwykle istotne, jeśli chodzi o tzw. archeologię biblijną. Ta zaś odegrała nie tylko szczególną rolę dla chrześcijańskich archeologów z Wielkiej Brytanii i USA, ale także dla powstałego w 1948 r. Państwa Izrael.

Dzisiaj Tel Awiw stara się przede wszystkim odzyskać od Turcji jeden niezwykle istotny artefakt, który znajduje się w muzeum w Stambule.

WARSTWY MŁODE I STARE | Państwo Izrael powstało na terenach, na których przez około osiemnaście wieków Żydzi stanowili nieznaczącą mniejszość. Dziadkowie tych, którzy zakładali Izrael, w większości nigdy nie oglądali Bliskiego Wschodu, a ziemię, którą w Biblii Jahwe obiecał narodowi żydowskiemu, znali wyłącznie z tekstów religijnych.

Stąd od pierwszych lat istnienia Izraela, w procesie nowej izraelskiej tożsamości, nie do przecenienia były wszystkie zabytki, które stanowiły pomost między starożytną przeszłością a nowym państwem. Nieprzypadkowo to kopię starożytnej menory, którą odkryto w nekropolii w Beit Sze'arim, ustawiono przy wejściu do parlamentu (Knesetu).

W pierwszych latach istnienia państwa archeologów izraelskich mniej interesowały młodsze, „muzułmańskie" warstwy – pragnęli dotrzeć do tych wcześniejszych. Podobnie jak XIX-wieczni chrześcijańscy archeologowie, o których mówiono, że kopali z łopatą w jednej, a z Biblią w drugiej ręce, także izraelscy uczeni szukali głównie biblijnych starożytności.

Poszukiwali również potwierdzenia wydarzeń znanych z dzieł Józefa Flawiusza. Szczególną rolę odegrała tu twierdza Masada, badana przez generała izraelskiej armii Yigaela Yadina. Temu miejscu „muskularny" syjonizm nadał szczególną wagę – jako ostatniemu bastionowi heroicznego oporu żydowskich wojowników walczących z Rzymem.

ŁĄCZNIK Z BIBLIĄ | W międzyczasie minęło prawie 80 lat – i w Izraelu zaszły znaczące zmiany. Pojawiła się np. grupa badaczy podważająca relacje biblijne – nie tylko wyjście Żydów z Egiptu i podbój Kanaanu, ale także królestwa Dawida i Salomona.

Ci, którzy nadal optowali za bardziej konserwatywnym podejściem do tekstu biblijnego, z radością przywitali więc odkrycie inskrypcji z napisem „Dom Dawida" (stela z Tel Dan).

Łącznikiem z historią biblijną jest również liczący 2700 lat zabytek z Jerozolimy: inskrypcja Siloe, która znajduje się w Turcji – i wobec której Izrael rości pretensje.

Inskrypcja ta została zarejestrowana w muzeum w Konstantynopolu w 1883 r., gdy nie istniało jeszcze Państwo Izrael. Pierwszy rząd Benjamina Netanjahu usiłował więc nabyć ją w latach 90. XX w. (Erdoğan był wtedy burmistrzem Stambułu).

W zamian Izrael oferował najpierw dowolny osmański przedmiot ze swoich kolekcji, a później nawet wszystkie osmańskie artefakty. Ówczesny premier Turcji miał odpowiedzieć przedstawicielom Izraela, że zarówno Erdoğan, jak i „część narodu tureckiego oburzyłaby się, gdybyśmy dali Izraelowi tabliczkę z informacją, że Jerozolima była miastem żydowskim 2700 lat temu". Odmówiono nawet jej wypożyczenia.

CIĄG DALSZY TRWA | Erdoğan, który przedstawia się jako obrońca Palestyńczyków, miał kiedyś powiedzieć do Netanjahu: „Nie damy wam nawet kamyczka z Quds [arabskie i tureckie określenie Jerozolimy – red.], a co dopiero tablicę z inskrypcją!".

Minęło kilka dekad, a Erdoğan i Netanjahu wciąż stoją na czele swoich państw. A życie dopisuje kolejne akapity do ich rywalizacji, także tej na polu archeologii. Oto niedawno, w czerwcu, minister spraw wewnętrznych Turcji, Mustafa Çiftçi, oświadczył, że Jerozolima wróci pod turecką kontrolę – tak jak miało to miejsce w czasach osmańskich.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

eprasa.pl 48ee648283

ELIZA

Kącka: *Przemyśl przemianę*



Pociąg z Krakowa, pustawo, wczesny ranek. Wychodzę z przedziału w poszukiwaniu toalety z wodą i mydłem. W naszym wagonie nieosiągalne. Pod kolejną toaletą rodzina z psem. Matka: „Pani po mydło?". „Aha". „Koszmar, tu też się kończy, a oni ciągle piją i chcą siku" – patrzy z wyrzutem na dzieci. Ojciec: „Jakbym wiedział, jak to wszystko wygląda, to bym nie prokreował". Matka: „Ej, co za »wszystko«? Przez mydło byś dzieci nie miał?". „Eee, nie wypowiem się". Mały: „Mama, kiedy dojedziemy?". „Jeszcze trzy godziny". „Mama, pociąg jest nudny". „Masz żelka". Ojciec: „Karmisz, dopajasz, i znów do kibla". „Taaak? To mi powiedz, co innego tu robić". „Czy ja wiem? Poczytać?". Mały: „Nieee!". Matka: „Chcesz go ukarać?". Ojciec: „Grę mu odpal". „Krótko się skupia, potem tylko je". Zwolniło się, matka z synem weszli. Ojciec do psa: „Ty umiesz milczeć, prawdziwy mężczyzna".

Kraków, wieczór późny, idę kładką Bernatka. Kazimierz. Kluczę, myślę, czy iść ku centrum, czy szlajać się lokalnie. Mgła nocna gęstnieje. Plac Wolnica jak płaski teflon miejski: czysta powierzchnia, żywego ducha. Ale po chwili ktoś się wyłania, idzie od Bożego Ciała i rozgląda się na boki. Nie wiem, co robić, więc drepcę ku Krakowskiej. „Czeka pani! Ja teraz zbiórkę robię". „Czyli?". „No dobra, ja staję, a domyślnie tata. Dołączy pani?". „Pewnie". Stoimy na wyprost, twarzą na wschód. „Co dzień lub co drugi dzień śni mi się, że tata uczestniczy w wielkim turnieju na sali gimnastycznej w moim liceum. Musi pojedynkować się ze wszystkimi uniwersytetami i politechnikami. I daje radę. Zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie ma demencji, nie traci pamięci, wygrywa. I śni mi się, że z przebieralni przy sali gimnastycznej startuje poczet sztandarowy Sorbony, by mu wręczyć profesurę. Taką dożywotnią. Tato płacze, zanosi się od łkania". „Piękne". „I ja go podtrzymuję. Proszę pani, jeśli ma pani moment, niech pani stanie za mną, ja to wszystko sobie wyobrażę, a pani będzie świadkiem ceremonii, dobrze?". „Dobrze". „Bo wie pani, tato tak dużo wiedział, że miałby te profesury". „Pewnie". „Ja nic nie umiem, ale on wiedział wszystko. I po prostu nie miał na to, musiał nas utrzymywać. I strasznie się zmęczył. Ale tu, tu ja przychodzę, bo przecież to niemożliwe, żeby nic z tego nie było, prawda?". „Tak, musi coś z tego być". „Gramy".

Pociąg do Krakowa, jazda w bezprzedziałowcu. Tuż przy nas, po drugiej stronie korytarzyka, pan z grubsza siedemdziesięcioletni. Spogląda na Rudą przychylnie. W końcu zagaduje: „Pierwszy raz w Krakowie?". Ruda obrusza się: „Jaki pierwszy! Piąty!". „Nono. A lubi panna Kraków?". „Bardzo, po Warszawie na drugim miejscu". „A co się tak w Krakowie podoba?". „Rynek, Planty, ten kościół z witrażami...". „Franciszkanie?". „Tak!". „A tak tylko na zwiedzanie? Czy z noclegiem?". „Z noclegiem na Kazimierzu". „Ooo, pięknie. Przy placu Wolnica miałem ciotkę". „Byłam tam". „Na Wawelu na pewno też...". „Tak!". „Wszystkie wycieczki tam chodzą". „Ja byłam z Pingwinem". „?". „Z mamą". „Ach, tak. Dla mnie Kraków to jest, wiesz, miasto o niepowtarzalnej aurze. I nie o to chodzi, że się tam urodziłem. Mieszkałem potem w Tarnowie. Z żoną w Płocku, w Warszawie. Ale i u brata żeśmy w Paryżu żyli przez trzy lata". „W stolicy Francji". „Tak jest. Wspaniałe miasto. Ale, tak między nami...". „Dlaczego między nami?". Śmieje się: „No dobra, to niech wszyscy wiedzą: wieczory w Krakowie dowodzą, że to miasto ma układ z gwiazdami". „Kontrakt metafizyczny" – uśmiecham się. „Ototo". Do Rudej: „A byłaś u smoka?". „Nie!" – Ruda z lękiem. „A pani?" – zaczepił. „U, nie raz". „Jak to?" – Ruda do mnie. „Z tobą nie. Sama tak. I kilka razy we śnie". On do Rudej: „Nie bój się". Do mnie: „Myślę, że ta cała aura to od smoka". „Miasto smoka". „Stąd wieczorna poświata. Od ognia, spod ziemi". „Światełko wędrujące między blachą a łuską". „Tak".

Drakoński upał, niedziela przesileń. Stoję na przystanku tramwajowym przy Spacerowej. Podchodzi staruszka: „Lekarz mi zabronił wychodzić wyżej dwudziestu pięciu stopni". „To się pani nie posłuchała – uśmiecham się – mamy ze czterdzieści". „Wiem, jestem niegrzeczna, ale nie mam innych rozrywek. Jak się ma dziewięćdziesiąt lat, można się tylko wystawić na upał". „Eee, da się jeszcze ryzykować inaczej". „Że ja? Ma pani jakieś pomysły?". „Nie wiem, telewizja?". „A da pani spokój! W porównaniu z większą częścią świata nie mamy problemów". „Też prawda". „A z takim upałem można się ścigać". „Żeby tylko pani...". „...nie wylądowała na SOR-ze? Nie zamierzam. Nie jadę po udar. Chcę kupić dzieciom lody". „Aha". „Moja wnuczka zmarła. W maju, na raka. Od maja zmagam się z tym, że ja jeszcze. Ona nie". „Jasne". „Raz rodziłam, ona trzy razy. Takie chucherko". „Uhm". „To ja teraz walczę, chociaż tak. Jej to po nic. Ale muszę temu słońcu pokazać pięść, muszę. Wiem, że to dziwne". „Wcale nie".

Folder Inne wspiera: „Szanowna Pani, posiadam refleksję po lekturze. Pani książka ma temat na pewno tak zwany ważny. Biedna mama z chorym dzieckiem. Za pewne dlatego postanowiła Pani coś napisać. Jednak nie umie Pani zrezygnować z »ja« co, jest problemem kobiet. W męskich wspomnieniach tego nie mamy. Proszę przemyśleć przemianę" [pisownia oryginalna – red.]. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl 48ee648283

NAUKA

SYMBOL POKOJU

ERAN LEVIN, ZOOLOG:

Brodawkonosy byłyby idealnymi zwierzętami domowymi. Są czyste, pięknie pachną owocami, nie zajmują miejsca, bo zwisają z sufitu, lubią ludzi i można je trenować jak psy.

MARIA HAWRANEK: Zaskoczyło mnie, że nietoperze są tak bardzo zróżnicowane i stanowią jedną piątą znanych gatunków ssaków.

ERAN LEVIN: To druga największa grupa ssaków po gryzoniach. Ich nazwa w wielu językach oznacza „latającą mysz", ale nie mają z gryzoniami wiele wspólnego. Są spokrewnione z drapieżnymi i kopytnymi, takimi jak świnie i krowy.

Znamy ponad 1,5 tys. gatunków, żyją we wszystkich ekosystemach z wyjątkiem terenów arktycznych. Zwyczajowo dzieliło się je na nietoperze żywiące się owocami i białkiem zwierzęcym, choć jedzą też nektar, pyłek, a nawet krew. Nietoperze owocożerne mogą osiągać nawet pół kilo wagi i mieć dwa metry rozpiętości skrzydeł. Wśród owadożernych występują tzw. mikronietoperze. Najmniejszy na świecie, świnionos malutki, pochodzi z Tajlandii i waży ok. 2 gramy – jest wielkości trzmiela.

Jakie gatunki żyją w Izraelu?

Głównie mięsożerne i tylko jeden żywiący się owocami: rudawiec nilowy. Łatwo go spotkać w każdym mieście. Ludzie sadzą mnóstwo tropikalnych drzew, które owocują przez cały rok, więc rudawce mają pod dostatkiem jedzenia. Są trochę jak plaga.



Zwykle o nietoperzach mówi się w kontekście zwalczania plagi – potrafią zjeść ogromne ilości owadów, które niszczą uprawy.

To prawda, ale rudawce mogą pożreć znaczną część liczi, mango i kumkwatu, to ich ulubione owoce. Byłyby idealne jako zwierzęta domowe – są czyste, pięknie pachną owocami, nie zajmują miejsca, bo zwisają z sufitu, lubią ludzi i można je trenować jak psy.

Dziś wiele organizacji zajmuje się ich ochroną, ale w latach 50. i 60. w Izraelu trwała kampania zabijania nietoperzy. Rząd wprowadzał do jaskiń trujący gaz.



prasa.pl 49ce64a2d3

Ginęły głównie owadożerne, w ogromnej skali – niemal je wykończyliśmy. Mam dane z jednej z jaskiń położonych w centrum kraju. W latach 40. żyły tam tysiące osobników należących do sześciu gatunków. W latach 90. – tylko kilka osobników jednego gatunku, bo dopiero w latach 80., gdy akademicy zorientowali się, co się dzieje, doprowadzili do zaprzestania wyniszczających działań.

Ponad 20 lat temu urzekły Pana konkretne gatunki: brodawkonos duży i mały, które mają nietypowo długie, jak u myszy, ogony. Dlaczego one?

Szukałem obszaru badawczego do pracy magisterskiej. Zdałem sobie sprawę, że choć spędziłem w terenie całe życie i znam rośliny, zwierzęta, owady, to o nietoperzach nie wiem nic. Zresztą w całym kraju niewiele o nich wiedziano, a to najbardziej zróżnicowana grupa ssaków w kraju. Dlatego się nimi zainteresowałem.

Dlaczego nic nie było o nich wiadomo?

Od zawsze żyły w jaskiniach, które zarówno w kulturze żydowskiej, jak i chrześcijańskiej kojarzono z miejscami diabelskimi, ludzie więc do nich nie zaglądali. Nawet kiedy pytam o nie Beduinów, którzy przecież mieszkają w terenie i znają każdą roślinę, o nietoperzach wiedzą niewiele.

A co z brodawkonosami?

Pewnego dnia w jaskini spotkałem brodawkonosy – i się w nich zakochałem. To chyba najłatwiejszy gatunek do współpracy, szczególnie te mniejsze. Są mniej społeczne – ich grupy liczą kilkadziesiąt osobników, podczas gdy brodawkonosy duże tworzą wielotysięczne kolonie – ale za to bardzo spokojne.

Kiedy złapie się osobnika jakiegoś europejskiego gatunku, często w efekcie zmienia on miejsce gniazdowania i nigdy nie wraca do tego, gdzie pierwotnie go spotkaliśmy. Brodawkonosy łapię od 20 lat w tych samych siedliskach. W jednym z nich spotykam cztery samice z jednej rodziny, wiszące blisko siebie – prawdopodobnie babcię, matkę, wnuczkę i prawnuczkę. Co roku gniazdują w tym samym kącie. Zawsze razem.

Razem wychowują młode?

Raczej nie, po prostu sobie towarzyszą. Nietoperze rodzą jedno młode, tylko raz zobaczyłem samicę nietoperza z dwoma młodymi, co znaczy, że jedno pewnie było czyjeś. Nie wiem, czy się nim zajmowała.

U brodawkonosów obowiązuje segregacja płciowa. Po godach wszystkie lecą 200 km na północ, na tereny śródziemnomorskie, gdzie wegetacja jest bardzo obfita. Samce wybierają wyżej położone, chłodniejsze jaskinie, a samice – niżej położone i cieplejsze. Pod tym względem zachowują się jak ludzie – sporo badań sugeruje, że kobiety preferują wyższe temperatury niż mężczyźni. Jeśli podwyższy się temperaturę w klasie, chłopcy będą się czuli gorzej i będą mieli gorsze wyniki w testach, a jeśli się ochłodzi – gorsze samopoczucie i funkcjonowanie zaobserwujemy u dziewcząt.

Dlaczego tak jest?

Według jednej z hipotez ma to związek z różnicami w męskiej i kobiecej fizjologii odczuwania bólu – za odczuwanie temperatury odpowiada ta sama ścieżka neurologiczna. Z ewolucyjnego punktu widzenia jednak prawdopodobnie samice wolą cieplejsze środowisko, bo zwykle to one noszą ze sobą dzieci i są odpowiedzialne za ich termoregulację. A łatwiej jest schłodzić dziecko niż je ogrzać.

Po co brodawkonosom ten ich długi, mysi ogon?

To narzędzie sensoryczne, które działa jak laska u osoby niewidzącej. Ze względu na długie ramiona, trudno im w jaskiniach czołgać się przodem, robią to więc do tyłu, a wcześniej badają teren ogonem. W pierwszym tygodniu kwietnia brodawkonosy spotykają się na gody, zawsze w tych samych jaskiniach. Obserwuję je wtedy na pustyni nieopodal Morza Martwego, gdzie bardzo trudno dotrzeć. Co roku spotyka się tam około 20 tys. osobników, przez dwa tygodnie mają niezłą imprezę.

Kiedy samce i samice brodawkonosów przylatują do swoich letnich jaskiń?

W pierwszym tygodniu czerwca. Tutaj samice rodzą i opiekują się młodymi. O zmierzchu ruszają na łowy, trwające zaledwie 20-40 minut. Żywią się wyjątkowym pokarmem – królowymi endemicznego gatunku mrówek *Camponotus sanctus*. Te wylatują ze swoich pierwotnych mrowisk w poszukiwaniu samców. W życiu wykonują tylko jeden lot godowy, a po zapłodnieniu lądują na ziemi, gdzie tracą skrzydła – co wydaje się symboliczne dla małżeństwa – i szukają miejsca na nową kolonię.

Robią to między 21 czerwca, gdy dzień jest najdłuższy, a wrześniem. Królowe mogą żyć do 30 lat, składają miliony jaj. Są ogromne, a ich ciała w 40 proc. stanowi tłuszcz o bardzo bogatym składzie. Dzięki temu żerujące na nich nietoperze są w stanie produkować dużo mleka, a także zgromadzić wielkie zapasy tłuszczu na zimową hibernację.

Przez resztę roku jedzą co innego?

Tak, choć przez znaczną część roku nie jedzą nic! Samice mają cztery sutki – dwa na dole, do których młode się przyczepiają, by nie spaść w czasie lotu, i dwa na górze, niejako pod skrzydłami, z których młode jedzą. Dzięki temu samice mogą latać z prędkością 70 km/h i wykonywać nagłe zwroty w locie, a młode nie spadną.

W sierpniu samice są już tłuściutkie, a młode odchowane, i we wrześniu wszyscy – również samce – przenoszą się do jaskiń położonych w miejscu ogrzewanym ciepłem geotermalnym, tak że przez całą zimę mają stałą temperaturę 20 st. Celsjusza, bardzo komfortową. Spędzają tam pięć miesięcy bez jedzenia i picia. Nietoperze hibernują na całym świecie, również w Polsce, ale zwykle w temperaturach poniżej zera, a ich hibernacja przypomina zamieranie. U nas nietoperze zimą ruszają się, latają i ciągle rozmawiają.

Czyli nie jedzą, nie piją, ale nie śpią?

Dokładnie! Mimo wysokiej temperatury tempo ich metabolizmu bardzo spada. By nie tracić wody, zamykają nozdrza i usta, biorą jeden oddech na 30 minut, co w efektywny sposób zmniejsza parowanie. NASA sporo inwestuje, by wprowadzić ludzi w stan hibernacji, jest to jednak bardzo trudne bez wychładzania ciała. Być w może w nietoperzach ↦

Rudawka malajska (Pteropus vampyrus), nazywany też latającym psem lub latającym lisem, to jeden z największych gatunków nietoperzy (rozpiętość skrzydeł sięga 1,5 m, a waga 1 kg). Zamieszkuje Azję Południowo-Wschodnią. Żywi się owocami, nektarem i pyłkiem kwiatowym.

CLAUDE BALCAEN / BIOSPHOTO / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl 48ee648283

↦ kryje się odpowiedź na pytanie, jak przeprowadzić ten proces inaczej.

Samce nietoperzy nie zajmują się młodymi?

U większości gatunków ani trochę, ale są wyjątki. To np. dwa gatunki dajakolotów (rodzaj *Dyacopterus*), u których samce produkują mleko. Co prawda na o wiele mniejszą skalę niż samice, ale jednak – naukowcy wciąż dyskutują o tym fenomenie. Są to w dodatku gatunki monogamiczne, co również bardzo rzadkie u nietoperzy.

Jak długo żyją te ssaki?

W zależności od gatunku nawet do 40 lat. Ja zacząłem zakładać brodawkonosom obrączki 20 lat temu i wciąż spotykam najstarsze znane mi osobniki. Ile dożyją? Zobaczymy.

Co się dzieje z brodawkonosami między kwietniem, gdy mają swoje gody, a czerwcem, gdy rodzą się młode?

Tego z początku nie wiedzieliśmy. Mój przyjaciel i współpracownik Aviam Atar zasugerował, byśmy zajrzeli do... bunkrów położonych niedaleko rzeki Jordan, będących pozostałością po wojnie z Jordanią. W 1994 r., gdy podpisano traktaty pokojowe, bunkry zostały opuszczone.

Znajdują się na Zachodnim Brzegu Jordanu, w granicznym paśmie ziemi niczyjej?

Tak, to były teren wojskowy otoczony płotem i wciąż zaminowany, do którego nikt się nie zapuszcza. Dla przyrody – idealnie. Nie przypominają one typowych bunkrów bliskowschodnich, czyli tuneli utworzonych w ziemi, tylko raczej konstrukcje budowane w Europie w czasie II wojny światowej. Korytarze prowadzą w głąb, do centralnego pomieszczenia, które ma stabilną temperaturę około 27-28 stopni, podczas gdy na zewnątrz może być prawie drugie tyle.

Sprawdziliśmy te bunkry i zobaczyliśmy, że nietoperze zwisają z kabli, rur, półek, często w bardzo niekomfortowych pozycjach, bo trudno im było się o coś zaczepić. Wzdłuż granicy między Izraelem a Jordanią znajdują się pola uprawne i plantacje, rosną tu najlepsze daktyle. Na tym terenie jest też ok. 30 bunkrów. Udało nam się po kilku latach starań przekonać armię, by przekazała je nam pod opiekę ze względu na nietoperze.

Jaki wpływ na badania mają działania wojenne, od kilku lat bardzo intensywne?

W październiku 2023 r. byliśmy najbliżsi stracenia bunkrów, armia chciała je odzyskać. Poszliśmy więc na wizję lokalną z żołnierzami i inżynierami i pokazaliśmy im, że większość z nich nie jest dla żołnierzy bezpieczna – odpadają kawałki sufitu, a bunkry są zlokalizowane na aktywnym sejsmicznie terenie. Ustawiliśmy więc przed nimi ostrzeżenia, że wejście grozi niebezpieczeństwem.

Grozi żołnierzom, a naukowcom już nie?

Armia nie chce niepotrzebnie ryzykować. Dzięki temu nawet podczas wojny nietoperze i całe ekosystemy, które się wokół nich wytworzyły, są bezpieczne. Przez te lata straciliśmy tylko dwa z naszych bunkrów – zostały przejęte przez osadników, ultraprawicowych ekstremistów religijnych z Izraela, którzy zniszczyli żyjące w nich kolonie. Osadnicy potraktowali bunkry tak jak tereny palestyńskie, które siłą nielegalnie zajmują przy aprobacie polityków u władzy.

Ile gatunków nietoperzy żyje w bunkrach?

Jedenaście, wszystkie poza jednym są w Izraelu zagrożone. Nocek orzęsiony, żywiący się muchami, był w Izraelu uważany za wymarły, ale my w bunkrach znaleźliśmy kolonie liczone w setkach osobników.

Chcąc odbudować nadwątloną populację nietoperzy, zaczęliśmy instalować w bunkrach struktury, do których mogłyby się wygodnie przyczepiać. Testowaliśmy różne rozwiązania, najbardziej sprawdziła się zwykła pianka poliuretanowa w spreju. Nakłada się ją szybko, naturalnie przypomina stalaktyty, do których nietoperze przyczepiają się w jaskiniach. Od razu zaczęły się przyczepiać do tych struktur. W ten sposób zmodyfikowaliśmy około 20 bunkrów.

Od czasu, gdy zaczęliśmy nasz projekt 15 lat temu, wokół bunkrów pojawiło się znacznie więcej węży, owadów i stawonogów, wytworzył się cały nowy ekosystem. Populacja samych brodawkonosów wzrosła z 2 tys. do ponad 8 tys. osobników.

To prawda, że nietoperze mieszkają w bunkrach po stronie izraelskiej, a żerują w Jordanii i Palestynie?

Żerują wszędzie, w Izraelu też, w końcu zwierzęta nie znają granic państwowych. Wiemy o tym, że żerują u sąsiadów, bo w ich ciałach znajdujemy ślady pestycydów, które w Izraelu są zakazane od lat 70.

Co ciekawe, w jednym bunkrze mogą mieszkać trzy gatunki nietoperzy, które nigdzie indziej na świecie nie mieszkają wspólnie pod jednym dachem: podkowiec duży, nocek orzęsiony i grzebieniec palmowy. To miks trzech kontynentów – Europy, Azji i Afryki – i trzech języków. Piękny symbol pokoju. Dla niektórych gatunków Izrael stanowi przyczółek najbardziej wysunięty na północ, dla innych – najbardziej południowy.

To międzykontynentalne połączenie – Afryki, Bliskiego Wschodu i Europy – jest tu bardzo odczuwalne. W ciągu 10-20 minut możesz przemieścić się między europejskim klimatem a całkowitą

POŻEGNANIE

Wojtkowi Brzezińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

eprasa.pl 48ee648283

pustynią. A ponieważ bunkry są położone na obszarze, na którym klimat zmienia się z bardziej umiarkowanego na północy do bardziej gorącego na południu, to na północy spotykamy w nich bardziej europejskie gatunki, na południu bardziej afrykańskie, a pośrodku – miks.

Kontynuował Pan badania w czasie wojny?

Gdy uniwersytet był zamknięty, wyruszałem w teren. Poza miastami było bezpiecznie. Przebywanie samemu na odludziu jest i piękne, i smutne, bo wiem, że przyroda wokół mnie jest w napięciu. Rok temu w czerwcu, gdy trwał konflikt izraelsko-irański, przeprowadziliśmy eksperyment z wężami i jaszczurkami. Mierzyliśmy tempo ich metabolizmu przez długi czas, również w czasie ataków rakietowych. Okazało się, że drastycznie ono wzrastało, co jest oznaką stresu, a efekt ten utrzymywał się nawet przez sześć godzin. Węże nie mają uszu, jednak czują wibrację eksplozji.

Jeden z bunkrów nietoperzy pojawił się kilka lat temu na architektonicznym Biennale w Wenecji. W jakim kontekście?

W 1948 r., kiedy powstało państwo Izrael, zabrano się za wielkie projekty – osuszanie bagien, sadzenie drzew na pustyni, ale też wycinanie lasów. Utraciliśmy wiele środowisk naturalnych, wiele rdzennych gatunków, jak chociażby naszą rodzimą pszczołę miodną, którą musieliśmy zastąpić indukowanymi gatunkami z Europy, nie tak dobrze dostosowanymi do tego klimatu. Na Biennale proces wybijania nietoperzy zestawiono z tym, co robimy teraz – ich ochroną. Używamy dziś stworzonej przez człowieka struktury, by przywrócić dzikie życie, a nie niszczyć. I to struktury, którą zaprojektowano na wojnę, podczas gdy teraz jest miejscem pokoju.

Na nagraniu prezentowanym na Biennale widzowie schodzą do wnętrza bunkra i widzą zwisające wszędzie nietoperze, a dzięki przetłumaczeniu częstotliwości na takie słyszalne dla człowieka, słyszą też wszystkie niesamowite dźwięki, jakie te stworzenia wydają. Jest głośno jak na targu!



CLAUDE BALCAEN / BIOSPHOTO / AFP / EAST NEWS

ERAN LEVIN jest profesorem biologii specjalizującym się w badaniu fizjologii, ekologii i żywienia różnych gatunków, szczególnie ssaków i owadów. Pracuje na Uniwersytecie w Tel Awiwie.

Choć nie zawsze bywa u nich tak gwarno, skoro potrafią spać nawet 23 godziny dziennie.

Jeśli są w stanie w kilkanaście minut zjeść setki tłustych mrówek, to nie ma sensu, by dłużej żerowały. Jeśli nawet ja potrafię usłyszeć uderzenia skrzydeł królowej mrówek, to co dopiero one! Może nawet słyszą je z kilkuset metrów. Brodawkonosy mogą za jednym razem zjeść pokarm równy wadze swojej masy ciała – my nie dalibyśmy rady nawet 10 proc. naszej. Z pewnością z tego powodu osiągnęły taki sukces ewolucyjny.

W pandemii covid-19 nietoperze nabrały złej sławy. Czy to prawda, że przenoszą dużo niebezpiecznych dla nas patogenów?

Są nosicielami kilkudziesięciu wirusów, które mogą być przeniesione na człowieka, wiele z nich jest naprawdę poważnych – jak Ebola czy SARS. Jednak nie znaczy to, że wszystkie nietoperze i wszędzie są nosicielami. Nasze bunkrowe kolonie nigdy nie miały koronawirusa, na Bliskim Wschodzie nietoperze nie przenoszą też wścieklizny – co w Europie zdarza się często. Przez 20 lat zostaliśmy ugryzieni setki razy i nigdy nic nam się nie stało. Fakt, że nietoperze są nosicielami groźnych wirusów, powinien nas dodatkowo zachęcać do prowadzenia badań. Żebyśmy zrozumieli, w jaki sposób noszą w sobie wirusy, ale potrafią się przed nimi chronić.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 48ee648283

KULTURA

BEZ HAPPY ENDU

MAREK WĘCOWSKI, HISTORYK STAROŻYTNOŚCI:
Odyseusz długo był patronem tych, którzy płyną na Zachód, by odnieść sukces. Odys Homera wraca z wyprawy sterany i wypalony. To nie jest opowieść ku pokrzepieniu.



Matt Damon w filmie „Odyseja", reż. Christopher Nolan, dystr. UIP

MAREK RABIJ: Christopher Nolan kręci „Odyseję", Pan wydaje książkę o Homerze. Dlaczego właśnie teraz tak chętnie wracamy do tekstów sprzed blisko trzech tysięcy lat?

MAREK WĘCOWSKI: Dodam, że to nie tylko moja książka i film Nolana. Gdy zaczynałem ją pisać, jeszcze nie wiedziałem, że powstaje ta ekranizacja. Mniej więcej w tym samym czasie pojawiły się inne produkcje filmowe i serialowe, odwołujące się do starożytności. Mam wrażenie, że klasyka w ogóle, a klasyka starożytna szczególnie, przeżywa dziś renesans.

Zarazem, co bardzo ciekawe, dzieje się to równolegle z osłabieniem znaczenia klasyki w świecie akademickim. Przez Wielką Brytanię przechodzi fala zamykania wydziałów filologii klasycznej i archeologii na uniwersytetach publicznych. W Stanach Zjednoczonych również bardzo wyraźnie zmniejsza się liczba studentów zainteresowanych takimi kierunkami.

Do tego dochodzą decyzje, które jeszcze niedawno byłyby w środowisku klasyków nie do pomyślenia: na przykład przyjmowanie na wydziały klasyczne studentów, którzy nie będą musieli porządnie opanować greki i łaciny, więc będą obcować z kulturą grecko-rzymską w inny sposób niż przez oryginalne języki.

Ów renesans w popkulturze zaczął się zresztą dużo wcześniej. Pierwszym dużym zjawiskiem był „Gladiator" Ridleya Scotta, po którym zaczęły powstawać kolejne filmy i seriale osadzone w świecie starożytnym. Wielkie historyzujące produkcje wróciły do kina już kilkanaście lat temu i nadal mają się dobrze.

Czyli nie przypisywałby Pan tego homeryckiego renesansu do konkretnego ducha epoki?

Najłatwiej byłoby powiedzieć – i pewnie byłaby w tym jakaś część prawdy – że czasy zamętu skłaniają nas do powrotu do klasyki, do poszukiwania spraw i idei w pewnym sensie niezmiennych. Myślę jednak, że w kulturze działa też fluktuacja, powtarzalność zjawisk. Być może jesteśmy właśnie w takim sinusoidalnym momencie powrotu antyku, który z naszego mainstreamu wypchnęliśmy skutecznie, jak się nam zdawało, na dno szuflad badaczy.

W przypadku starożytności grecko-rzymskiej widać to było już wcześniej choćby po ogromnej popularności książek Mary Beard, z wykształcenia historyczki Rzymu i religii rzymskiej. Jej sukces zaczął się kilkanaście lat temu. To zjawisko dojrzewało w kulturze anglosaskiej, a ponieważ ma ona na nas ogromny wpływ, w końcu trafiło i nas.

Zmienił się też polski rynek książki. Okrzepł, ustabilizował się, mimo wszystkich słusznych narzekań na jego problemy. Od kilku lat widzę, że wydawnictwa, które dawniej nie były szczególnie znane z jakościowych publikacji popularnonaukowych, zaczynają wydawać bardzo dobre książki o starożytności, często z porządną konsultacją naukową. To też jest decyzja i inwestycja. Jeszcze dziesięć czy piętnaście lat temu wydawało się to odległe od naszych realiów. Krzepnięcie

eprasa.pl 48ee648283



MATERIAŁY PRASOWE

Polski ekonomicznej i kulturalnej daje więc efekt skumulowany z innymi zjawiskami. Potrzeby kulturalne, które wcześniej może też istniały, mogą dziś znaleźć ofertę.

Zgoda. Tylko dlaczego akurat Homer? Klasyczna starożytność oferuje przecież paletę postaci i tekstów kultury, które na pierwszy rzut oka zdają się lepiej pasować do gustu i wrażliwości współczesnych odbiorców.

We współczesnym Hollywood nic się nie dzieje bez algorytmów. Ale akurat Nolan jest być może jednym z niewielu amerykańskich reżyserów, którzy mają prawo zrobić coś egzotycznego. Jego droga artystyczna prowadziła dotąd przez eksperymenty, które się udawały, a dzięki temu zapewniały mu też finansowanie kolejnych dziwnych projektów. Jest w takim momencie kariery, że może dyktować warunki studiom i organizmom finansującym jego produkcje.

Jestem przekonany, że decyzja, by zająć się „Odyseją", nie wynika wyłącznie z tego, że ktoś niedawno zajmował się wojną trojańską. Kilkanaście lat temu ukazała się przecież monumentalna „Troja" z Bradem Pittem, która skądinąd z „Iliadą" wiele wspólnego nie miała. Ten pomysł trudno byłoby po prostu powtórzyć. „Odyseja" została natomiast jako obszar mniej wyeksploatowany, choć i tu powstawały już także seriale na niej bazujące, a ostatnio także dobry film „Powrót" Uberto Pasoliniego.

Jeżeli szukać głębiej, to wydaje mi się, że Nolan i my, jego widzowie, możemy odbierać „Odyseję" na dwóch bardzo różnych poziomach. Pierwszy ma wymiar indywidualny. Doświadczenie młodzieńczego Achillesa albo starzejącego się Odysa, ich przemiany w trakcie akcji utworów, bardzo silnie rezonują z doświadczeniem dzisiejszego czytelnika na różnych etapach życia, kariery. Tak było w kulturze europejskiej zawsze. Ten indywidualny wymiar „Iliady" i „Odysei" kieruje nami szczególnie wtedy, gdy czytamy je już świadomie, a nie jako szkolną lekturę.

Drugi wymiar, zbiorowy, jest może nawet ważniejszy dla kultury. Czytamy, słuchamy i oglądamy „Iliadę" oraz „Odyseję" jako opowieści o jakimś czasie i wspólnocie, z którą Homer mógłby poczuć związek. Nie wiem jeszcze, jakiego czasu i jakiej wspólnoty ma dotyczyć film Nolana, jestem tego bardzo ciekaw. Z trailerów i przecieków domyślam się, co film może pokazać na poziomie indywidualnym: Odysa rozgoryczonego, zagubionego. Ale co to będzie znaczyło w wymiarze szerszym, wspólnotowym, historycznym?

„Iliadę" i „Odyseję" można czytać jako opowieść o sporze między jednostką a władzą. W kontekście sytuacji dzisiejszych Stanów Zjednoczonych brzmi to ciekawie.

Może jeszcze bardziej – jako studium konfliktu jednostki ze wspólnotą. Konfrontacja jednostki, czyli Achillesa, z władzą Agamemnona wydaje się wyraźniejsza w „Iliadzie", ale zobaczymy, co zrobi Nolan. ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ **Chciałbym, żebyśmy w tym momencie zobaczyli coś innego. Spróbujmy zakreślić mapę świata znanego Homerowi i jego bohaterom.**

Dobrze, ale dodajmy do mapy geograficznej także historyczną. Bo główny problem tych, którzy dziś dyskutują o filmie Nolana, choć jeszcze go nie widzieli, polega na tym, że mówią: „nie powinno być tak a tak", na przykład: „nie takie były wtedy tarcze wojowników". Moim zdaniem to nieporozumienie. Współczesny artysta może zrobić z realiami materialnymi i niematerialnymi świata Homera, co tylko zechce.

Bo?

Bo Homer nie pokazywał świata historycznego, a tym bardziej nie ilustrował swojej epoki. Opisywał świat znany mu z przekazów, o którym wiedział jedno: to świat dawnych, wielkich herosów. Miał o nim pewne wyobrażenia. Wiedział, że był to świat rydwanów, o wiele bogatszy od tego, w którym żył, świat rządzony w inny sposób, zdominowany przez potężne jednostki, królewskich władców.

W ramach tej narracji mieszał jednak ze sobą rozmaite elementy, by oddać własne wyobrażenie o epickiej epoce, którą my obecnie zwiemy mykeńską – choć poeta oczywiście nie znał tego pojęcia. W jakie tarcze i hełmy wyposażył przy tym swoich bohaterów, z czego wykuwał ich codzienność, to wszystko było już sferą jego *licentia poetica*, jakby powiedzieli Rzymianie.

Podobnie i my, jeżeli nie chcemy portretować świata, w którym Homer-poeta żył historycznie – a nie chcemy, bo nie o tym są „Iliada" i „Odyseja" – to musimy zaakceptować fakt, że mamy do czynienia z mieszaniną spraw i rzeczy, z wytworem poetyckiej wyobraźni. A jeśli filmowiec przetworzy ten twór raz jeszcze, już po swojemu, to czemu nie? Homer zapewne nie miałby nic przeciwko temu.

Myślę, że te zarzuty anachroniczności wielkich ekranizacji klasycznych dzieł kultury antycznej biorą się po prostu ze szkolnych nawyków. W szkole uczą, że „Iliada" i „Odyseja" to źródła historyczne. Na studiach historycznych każą się uczyć niemal na pamięć tzw. Katalogu Okrętów z księgi drugiej „Iliady". To jak sianie wiatru, który potem wraca jako burza.

Tylko że to nadal jest poziom dyskusji hobbystycznej, którą skądinąd bardzo szanuję, zwłaszcza w sprawach militarnych. W przypadku Homera ta postawa jest bezużyteczna, bo on nam zostawił nie fotografię, lecz kolaż stworzony ze wszystkiego, co miał pod ręką.

Ale wróćmy do mapy, którą pan tu zaproponował. Jeśli przejdziemy do wymiaru geograficznego, sprawy robią się jeszcze ciekawsze. Widzimy u Homera wysiłek, który można nazwać archaizacją. Poeta chce pokazać, że świat, który opisuje, jest zamierzchły, inny od jego własnego. W momencie, kiedy świat grecki jest podzielony na wiele setek małych *poleis*, małych organizmów politycznych, Homer pokazuje gigantyczną wspólną wyprawę Hellenów. Pierwszym historycznym zjawiskiem podobnym do ekspedycji trojańskiej będą dopiero wojny perskie w 480 r. p.n.e., gdy Grecy stworzą koalicję przeciw Persom. Wcześniej niczego podobnego w Grecji nie było. Homer, można rzec żartobliwie, to przewidział.

Geograficznie ten świat jest więc inny niż doświadczenie publiczności poety i jego samego. Jeśli datujemy „Iliadę" i „Odyseję" gdzieś na drugą połowę VII w. przed naszą erą, to wiemy, że Grecy od paru stuleci zasiedlają już wyspy i wybrzeża Azji Mniejszej. Są obecni na archipelagach Morza Egejskiego, zaczynają penetrować południową Trację i cieśniny tureckie. Ich znajomość tych regionów jest bardzo dobra. Ślady tej znajomości znajdujemy nawet w porównaniach i obrazach poetyckich Homera.

A tymczasem w „Iliadzie" ten świat wygląda inaczej. Grecy właściwie nie mieszkają nigdzie dalej na wschód niż Rodos. Ta wyspa też jest zresztą wyjątkiem, miejscem, gdzie mieszka syn Heraklesa, który uciekł bardzo daleko od domu ojca. Wygląda więc tak, jakby Homer tworzył z premedytacją rzeczywistość wyobrażoną, w której Greków na wschód od Delos, mniej więcej w środku Morza Egejskiego, po prostu nie ma. Są inne ludy, które późniejsi Grecy nazwą barbarzyńcami.

Jeszcze bardziej radykalny jest pomysł „Odysei". Kiedy powstaje ten poemat, Grecy od dwóch, może trzech pokoleń osiedlają się w południowej Italii, a od przynajmniej jednego pokolenia – dość masowo na Sycylii. Późniejsze pokolenia będą z zapałem szukać miejsc, w których można umieścić cyklopów, Kirke, Lajstrygonów i inne ludy znane z „Odysei". Ale Homer robi coś radykalnego: wszystko na zachód od Itaki zamienia w świat baśni.

W rzeczywistości Itaka w jego czasach jest właściwie przystankiem tramwajowym na bardzo już uczęszczanym szlaku do greckich osad na Zachodzie, głównie na Sycylii. A Homer bierze cały ten świat w nawias i czyni go całkowicie fikcyjnym. To radykalny zamysł artystyczny. Już w jego czasach istniały utwory, które lokowały różne miejsca mityczne w konkretnych punktach geografii Zachodu. Wyprawa Heraklesa po woły Geriona była znana Hezjodowi, współczesnemu twórcy „Odysei", i sytuowana na konkretnej wyspie gdzieś na Atlantyku, wedle naszych kryteriów geograficznych zapewne na Maderze. Homer tymczasem wszystko to wyrzuca i buduje świat w pełni baśniowy.

Kolejne pokolenia Greków będą próbowały ten świat „odbaśniowić", urealnić

POŻEGNANIE

Władysława Bębenek

1940-2026

Niezwykle ciepła, pełna troski o innych, zawsze ciekawa świata.
Wychowawczyni wielu pokoleń krakowskich położnych.

Będziemy tęsknić.

Rodzina

eprasa.pl 48ee648283

geograficznie. Wyspy Liparyjskie staną się siedzibą Eola. Przewodniki po Włoszech, a nawet północnej Afryce, do dziś próbują złapać Homera za rękę i powiedzieć: to było tutaj.

To działo się już w starożytności, choćby u Pauzaniasza.

Oczywiście, choć prędzej przywołałbym tutaj Strabona, który nieustannie szuka homeryckich śladów w swojej „Geografii", lokalizuje, jak byśmy dziś powiedzieli, jego świat i podróże Odysa. To pokazuje, jak wyjątkowa, nowoczesna jest poezja Homera. To dzieła, które próbują oderwać się od świata, w którym powstają – zarówno historycznie, jak i geograficznie. Ale nie przez proste zwrócenie się ku przeszłości, opowiadanie ku pokrzepieniu serc o dawnych triumfach oręża. Przeciwnie: przez świadome budowanie fikcji.

Ale wciąż w oparciu o realia historyczne.

Jeżeli ta fikcja ma jakieś historyczne antecedencje – na przykład wojna trojańska zapewne wydawała się Homerowi wydarzeniem historycznym – to przecież można było stworzyć utwór ku pokrzepieniu serc: opowieść o tym, jak Grecy wspólnymi siłami pokonali potężnego przeciwnika. Tymczasem „Iliada" pokazuje wojnę trojańską jako serię nieszczęść Achajów, właściwie ich klęsk. Dopiero śmierć Hektora z rąk gniewnego Achillesa pozwala nam przewidzieć, że Troja upadnie. A i tak poeta bardzo wiele energii poświęca na zapowiedzenie nie tyle upadku Troi, ile śmierci Achillesa – który zresztą w akcji poematu jeszcze nie ginie.

Podobnie w „Odysei". Dostajemy świat całkowicie fikcyjny, który mógłby być światem kolonialnym albo przedkolonialnym. Tak często interpretowano podróż Odysa. Na pewno jeszcze przed Homerem był on patronem ludzi, którzy płyną na Zachód, by odnieść sukces, założyć miasta, osiedlić się. A co robi Homer? Jego Odys wraca do domu. Wypalony, sterany wyprawą, która nie przynosi mu chwały. Na ostatnim etapie dostaje wprawdzie wiele darów od Feaków, więc nie wraca z pustymi rękami, ale nie jest bohaterem opowieści o Eldorado ani sukcesach w walkach z tubylcami. Homer przekręca możliwe i zapewne już wtedy używane role swoich bohaterów, by pokazać coś innego.



SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAREK WĘCOWSKI jest historykiem starożytności. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalizuje się w badaniach dziejów Grecji. Właśnie ukazała się jego najnowsza książka „Homer na nasze czasy" (Znak Literanova).

To nie są opowieści ku pokrzepieniu. Nie są optymistyczne. Nie przynoszą jasnego moralnego przesłania. To cecha wielkiej literatury wszystkich czasów, ale może szczególnie wielkiej literatury czasów, które stają się skomplikowane i dramatyczne, w których świat gwałtownie się zmienia.

Wyobraźmy sobie poetę połowy VII w., żyjącego w świecie, który jeszcze niedawno był ograniczony właściwie do Morza Egejskiego, choć już po obu jego stronach. Nagle Sycylia, południowa Italia, wybrzeże Kampanii stają się także elementami greckiej *oikoumene*, świata zamieszkałego przez Hellenów. Przybywają stamtąd nowe rzeczy, myśli, zapachy, przedmioty. Podobnie jak ze Wschodu. To świat w nieustannej zmianie, w eksplozji geograficznej i kulturowej.

Grecy będą mieć niejeden taki moment dziejowy.

Ale na podobną skalę zdarzy się w dziejach Grecji jeszcze raz – w czasie wyprawy Aleksandra Wielkiego i po niej, kiedy świat Greków jeszcze raz geograficznie eksploduje, sięgając aż po Sudan, Afganistan i Indie. Intelektualne, duchowe i religijne rezultaty tej eksplozji widzimy już dzięki źródłom historycznym, w tym literackim. W epoce Homera widać je słabiej, bo źródeł właściwie poza nim samym nie mamy. Możemy się jednak domyślać, jak wiele się wtedy działo w głowach ludzi. I z tego wynikają poematy niejednoznaczne, prowokacyjne, trudne, stawiające wyzwania, a nie dające odpowiedzi.

Jeśli Nolan potrafi zrobić coś podobnego na swoim filmowym poletku, okaże się nie tylko dziedzicem artystycznym Homera, lecz może także nawiąże kontakt z czasami, które wydają mi się do homerowych dość podobne: naszymi czasami.

Pierwszy wers „Iliady" mówi o gniewie Achillesa, „co krocie klęsk na Achajów sprowadził". Od razu wiemy, że to nie będzie ani opowieść o dobrym człowieku, ani success story. Podobnie „Odyseja". Homer dodaje jej coś na kształt happy endu, ale na siłę. Czy to opowieści przestrzegające przed przekraczaniem granic?

I tak, i nie. Oczywiście każde wielkie dzieło literackie można tak charakteryzować. Dzieła pokazujące *success story*, z happy endem albo prowadzące narrację tam, gdzie życzylibyśmy zobaczyć ją na koniec, rzadko wchodzą do wielkiego kanonu. Mogą mieć znakomite realizacje, ale to raczej literatura klasy B.

Ale trzeba oddać Homerowi sprawiedliwość, bo robi coś wyjątkowego nawet na tym tle. To nie tylko seria prowokacji i nie tylko opowieści o bohaterach, którzy ponoszą klęskę – albo może jej nie ponoszą. Na końcu obu poematów nie wiemy przecież wszystkiego. Achilles pokonał Hektora, ale nie wiemy, czy pogodził się z samym sobą, ani czy będzie naprawdę konsekwentnie działał na korzyść wspólnoty achajskiej. Nie wiemy, jak szybko zginie i przestanie być dla Achajów problemem. Nie wiemy też, jak – poza interwencją bogów – skończy się historia na Itace. To dzieła, które prowokują, których dalszy ciąg musimy dopowiedzieć sami.

Na tym polega ich radykalizm. Całkowicie zarchaizowany świat „Iliady" i całkowicie odrealniony, baśniowy świat „Odysei" oddaje w pewnym stopniu realia epoki poety. To poziom polityczny. Spór albo konflikt, który wszyscy wielcy myśliciele zajmujący się polityką Grecji – potem nie tylko Grecji – widzieli bardzo wyraźnie. Platon i Arystoteles rozumieli, ↦

eprasa.pl 48ee648283

↦ że chodzi o wielki problem roli wybitnej jednostki. Nie tyle w historii, jak powiedzieliby filozofowie XIX i XX w., ile we własnej wspólnocie.

Żeby zwyciężyć pod Trają, Achajowie muszą mieć Achillesa. Muszą też mieć Odysa, który zbuduje konia trojańskiego. Żeby Itaka wróciła do stabilności, musi mieć króla, musi mieć Odysa. Ale z obu poematów dowiadujemy się zarazem, jakie niebezpieczeństwa i nieszczęścia wybitna, niezbędna jednostka przynosi wspólnocie. Gniew Achillesa, zapowiedziany na początku „Iliady", jest przecież gniewem na Achajów, na własnych ludzi. Dopiero później, mniej więcej od osiemnastej pieśni, zaczyna się kierować przeciw Trojanom, przede wszystkim przeciw Hektorowi.

Ale to nadal gniew indywidualny. Zmianę postawy wymusza osobista strata.

Oczywiście. Poeta „Odysei" jest może bardziej prostolinijny. Przedstawia Odysa jako potencjalnego zbawcę Itaki, za którym tęsknią wszyscy tęskniący za porządkiem, „wszyscy dobrzy" – mówiąc trochę z łaciny. Ale równocześnie mówi nam, że Odys wygubił wszystkich swoich towarzyszy. I już na początku poematu dodaje: chociaż starał się ich ocalić. A potem wymordował młodszych braci swoich wojowników, czyli zalotników Penelopy. Miał do tego prawo, to prawda. Ale chciał też zgładzić ich rodziny. To wszystko pokazuje napięcie pomiędzy jednostką a wspólnotą.

To właśnie jest wielki problem greckiej *polis* – wyjątkowej w dziejach ludzkości koncepcji, która zakłada, że wspólnota rządzi się sama. Bez króla, bez władcy, bez boga nad sobą. W takiej wspólnocie potrzebujemy ludzi wybitnych, ale musimy ich wybierać, a potem oni muszą zdać sprawę z tego, co zrobili. Oczywiście to idealny model, bo zawsze zdarzają się wynaturzenia i tyranie. Ale generalnie jednostka ma w Grecji z jednej strony pozycję o wiele słabszą niż kiedykolwiek wcześniej w dziejach, bo nie jest dziedzicznym władcą. Z drugiej – jest potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, bo skoro nie ma danych przez bogów czy Boga królów, trzeba skądś wziąć wodza, który będzie przewodził.

Grecy zdają sobie sprawę, że podstawowym problemem polityki jest jednostka utalentowana i pełna ambicji, zestawiona ze wspólnotą, jej interesami, wartościami i z faktem, że wszyscy jesteśmy równi. Czy Achajowie mogą czuć się równi Achillesowi albo Odysowi? U Homera mogą i tak się czują. Doskonale pokazuje to w „Iliadzie" scena z Tersytesem – najbardziej tchórzliwym i paskudnym z ludzi, którzy ruszyli pod Troję. Nie ma on żadnego problemu, by pyskować królom, w tym Achillesowi, i najwyraźniej ma do tego prawo na zgromadzeniu ludowym wspólnoty Achajów.

„Iliada" i „Odyseja" są poematami, które rozważają problem reintegracji, tego, co dzieje się z bohaterem wojennym.
Tego, co może się dziać z tułaczem. Czy w ogóle da się wrócić?

To świat, w którym Homer, a potem Platon choćby w „Gorgiaszu", zawiera podstawowy problem miejsca jednostki w świecie, który nie jest rządzony przez jednostkę. Cała akcja „Iliady" i „Odysei", wszystkie ich problemy moralne wyrastają z tego politycznego problemu.

Dlatego Homer wraca dziś w kulturze Zachodu? Bo znów mamy problem z jednostką, którą rozmaite wspólnoty usiłują zamknąć w kajdanach różnych reguł?

Wracamy do czasów, w których normalne ramy demokratycznej, liberalnej polityki – kształtowane od I wojny światowej, przez konwulsję II wojny, potem rozszerzone także na nasz region – zaczynają pękać. Przez długi czas wydawało się, że potrafimy ustawić problem jednostki wobec wspólnoty, radząc sobie z niebezpieczeństwem populizmu, widząc jego katastrofalne skutki w wielkich autorytarnych reżimach XX w.

Nagle jednak wraca klasyczny problem ludzi, którzy nie uznają reguł gry. Biorą z tych reguł to, co im służy – na przykład większościowe wybory dające władzę – a potem mówią: rządzimy w imieniu tych, którzy zasługują na bycie pełnoprawnymi członkami wspólnoty, a pozostałych członków tej wspólnoty uczynimy sobie poddanymi. Myśląc o tym, prędzej czy później powrócimy do wszystkich ważnych greckich rozważań o jednostce i wspólnocie: do zagadnienia tyranii i niekompetencji władzy, które jest istotą akcji „Iliady", a także do zagadnienia nadmiernej pychy, żądzy władzy – w dużej mierze problemu „Odysei".

Homer jest więc doskonały na dzisiejsze czasy. Tak jak był doskonały dla innych epok, kiedy inne aspekty jego poematów wydawały się szczególnie ważne. W czasie II wojny światowej czytelnicy Homera, tacy jak Simone Weil, skupiali się na cierpieniu wojny, urzeczowieniu mordowanego jeńca. Teraz wracamy do innego aspektu – politycznego.

Nie wydaje się Panu, że „Iliadę" i „Odyseję" trzeba jednak czytać razem? Jako ostrzeżenie przed tym, że łatwo pójść na wojnę, można nawet ją wygrać, ale potem bardzo trudno z niej wrócić i pozostać sobą.

Na pewno. „Iliada" i „Odyseja" są poematami, które rozważają problem reintegracji, tego, co dzieje się z bohaterem wojennym. Tego, co może się dziać z tułaczem. Czy w ogóle da się wrócić?

Piszę o tym w książce: psychiatrzy kliniczni pracujący z weteranami wykorzystywali poematy homerowe jako teksty współgrające z doświadczeniem wojny i trudnego powrotu do domu. Po wojnie w Wietnamie w Ameryce promowano programy z udziałem „Iliady" i „Odysei". Książki bostońskiego psychiatry Jonathana Shaya, „Achilles in Vietnam" i „Odysseus in America", zostały niedawno przetłumaczone na ukraiński i służą już tam do pracy z weteranami.

Homer nie jest tu oryginalny. Do pewnego stopnia podobne motywy można znaleźć w literaturze różnych kultur – od „Gilgamesza", przez „Beowulfa". Ale w przypadku Homera, zwłaszcza „Odysei", ważne jest strukturalne podobieństwo jego świata społecznego do naszego, nowoczesnego. Nie żyjemy w świecie wielkich królów, smoków i innych istot, tylko w świecie, w którym jednostka nadal ma pewien wpływ na rzeczywistość, ale to wspólnota jest źródłem władzy. Dlatego łatwiej nam nawiązać kontakt z tymi poematami.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

eprasa.pl 48ee648283

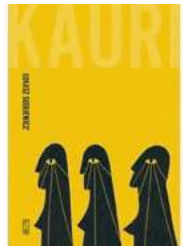
▪ *Maciek Bielawski,*
BEZ GŁOWY,
Książkowe Klimaty



Nie minęły dwa lata od wydania obszernej powieści zatytułowanej „Ostatni", a już jej autor melduje się z kolejną. Tym razem krótką, zupełnie inaczej pomyślaną, właściwie na tle dotychczasowej twórczości Maćka Bielawskiego będącą swoistym ekscesem. Bo przyzwyczaił nas on do tego, że chętnie operuje konwencją realistyczną, pisze „blisko życia", niemal reportersko. Że jest zwięzły, precyzyjny, lojalny wobec tego, co powszednie i nieefektowne. Jeżeli pozwalał sobie na groteskowe „odjazdy", to raczej w opowiadaniach. Tymczasem najnowsza powieść zaczyna się od... wystąpienia. Podczas wernisażu wystawy, na której prezentowane są zdjęcia mało znanego, tragicznie zmarłego artysty, krytyk sztuki wygłasza wprowadzające przemówienie. A właściwie nie wygłasza, tylko odczytuje... wstęp, który napisał do katalogu („Przypisy pozwolę sobie pominąć", dodaje wspaniałomyślnie). Pomysł Bielawskiego wydaje się prostą drogą prowadzić do literackiej katastrofy. A jednak pisarzowi udaje się nas zaciekawić. Wstęp napisany jest dość pretensjonalnie, ale nie jest typowym tekstem branżowym: to raczej opowieść o życiu prywatnym fotografika, po którym pozostały dwadzieścia dwie intrygujące prace prezentowane na wystawie. Są to portrety różnych osób, być może przypadkowych przechodniów – ale portrety bez głów. Nie wiadomo, dlaczego autor tak właśnie ustawił kadr. Może tajemnica kryje się w jego biografii? Jako czytelnicy naiwni spodziewamy się wyjaśnienia tej zagadki. Jako czytelnicy mniej naiwni wiemy, że sytuacja wyjściowa niczego nie przesądza. Cztery kolejne rozdziały powieści potwierdzają to drugie przeczucie. Okazuje się, że autorstwo cyklu portretów wcale nie jest pewne. Być może zdjęcia powstały przypadkiem, a nie w wyniku artystycznego zamysłu. Niejasna jest też rola, jaką w całej historii odegrał wspomniany krytyk. I kim on naprawdę jest?
Czy na pewno tym, za kogo się podaje?
Bielawski funduje nam dobrą zabawę.
I skłania do zadawania tych samych pytań, do stawiania których prowokuje nas współczesna sztuka. W tym najważniejszego: czego my właściwie od niej oczekujemy?

© WOJCIECH BONOWICZ

▪ *Łukasz Suskiewicz,*
KAURI, *Państwowy Instytut Wydawniczy*



Fabulacja krytyczna to – w dużym uproszczeniu – metoda łącząca badania archiwalne z fikcją narracyjną. Spopularyzowana przez amerykańską naukowczynię Saidiyę Hartman, pozwala historykom i pisarzom „wypełniać luki" w materiałach źródłowych dotyczących grup marginalizowanych. Hartman w swojej twórczości (jak zresztą wielu dzisiejszych autorów, szczególnie w Stanach) stara się zrekonstruować historie bezimiennych postaci z dokumentów (takich jak spisy niewolników czy akta policyjne), używając spekulacji i literackiej wyobraźni w miejscach, gdzie urywa się ślad historyczny. Krytyczną fabulacją posłużył się m.in. Percival Everett, przepisując „Przygody Hucka Finna" Marka Twaina z perspektywy czarnoskórego niewolnika (powieść nagrodzono National Book Award oraz Pulitzerem).
Metody Hartman wykorzystał też Łukasz Suskiewicz, pisząc powieść inspirowaną wydarzeniami z 1761 r. Statek należący do francuskiej Kompanii Indii Wschodnich, przewożący herbatę, przyprawy i bawełnę, rozbił się tamtego roku na Oceanie Indyjskim. Prędko okazało się, że jednostka przemycała z Madagaskaru 160 niewolników. Ocalali wylądowali wspólnie na wysepce o powierzchni 0,8 km² (dzisiaj Tromelin). Załoga po dwóch miesiącach odpłynęła zbudowaną pospiesznie łodzią, pozostawiając Malgaszów na bezludnym atolu. Obiecana im pomoc nadeszła dopiero po 15 latach (ten czas przeżyło, żywiąc się roślinami, mięsem żółwi i ptaków, jedynie siedem kobiet – jedna z nich w momencie odnalezienia miała malutkie dziecko, co także rozpracowuje literacko Suskiewicz). Musée de l'Homme w Paryżu zorganizowało kilka lat temu wystawę, która próbowała opowiedzieć ich losy. Być może właśnie wtedy autor poznał tę historię. Wiem, że czytał listy jednego z członków załogi, reszta zaś jest fikcją (czy też fabulacją), a ostatecznie: świetnie napisaną opowieścią o wykorzenieniu. Znajdziemy tu nawiązania do prozy Josepha Conrada (szczególnie „Jądra ciemności"), ale rytm opowieści (piękne aliteracje) pozwala domyślać się w autorze czytelnika klasycznej poezji (motto skądinąd jest z Miłosza).

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

92. dodatek specjalny

ks. Adam Boniecki

a w nim: wywiad Anny Goc z Jubilatem, urodzinowe życzenia od redakcji i czytelników oraz wybór tekstów Redaktora Seniora.

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

eprasa.pl 48ee648283



STEPHAN GLADIEU / OPALE / EAST NEWS

Isabelle Pandazopoulos



Isabelle Pandazopoulos, **WSKAŻCIE NAM KSIĘŻYC**, *tłum. Patrycja Masłowska, Nobell*

Emily, nie Emilka

BISERKA ČEJOVIĆ

KSIĄŻKI | Współczesne książki dla młodzieży mówią o przemocy, traumie i wykluczeniu. Ale klasyka także nie była niewinna.

Coraz częściej trafiam na książki dziecięce i młodzieżowe, które opowiadają o problemach wielkiego kalibru: depresji, przemocy, prześladowaniu, a nawet terroryzmie. Czasem mimowolnie staram się przed tym bronić: jest przecież tyle możliwości oderwania się od ponurej rzeczywistości. Baśniowe światy kuszą magicznymi sposobami walki ze złem, przemycając uniwersalne prawdy o naturze ludzkiej i ostrzegając przed niebezpieczeństwami (wszak do tego baśnie zostały stworzone).

Ostatecznie jednak otwieram oczy na to, czym żyje najnowsza literatura, bo przecież wiem, w jakim celu powstała. Przygotowuje czytelników do walki: o siebie i innych, o wartości, przyszłość pozbawioną lęków i traum. Podziwiam autorki i autorów, którzy poważnie traktują swoją misję, z delikatnością i wrażliwością pisząc w taki sposób, by nie zranić młodego czytelnika. Temu zadaniu podołać potrafią mistrzynie: Amerykanki Kimberly Brubaker Bradley, Kelly Barnhill i Laurie Halse Anderson, Irlandka Sarah Crossan, Norweżka Linn Skåber. A w Polsce choćby Katarzyna Ryrych, Katarzyna Wasilkowska, Roksana Jędrzejewska-Wróbel, Natalia Osińska, Ewa Nowak czy Barbara Kosmowska.

Poważni twórcy i twórczynie literatury dziecięcej i młodzieżowej podejmują ogromne ryzyko, poruszając się ostrożnie między odpowiedzialnością, empatią i szczerością. Zdarza się, że w niektórych krajach trafiają na czarne listy oskarżani o demoralizowanie dzieci, promowanie ideologii LGBT, atakowanie wartości rodzinnych i chrześcijańskich. Ich książki bywają usuwane z bibliotek, cenzurowane, niszczone.

Siła słów

Echa tych problemów możemy znaleźć w powieści „Wskażcie nam księżyc" francuskiej pisarki i scenarzystki Isabelle Pandazopoulos (przetłumaczonej przez Patrycję Masłowską). Zmaga się z nimi nauczycielka prowadząca zajęcia wyrównawcze w prowincjonalnym francuskim miasteczku. Na jej lekcje uczęszcza czwórka uczniów: Lilou, która z powodu problemów rodzinnych zaniedbała naukę; Faruk – turecki uchodźca starający się o azyl; Bastien – częściej widziany w firmie budowlanej ojca niż w szkole; a także Samantha – przyszła aktorka mieszkająca w przyczepie z chorą matką. Pochodząca z Paryża nauczycielka, Agathe Fortin, znalazła się w tym gronie nieprzypadkowo – została zesłana na prowincję za karę.

Małomiasteczkowe plotkarki rozpowiadają, że przyczyniła się do śmierci uczennicy, zachęcając ją do czytania nieodpowiednich książek. Władze szkolne traktują Fortin z podejrzliwością, a nawet z wrogością, kontrolując każdy jej krok. Nauczycielka, choć z pozoru chłodna i zdystansowana, zdobywa zaufanie uczniów, odkrywając przed nimi świat emocji ukrytych w literaturze.

Głębokie, wielopoziomowe problemy nastolatków oraz ich rodzin nie zostaną jednak rozwiązane wyłącznie dzięki książkom. Nie wiemy, czy w ogóle będzie to możliwe. Wspólne przygotowywanie się do udziału w konkursie krasomówczym uczy ich jednak nie tylko mówienia pełnym głosem, ale też otwiera na siebie nawzajem i rozpoczyna powolny proces odnajdywania się w drodze między dzieciństwem a dorosłością.

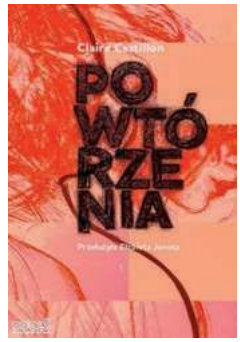
Czy przyszłoby wam do głowy, by tak zwanej trudnej młodzieży podsuwać teksty Piera Paola Pasoliniego i Kanadyjczyka Wajdiego Mouawada? Nauczycielka idzie na całość, ale to właśnie dzięki niej młodzi ludzie odkrywają siłę literatury. „Nie wiedziałem, że słowa mogą do tego służyć" – mówi jeden z nich. A drugi zauważa ze zdziwieniem: „Ktoś może opowiadać to, co przeżywam, nie wiedząc, że istnieję".

Książki, które mówią o innych książkach, to świetny sposób na poszerzanie literackich horyzontów. Czy pamiętacie, jak ważną rolę odegrał „Hamlet" u Mał-

eprasa.pl 48ee648283

gorzaty Musierowicz albo „Balladyna" u Zbigniewa Nienackiego? Inspirujące pod tym względem są powieści Sary Crossan, która nie tylko w swojej twórczości promuje poezję, ale również mimochodem zachęca do lektury utworów z różnych czasów, epok i przestrzeni.

Poruszane we „Wskażcie nam księżyc" problemy, takie jak bieda, rasizm czy wykluczenie społeczne, z trudem równoważone są przez inne wątki poruszane w książce: przyjaźń, pierwszą miłość, wsparcie i współczucie. To bardzo prawdziwa asymetria, zapewne świetnie znana autorce – nauczycielce literatury specjalizującej się w pracy z nastolatkami z trudnościami edukacyjnymi.



Claire Castillon, **POWTÓRZENIA**, *tłum. Elżbieta Janota, Nobell*



JEAN-FRANÇOIS PAGA / OPALE / EAST NEWS

Claire Castillon

Mrok dzieciństwa

„Powtórzenia" Claire Castillon (przetłumaczone przez Elżbietę Janotę) to jeszcze mocniejsza lektura – dotyczy bowiem wykorzystywania seksualnego dziecka. Wybitną książkę dziecięcą poruszającą tę tematykę napisała kilka lat temu Kimberly Brubaker Bradley. Jej „Mocne słowa" to przykład powieści, która wstrząśnie starszym czytelnikiem, a młodszego pozostawi w przeświadczeniu, że historia opowiadana przez dziesięcioletnią narratorkę jest istotnym ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem przeczuwanym i rozumianym, ale nie nazywanym wprost.

„Powtórzenia" Castillon nie są książką dla dzieci, choć opisywane w niej wydarzenia rozgrywają się między ósmym a piętnastym rokiem życia bohaterki. Kierowana do starszych nastolatków powieść jest relacją z trwającego przez wiele lat procesu osaczania dziecka przez bezwzględnego oprawcę: przyjaciela domu, powiernika, opiekuna, trenera, a wreszcie partnera matki piętnastoletniej Alice.

Mój Dżo – tak nazywa się tego człowieka w rodzinnym gronie – jest sprawnym manipulantem, który wykorzystując naiwność matki dziewczynki i nieobecność jej ojca, osacza dziecko, wpędza w poczucie winy, czyni wspólniczką w zbrodni, siłą i perswazją zmusza do wieloletniego utrzymywania wszystkiego w sekrecie. Nawet teraz, gdy piszę te słowa wiele dni po lekturze książki, czuję autentyczne obrzydzenie. A jednocześnie zaczynam rozumieć – dzięki sugestywnej narracji Castillon – dlaczego bohaterka była bez szans w starciu z potworem.

Szereg zdarzeń – często przedstawianych w chaotyczny, nieuporządkowany sposób, zgodny z powracającymi wspomnieniami Alice, jej emocjami – jest próbą rekonstrukcji mechanizmu zdobywania absolutnej władzy nad ofiarą. Mieszanka przebiegłości, bezczelności i czaru roztaczanego przez drapieżnika seksualnego idealnie działa na dziecko samotne i bezbronne, szukające akceptacji, wierzące przez lata w dowody miłości, biorące potajemny „ślub" ze swoim oprawcą.

Ważnym elementem książki jest również opis procesu uczenia się nawiązywania relacji z innymi ludźmi, walki z traumą i tą przeklętą „podwójnością" Alice, przez całe lata zmuszanej do odgrywania roli szczęśliwego i bezproblemowego dziecka.

Literackie przedstawienie pedofilii to coś innego niż analiza liczb i statystyk poświęconych temu problemowi. Zazwyczaj nie widzimy lub nie rozumiemy sygnałów wysyłanych przez ofiary przemocy. Lektura tego typu literatury – nawet jeśli na co dzień nie czujemy się jej odbiorcami – może nas wiele nauczyć w kwestii empatii i uważności. Oczywiście będzie się to wiązać z szeregiem skutków ubocznych: dyskomfortem i utratą wielu złudzeń.

W literaturze dziecięcej i młodzieżowej kryje się bowiem prawda nie tylko o jej bohaterach, ale również – niestety – o nas samych.

Ania od nowa

Złudzeniem jest przekonanie, że opisywanie w literaturze młodzieżowej ciemnych stron życia jest nowym wynalazkiem. Wręcz przeciwnie, już w latach 60. i 70. u Haliny Snopkiewicz można było przeczytać o rozwodach, niechcianych ciążach, aborcji i alkoholizmie. Samotność i przemijanie stały się domeną Krystyny Siesickiej. Aleksander Minkowski przedstawiał konflikty rodzinne i przemoc psychiczną. Samotne, biedne i wykluczone dzieciaki spotykaliśmy u Adama Bahdaja i Ireny Jurgielewiczowej. Już nie wspomnę o tematyce wstrząsających emocjonalnie filmów Janusza Nasfetera!

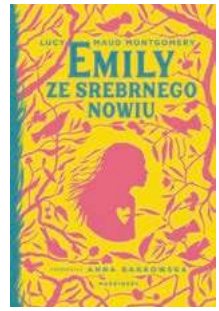
O mechanizmie złudzeń oraz fałszywych wspomnień myślę również w kontekście absolutnej klasyki twórczości dziecięcej i młodzieżowej, czyli twórczości Lucy Maud Montgomery. Anna Bańkowska, autorka nowych przekładów jej książek, zabrała nam wprawdzie Anię z Zielonego Wzgórza, ale za to przedstawiła Anne z Zielonych Szczytów. Ponowna lektura cyklu okazała się nie tylko przygodą pełną niespodzianek fabularnych i onomastycznych, ale też konfrontacją ze wspomnieniami. Chyba nie tylko mnie wielokrotnie wydawało się, że czytam coś zupełnie nowego.

Tylko czyja to zasługa lub wina: talentu tłumaczki czy zaawansowanego wieku czytelniczki? A może jeszcze jednego czynnika – pogłębionej wiedzy ↦

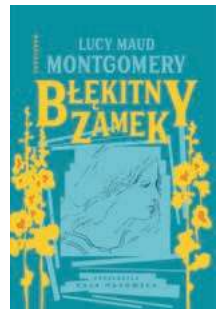
eprasa.pl 48ee648283

↦ o autobiograficznym kontekście twórczości Montgomery. Wszak nie tak dawno dowiedzieliśmy się, ile wysiłku kosztowało ją kreowanie własnego wizerunku oraz ukrywanie przed światem coraz większej niechęci do swojej bohaterki. We wszystkich samotnych, uciekających w świat wyobraźni dziewczynkach, w kobietach tracących dzieci, w postaciach szukających pociechy w świecie przyrody, w ambitnych pisarkach, w szczęśliwie i nieszczęśliwie zakochanych widzę dziś Lucy Maud.

Szczególnym elementem jej twórczości, na który kiedyś nie zwracałam uwagi, jest też pojawiający się nieustannie motyw śmierci i przemijania. Śmierć jest zjawiskiem dewastującym, negatywnie wpływającym na koleje losu bohaterów, to jasne. Ale śmierć to również ukojenie i ucieczka od cierpienia. Nie ma też chyba miejsc mocniej tętniących życiem niż opisywane przez Montgomery cmentarze!



Lucy Maud Montgomery, **EMILY ZE SREBRNEGO NOWIU**, *tłum. Anna Bańkowska, Marginesy*



Lucy Maud Montgomery, **BŁĘKITNY ZAMEK**, *tłum. Kaja Makowska, Marginesy*



HERITAGE IMAGE / ALAMY / BE&W

Lucy Maud Montgomery

Błękit i mrok

Świat opisywany przez nią, choć z ducha wiktoriański, w wielu aspektach okazuje się bardzo współczesny. Nowe tłumaczenia „Emily ze Srebrnego Nowiu" (Bańkowskiej) oraz „Błękitnego zamku" (Kai Makowskiej) przypominają, jak wielkie znaczenie w tych książkach odgrywa siła słów.

Emily poznajemy w momencie, gdy zaczyna prowadzić pamiętnik, a potem pisać listy do zmarłego ojca. Wszystko, co wydarza się w życiu dziewczynki, wymaga odnotowania. Dramatem dzieciństwa okazuje się konieczność ukrywania przed światem tej potrzeby. Bohaterami stają się ojciec-dziennikarz, wujek-poeta oraz nauczyciel, który zachęca Emily do pisania. Ciotka, która nie rozumie pasji Emily, oraz nauczycielka wyszydzająca jej utwory to antybohaterki opowieści.

Montgomery rozumiałaby, czym jest terapia poprzez sztukę – sama w ten sposób leczyła swoją duszę. Literatura przynosi ukojenie również Valancy Stirling, bohaterce „Błękitnego zamku". Bez przyrodniczych książek Johna Fostera jej życie starej panny (bohaterka jest przed trzydziestką) byłoby już całkiem nie do zniesienia.

I chociaż „Błękitny zamek" – również w nowym tłumaczeniu – kończy się bezwstydnie baśniowym happy endem, w powieści tej znajdziemy wiele mrocznych motywów: samotność dziecka, toksyczną rodzinę, niedolę dziewczyny z nieślubnym dzieckiem, społeczną hipokryzję, strach przed życiem.

Kiedy Valancy pod wpływem informacji o śmiertelnej chorobie nareszcie zaczyna się buntować, robi rzeczy, na które Anne z Zielonych Szczytów by sobie nie pozwoliła: opiekuje się zhańbioną Cissy, wychodzi za mąż za człowieka z tajemniczą przeszłością, odchodzi z domu. Przebaczenie ze strony rodziny otrzymuje dopiero wtedy, gdy mąż okazuje się milionerem, ale chyba czułaby się szczęśliwa również bez tak dużej kasy na koncie.

Miłosne rozmowy

Nawiasem mówiąc, nowy przekład „Błękitnego zamku" to naprawdę nieomal nowa książka. Brak skrótów pozwala lepiej poznać Valancy oraz jej gorzkie i złośliwe poczucie humoru. Rzuca też nowe światło na dom, w którym się wychowywała. Ucieczka z nieznajomym mężczyzną i zamieszkanie na bezludnej wyspie stają się dziś o wiele bardziej zrozumiałe.

Nieoczywiste obyczajowe wątki odnajdziemy także w „Emily ze Srebrnego Nowiu", jednak w tym przypadku nie chodzi o jakość nowego tłumaczenia, ale o odbiór powieści po latach. Emily nie należała nigdy do moich ulubionych bohaterek, była zbyt egzaltowana, chimeryczna i impulsywna. Nie podobały mi się również jej wybory uczuciowe, choć każdy inny też wydawał się zły. Niesmak budzi we mnie – o wiele intensywniej niż przed laty – postać Deana Priesta, trzydziestoześciolatka, który po pierwszym spotkaniu z dwunastoletnią dziewczynką stwierdza, że na nią „poczeka", a w następnych tygodniach stanie się największym powiernikiem jej sekretów i planuje uczyć ją w przyszłości „miłosnych rozmów".

Nie chce się wierzyć, że sto lat temu ten wątek nie budził podejrzeń i kontrowersji. I choć pamiętam, jak zakończy się historia Emily i Deana, wiem też, że mężczyzna będzie osaczał biedną dziewczynę również w drugim i trzecim tomie, co staje się trudne do zniesienia. Jestem ciekawa, co na ten temat sądzą inne czytelniczki, szczególnie, że „Emily..." jest dziś – w pozostałych aspektach – naprawdę godna polecenia. © BISERKA ČEJOVIĆ

eprasa.pl 48ee648283

W głowie gruz

DARIA ZE ŚLĄSKA, PIOSENKARKA:

ROZMOWA | Quentin Tarantino? Kiedy już myślisz, że jest dobrze, on nagle wjeżdża z masakrą. Chcę, by tak wyglądały moje teksty.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Wczoraj odebrałaś Fryderyka za singiel roku, a dziś...

DARIA ZE ŚLĄSKA: ...będzie fajnie, bo spędzę cały dzień z mamą. Wczoraj to było takie latanie.

Lubicie być razem?

Trochę się uczymy naszej relacji na nowo. Ale to dlatego, że to ja zawsze jeździłam do niej na Śląsk, a teraz mama – ze względu na problemy ze zdrowiem – mieszka z nami. Jak tylko przyjechałam z tych Fryderyków, od razu spytałam, czy oglądała mnie w telewizji.

Oglądała?

Zasnęła! Ale cieszy się ze statuetki, jest ze mnie dumna.

A co Ty oglądasz w telewizji? W Twoich piosenkach – tekstach, aranżacjach – jest mnóstwo nawiązań do kina, muzyki filmowej.

Kurczę, co ja oglądam? Wiesz, ja mam straszną pamięć, naprawdę żenującą...

Ale do słów masz dobrą. Szczególnie tych nieprzyjemnych, prawda?

Gdy wydarza się coś radosnego, na przykład odnoszę sukces albo przydarzają mi się rzeczy obiektywnie piękne, to nie potrafię się z nich tak naprawdę ucieszyć. Mój wskaźnik emocji wskazuje zero. To było chyba widać na gali wręczenia Fryderyków, prawda? Kiedy odbieram jakąś nagrodę, to jest dla mnie trochę takie...

Trudne?

Czasem ciężko zaufać, że za rogiem czekają „Anioł z Bogiem". Raczej na każdym kroku spodziewam się przeszkód, dziur w jezdni. Oczywiście próbuję pielęgnować w sobie nadzieję. Ale jeśli bardzo długo – za długo – nosisz w sobie ból, ciało nabiera pewnego ciężaru.

A przypomniałaś sobie tytuł filmu?

„The Boys" – znasz? Bardzo lubię.

Grupa samozwańczych obrońców sprawiedliwości przeciwstawia się superbohaterom, którzy nadużywają swoich mocy. To mnie zaskoczyłaś!

Lubię ten serial ze względu na błyskotliwie poprowadzone dialogi. Ale też dlatego, że superbohaterowie wcale nie są tam tacy „superbohaterscy", a bardzo ludzcy, zdradzają wiele powszednich rozterek. No i to, w jaki sposób jest to podane: nieustannie leje się krew, a jak ma być źle, to jest naprawdę bardzo źle. Lubię tego typu realizm.

Stąd u Ciebie w piosenkach Tarantino?

Kocham go za to, że kiedy już myślisz, że jest dobrze, on nagle wjeżdża z jakąś masakrą. Chcę, żeby tak wyglądały moje teksty. Chcę śpiewać wersy, które zaskakują. Uwielbiam jego „Django", ale też takie filmy jak „Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona. Kręcą mnie wątki turpistyczne, pochwała brzydoty.

Mam zresztą taki teledysk o miłości, w którym ktoś mi przypala twarz żelazkiem. Niektórzy mówią, że odwracają w tym momencie wzrok od ekranu, a ja celowo użyłam tego zabiegu. Chciałam, żeby ból był wyraźny, odczuwalny. Być może mam granicę odporności w nieco innym miejscu niż większość ludzi...

Ale ja bym na twoim miejscu zapytała o jakąś książkę.

Bardzo proszę – co lubisz?

Zwracam uwagę na sposób, w jaki jest prowadzona narracja. Dzisiaj zrobię sobie na przykład prezent za tego Fryderyka i kupię nową książkę Zyty Rudzkiej.

Ona dużo kombinuje w słowach...

Tak, ma bardzo charakterystyczny styl pisania...

...i lubi kreować w swoich tekstach silne, bardzo bezpośrednie bohaterki, jak Ty.

Wydaje mi się, że jestem trochę bardziej odważna niż kiedyś i moja najnowsza płyta, a szczególnie druga jej część, to pokazuje. Ale mówię też na niej dość trudne dla mnie rzeczy, np. w piosence „Ciężki plecak" albo w numerze „Miłość", w którym rzeczywiście opisuję, jak żenującym się bywa, kiedy się jest nieszczęśliwie zakochanym, co jest – skądinąd – absolutnie naturalne, ale nie każdy lubi się do tego przyznawać, ujawniać swoją naiwność.

W Twoim sposobie pisania piosenek coś się zmienia?

Częściej wychodzę spoza swojej przestrzeni „metr siedemdziesiąt i pięćdziesiąt trzy kilo", by patrzeć na ludzi, którzy mnie otaczają. Czasem przyglądam się tym, którzy mnie dotknęli, powiedzieli może coś nie tak, jak bym chciała. Wiesz, mnie się nieustannie coś przytrafia.

Kwestia wrażliwości?

Ktoś mi powiedział, że ta wrażliwość jest jednocześnie moją największą siłą i przekleństwem. Chyba rzeczywiście tak jest. Wiem, jakie są koszty pracy artystycznej, ile ona niesie ze sobą emocjonalnego wyczerpania, bo jednak decyduję się, żeby opowiadać trudniejsze, czasem osobiste historie.

Nie przychodzi moment dystansu?

Różnie z tym bywa. Jak w życiu osobistym albo w głowie jest gruz, to na koncercie nie da się tego tak absolutnie wyłączyć – jesteś tylko człowiekiem, nieustannie przeżywasz. Jeśli z czymś się mierzę, trudniej mi się śpiewa na przykład piosenkę „Falstart albo faul". Ale na pewno słuchacz może mnie wtedy zobaczyć w zupełnie nowych emocjach.

Pamiętam ten moment trzy lata temu, gdy postawiłaś wszystko na jedną kartę. Zrezygnowałaś z pracy na etacie, by iść wyłącznie w muzykę, nie wiedząc, co się wydarzy. Jaka to była droga?

Długa. Zapewne dlatego, że żyję projektem „Daria ze Śląska" od rana do wieczora. Piosenki, koncerty, spotkania ↦

eprasa.pl 48ee648283



PIOTR TARASEWICZ / EAST NEWS

DARIA ZE ŚLĄSKA (właśc. **DARIA RYCZEK-ZAJĄC**) jest kompozytorką, autorką piosenek, wokalistką. Laureatka czterech Fryderyków oraz Nagrody im. Grzegorza Ciechowskiego. Niedawno wydała trzecią płytę „Halo. Co jest grane?".

↦ z dziennikarzami, scenografia do wymyślenia, aranż. Tak naprawdę dobre rzeczy – wydane single, płyty, nagrody – to są wisienki na torcie. Wierzchołek góry lodowej tej roboty.

Wierzę, że twórca, który robi coś, co kocha, dąży do tego, żeby wszystko było zrobione jak najlepiej. A ja do tego mam tendencje do zbyt mocnego kontrolowania wszystkiego i wszystkich wokół.

Skąd to masz?

Myślę, że z okresu dojrzewania, domu typowego dla lat 90., w którym zawsze był jakiś rodzaj napięcia. To napięcie trzeba było rozładowywać, a nie bardzo wiedziało się jak. Wiesz, wychowałam się na osiedlu górniczym z tatą górnikiem i mamą, która robiła, co mogła, żeby jakoś prowadzić dom.

Dlatego moją weną są obserwacja i nasłuch. Ucho nadstawiam właściwie w każdej rozmowie, nieustannie rejestruję. Czasami to dość długo trwa, ale jak już przyjdzie do mnie jakiś wers, to nawet jak jestem pod prysznicem, to na szybie paluszkiem sobie wszystko zapisuję i wybiegam szybko, żeby utrwalić, zanim zniknie.

Śląsk Cię ukształtował?

Jest całym moim dzieciństwem, czasem pierwszych miłości i przestrzenią, w której szukałam sobie miejsca do życia. Ale dużo dał mi też rap. Rzeczy, które się tam wydarzają, wciąż są zaskakujące. Na przykład Rau, czyli Tomasz Rałowski i jego ostatnia płyta „Strefa dyskomfortu" – świetna.

Byłam na jego koncercie kilka dni temu, mamy kontakt i wzajemnie się dopingujemy. On też pisze o pięknych, odważnych, ale w środku poturbowanych ludziach, którzy za wszelką cenę nie chcą pozwolić innym dalej się turbować.

Pierwszy zespół?

Pierwszy i jedyny, jaki miałam, nazywał się The Party is Over.

Jak powstał?

Spotkałam się z chłopakiem, który dał ogłoszenie na Facebooku, że chce założyć grupę. Umówiliśmy się pod Stokrotką w galerii handlowej, w której wcześniej pracowałam. Krótka rozmowa: dobra, ja chyba umiem śpiewać, ty umiesz grać – zróbmy to. Tak się poznawaliśmy: on mi puszczał muzykę elektroniczną, a ja się tym zajarałam i zaczęliśmy robić coś z niczego. Wszystko sami – miksowaliśmy, masterowaliśmy, produkowaliśmy, pisaliśmy teksty.

Dlatego Śląsk kojarzy mi się też z etapem tworzenia zespołu i muzyki elektronicznej.

Skądinąd stoi elektroniką – choćby dzięki Festiwalowi Tauron Nowa Muzyka.

To było wtedy moje marzenie: żeby z The Party is Over wystąpić na Tauronie. Robiliśmy wszystko, żeby się udało, stawaliśmy na rzęsach, jeździłam na wszystkie możliwe warsztaty, dobijałam się, pisałam maile. Chodziłam z torbami ze swoim „merchem", rozdawałam ulotki po koncertach, na festiwalach.

Mam zresztą takie zdjęcie z Dawidem Podsiadłą na jakimś festiwalu w Poznaniu – mówię mu, że ja to ja, mam zespół i fajnie, jakbyś posłuchał. Później zaczęłam się uczyć, szukać tutoriali w internecie i poczułam, że chciałabym spróbować działać sama. To trwało siedem czy osiem lat i wtedy zobaczyłam, jak różne rzeczy w branży muzycznej funkcjonują. Ale oczywiście jak weszłam do wytwórni, i tak gówno wiedziałam. Wszystko się wyzerowało, jakbym zaczynała naukę chodzenia od początku.

Kiedy się narodziła Daria ze Śląska?

Wewnętrznie? W momencie poznania autorki piosenek Agaty Trafalskiej – ona we mnie zobaczyła coś, co ją zaintrygowało, zaczęłyśmy razem pracować.

eprasa.pl 48ee648283

Agata zauważyła mnie na warsztatach, z całej grupy byłam tą najbardziej upartą. Zresztą zawsze byłam typem dziewczyny, która siedzi w pierwszej ławce z wyciągniętą ręką i „wie". Czasami nienawidzę tego w sobie, ale nikt mi nie zarzuci, że nie jestem pracowita.

A odpoczywasz?

Teraz muszę, bo moje ciało jest absolutnie wyczerpane emocjami, obowiązkami, rzeczami, które chcę robić. Krzysiek, mój menadżer, powiedział wprost: „bardzo cię proszę, wpisz w kalendarzu urlop i się go trzymaj, nie odpowiadaj na maile ani żadne wiadomości, nic nie rób". No więc teraz pojedziemy może na jakieś festiwale, a w październiku jadę na najdłuższe moje wakacje w życiu: dwa i pół tygodnia.

Zresztą jak klikałam w kalendarzu te wakacje, to się okazało, że i tak muszę wrócić dzień wcześniej, bo mamy zaplanowany koncert.

To jak Ty się nauczysz odpoczywać?

Jezu, nawet mi nie mów! Nie wiem, muszę to sprawdzić w internecie... Oczywiście nie mówię, że już nie sprawdzałam, bo czytam tysiące książek, chodzę do osteopaty, medytuję. O tym jest też moja piosenka „Houston".

„Robię sobie seanse, rytuały naprawcze, zjadam zdrowe śniadanie, medytuję i walczę. Słucham mądrych podcastów, jak poprawić swój nastrój"...

Robię to wszystko, a i tak gówno z tego jest. Ale gdybym tego nie robiła, może byłoby jeszcze gorzej?

Muzyka opowiada dziś o pięknych, odważnych, ale w środku poturbowanych ludziach, **którzy za wszelką cenę nie chcą pozwolić innym dalej się turbować.**

Moje ostatnie wakacje trwały kilka dni, a jeszcze trzy godziny przed wyjazdem je sabotowałam. Nie potrafiłam się spakować, przekładałam Ubera, wszczęłam jakąś niepotrzebną awanturę. Wiesz, śmiejemy się, ale wtedy w ogóle mi nie było do śmiechu. Wpadłam w panikę.

Co takiego jest w tej robocie, że ciężko odpuścić?

Miłość. To chyba ona sprawia, że nie odpuszczasz. Momentami wszystko mnie oczywiście doprowadza do szewskiej pasji i mam dość, chciałabym to rzucić. Po czym wystarczy, że przelatuje mi przez głowę jakaś myśl, wers, i zaczynam momentalnie w tym grzebać. To jednocześnie okropne i wspaniałe. I może kiedyś się skończy, natomiast czuję, że nigdy się we mnie nie wyczerpie zainteresowanie słowem.

Stąd też moja fascynacja stand-upem – dużo gadam z ludźmi, także nowo poznanymi i strasznie lubię żartować. Uwielbiam rozśmieszać innych, daje mi to ogromną frajdę.

A co jest najważniejsze?

W życiu?

Tak.

Cel. Chyba cel jest jedną z ważniejszych dla mnie rzeczy. A jedną z najważniejszych wartości, oprócz poczucia bezpieczeństwa, jest poczucie przynależności, świadomość, że mamy coś wspólnego, że możemy działać razem, bez kalkulacji.

Wiesz, miałam ostatnio takie warsztaty w ZAIKS-ie. Moją rolą było posłuchać, jak inni śpiewają, pomagać im prowadzić tekst piosenki tak, żeby był sensowny. Skomponowałam niektóre części muzyczne, ktoś tam przyniósł sobie jakiś fragment piosenki i złapałam się na tym, że z zupełnie obcym człowiekiem potrafię być przez dobre pół godziny w niezwykle bliskim kontakcie. Ten moment łapania się ludzi, którzy są absolutnie sobie obcy, a jednak mają wspólny temat... taki moment jak nasze spotkanie tutaj – to jest piękne.

Bardzo ważne jest też, żeby mieć ludzi, którzy cię kochają i z którymi się czujesz dobrze. A ja chyba mam szczęście do ludzi. Gdziekolwiek pracowałam, gdziekolwiek żyłam, mimo że były czasami trudne momenty, były gruzy, to zawsze znajdowali się tacy, których opisuję w „Ciężkim plecaku".

„Boże, jak dobrze jest czuć, że zawsze na mnie gdzieś czekasz. Aż chce się wierzyć w człowieka".

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 48ee648283

Do latarni morskiej



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Film Barta Schrijvera wypuszcza nas w drogę bez jasno określonych wskazówek. Albo podejmiemy wyzwanie nie czekając na nagrody, albo odpadniemy po pierwszych kilometrach.

Co tak naprawdę sprawiło, że dwóch trzydziestoparolatków spotyka się po dziesięciu latach, żeby przemierzać razem górski szlak, uważany na Wyspach Brytyjskich za najtrudniejszy i liczący prawie czterysta kilometrów? A co sprawia, że przez bite dwie godziny chce się oglądać małomównych plecakowiczów, idących w deszczu, wichrze i mgle?

Bo w filmie „Wędrówka na północ" słońce rzadko kiedy wychodzi zza chmur i chwilami trudno powiedzieć o widokach trasy Cape Wrath, że zapierają dech, niczym na pocztówkach z napisem „Visit Scotland". Są raczej zimne i surowe w swoim pięknie. Bohaterowie zaś, od dzieciństwa zaprzyjaźnieni, a dziś w zupełnie innych punktach na osi czasu, skąpią nam informacji o sobie.

Czyżby każdy z nich, ruszając w daleką i skomplikowaną trasę, przed czymś uciekał? Albo realizował swoje ambicje czy jakieś ekstremalne wyzwania? A może kolekcjonował rzadkie widoki, którymi można się pochwalić przed znajomymi w sieci? Raczej nic z tych rzeczy. W filmie Barta Schrijvera idzie się po to, żeby iść – bez krokomierza i robienia selfików.

Ten skromny, choć jednocześnie pojemny film oparty jest częściowo na osobistych doświadczeniach holenderskiego reżysera, który kilka lat wcześniej przeszedł wraz z przyjacielem parę tysięcy kilometrów. Przez cztery i pół miesiąca, bo tyle trwała wędrówka przez Nową Zelandię szlakiem Te Araroa, prowadził dziennik podróży i – jak wyznaje podczas wywiadów – za bardzo był wtedy skupiony na sobie.

W przypadku swoich bohaterów postanowił więc przede wszystkim skoncentrować się na łączącej ich relacji. Dodajmy: relacji męskiej, z przypisywanymi jej tradycyjnie ograniczeniami. Albowiem Chris i Lluis, pochodzący z zaprzyjaźnionych rodzin, mają dzisiaj ewidentny problem z komunikacją. Nie chodzi o barierę językową (Chris, zagrany przez Barta Hardera, jest Holendrem, a Lluis, czyli Carles Pulido, pochodzi z Hiszpanii i rozmawiają ze sobą po angielsku). Istnieje raczej inna, emocjonalna blokada, która sprawia, że dwóch młodych i niegdyś bliskich sobie mężczyzn tak mało się o sobie dowiaduje podczas tej wędrówki, przynajmniej do pewnego momentu. Film zaś nie chce podążać utartym szlakiem sympatycznego kina kumpelskiego.

Ze zdawkowych rozmów dowiadujemy się, że Chris ma dobrą pracę, własne lokum i myśli o założeniu rodziny. Chyba jednak ceni sobie w górach ów brak zasięgu, kiedy znowu wydzwaniają do niego z firmy w sprawach niecierpiących zwłoki. Z kolei Lluis inaczej rozumie „inwestowanie w siebie" – to wolny duch, bez konkretnych planów, z trudnymi doświadczeniami za sobą.

Lecz Schrijver jako scenarzysta wystrzega się narracyjno-psychologicznych gotowców, w których najbardziej liczyłoby się starcie życiowych postaw i odmiennych doświadczeń. Czyli podążanie za GPS-em kontra czytanie papierowej mapy. Albo zderzenie zdyscyplinowanego wyczynowca i mało ambitnego luzaka. Bardziej znaczące od różnic czy konfliktów zdają się przypadkowe spotkania na szlaku.

Wizyta w bacówce uświadomi Chrisowi, jak mało wie o dzisiejszym Lluisie. Krótka rozmowa tego pierwszego z wędrującym emerytem każe zobaczyć mu w innym świetle swoją przyszłość. Bywają też momenty zabawne, na przykład wypatrywanie wraz z napotkaną dziewczyną zjawiskowego wschodu słońca – scena w rodzaju wczesnego Jarmuscha. I dopiero kiedy bohaterowie się rozdzielają, dociera do nich, jak blisko im do siebie nawzajem.

Schrijver opowiada o tym oschle, bez sentymentalizowania męskiej przyjaźni. Droga jest długa, ciężka, nieprzewidywalna, ale żadna tam mordercza szkoła przetrwania czy próba lojalności, które można by emocjonalnie wyzyskać. Zrealizowana za niewielkie pieniądze, częściowo z publicznej zbiórki, jest „Wędrówka na północ" propozycją dla poszukiwaczy filmowego minimalizmu, dla stęsknionych za offline'em czy po prostu dla amatorów długodystansowych rajdów po różnego rodzaju wygwizdowach.

Sam reżyser, tak dobrze zaprawiony w górskich wyprawach, przeszedł ponoć, razem z aktorami i niewielką ekipą, znaczną część szkockiej trasy, targając na plecach sprzęt nie tylko filmowy. Oraz sypiając w namiocie, walcząc z inwazją mu-

eprasa.pl 48ee648283



MATERIAŁY PRASOWE

WĘDRÓWKA NA PÓŁNOC
(„The North") – reż. Bart Schrijver. Prod. Holandia 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach.

Bart Schrijver to holenderski reżyser i scenarzysta, który zadebiutował cztery lata temu wysoko ocenianym filmem „Human Nature". Była to historia młodej kobiety, która na przekór wszystkiemu i wszystkim postanawia przejść samotnie pół tysiąca kilometrów przez arktyczną część Norwegii. Także swój następny film planuje Schrijver nakręcić na dalekiej północy, tym razem w Finlandii.

Powyżej: Bart Harder i Carles Pulido w filmie „Wędrówka na północ"

szek i kapryśną pogodą. Właściwie to nie walcząc, a czyniąc z niej bohaterkę filmu w większym nawet stopniu aniżeli samą przyrodę.

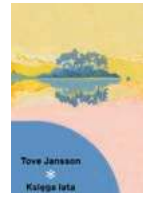
Właśnie dlatego panoramy są tutaj nieprzesadnie malownicze, a „Wędrówkę na północ", utrzymaną w tempie i rytmie autentycznej wędrówki, prawie pozbawioną muzyki, ogląda się chwilami jak dokument. Tyle że kamera Twana Peetersa, stałego współpracownika reżysera, rezygnuje z operatorskich popisów w stylu National Geographic na rzecz długich kontemplacyjnych, czysto obserwacyjnych ujęć.

Tym mocniej wybrzmiewa finał i zarazem osiągnięcie przez bohaterów celu tej ciężkiej trasy, jakim jest dwustuletnia latarnia morska na przylądku Wrath – najbardziej wysunięte na północ miejsce w Wielkiej Brytanii. Ale znowu: nie chodzi przecież o to, że czekające na Chrisa i Lluisa jeszcze bardziej bajeczne widoki mają im jakoś wynagrodzić kilkutygodniowe trudy. Przeszli razem słynny szlak, który charakteryzuje się tym, że nie ma formalnego oznakowania, każdy bowiem wyznacza sobie jego przebieg we własnym zakresie. Opowieść Schrijvera każe rozumieć to nieoznakowanie również symbolicznie. Zamiast brnąc w psychologiczne interpretacje, przywołajmy po prostu wiele mówiącą scenę.

Oto bohaterowie zatrzymują się na chwilę w jednym z nadmorskich miasteczek. Chris, korzystając z zasięgu, dzwoni do swojej partnerki i opowiada jej, jak dziwnym człowiekiem jest Lluis. Ten akurat podszedł niezauważony i zmieszany tym, co właśnie o sobie usłyszał, wycofuje się dyskretnie. Czy jednak Chris wykonał wcześniej jakikolwiek wysiłek, ażeby dotrzeć do Lluisa? Czy nie „oznakował" go nazbyt łatwo?

Film Schrijvera – który zapewne niektórzy skwitują słowami „i co, tylko tyle?" – ma tę cechę (a może i wartość), że wypuszcza nas w monotonną i dziką drogę bez jasno określonych wskazówek. Toteż albo wyruszy się tą trasą nie czekając na ewentualne atrakcje czy nagrody, albo odpadnie się po pierwszych dziesięciu kilometrach. Idzie się po to, żeby iść. ©

Lektor:
Wyspa, czyli świat



▪ *Tove Jansson*
KSIĘGA LATA
tłum. Halina Thylwe, Czarne, Wołowiec 2026

Są czytelnicy, którzy uważają cykl o Muminkach za dzieło totalne, w którym znajdziemy odpowiedzi na wszystkie życiowe pytania. Kiedyś, po lekturze „Doliny Muminków w listopadzie", doszedłem do podobnego wniosku. Przecież jest tam zapis także najboleśniejszych doświadczeń: utraty, braku nadziei, niemożności powtórzenia chwil szczęśliwych!

Bo pisząca po szwedzku Finka to wielka, wszechstronna artystka (przecież i malarka), nie tylko kreatorka świata budzących miłość trolli. Czarne wydało wcześniej tom jej opowiadań, a teraz – bardzo słusznie w serii „Nowa klasyka" – portret innego świata, małej wyspy i jej trojga wakacyjnych mieszkańców: dziewczynki Sophie, jej wycofanego ojca i nieco ekscentrycznej babci, za młodu liderki skautek.

I ta niewielka przestrzeń – mający swój realny pierwowzór „mały szkier na krańcach archipelagu w Zatoce Fińskiej", cytuję z posłowia Sophie Jansson – okazuje się kosmosem, który można eksplorować bez końca, babka zaś – nienachalną i niekonwencjonalną przewodniczką i nauczycielką. „Wyłaniające się z moich wspomnień krajobrazy – pisze dalej Sophie, po trosze pierwowzór bohaterki – miejsca, gdzie babcia i Sophie dają upust swoim emocjom, a relacje między nimi są nieco anarchizujące, odsyłają do archipelagu z mojego dzieciństwa. Bez zastanawiania się nad tym, co jest rzeczywiste, a co fikcyjne, wyspa w książce staje się naszą wyspą, babcia w książce staje się moją babcią Ham". I przypomina, że na Klovharu, innej wyspie tegoż archipelagu, jej ciotka Tove ze swoją partnerką Tuulikki Pietilä zbudowały później dom, gdzie spędzały wszystkie wakacje, a babka Ham w „Księdze lata" nosi rysy matki pisarki.

„Księga..." ukazała się u nas po raz pierwszy 46 lat temu w tłumaczeniu Zygmunta Łanowskiego pod tytułem „Lato". Mam tamten egzemplarz i się go nie pozbędę. Nie dlatego, bym zamierzał porównywać przekłady dwojga doświadczonych tłumaczy (zwłaszcza że nie znam szwedzkiego!), ale z powodu rysunków Tove Jansson, których teraz nie wykorzystano. Nowe wydanie bogatsze jest o jeden tekst („Appendix: Wyspa") i o posłowie bratanicy autorki...

Rozrost biblioteki, pochłaniającej coraz większą przestrzeń, to żywioł niepowstrzymywalny. Czytać na ekranie nie lubię. Co więc robić? ©℗

eprasa.pl 48ee648283

PAWEŁ

Bravo: *Odyseusz?*
To skomplikowane



Tysiąc lat bez mała już wisi, a nie mogą się doliczyć. Dziewięćdziesiąt trzy, a może będzie dziewięćdziesiąte czwarte. W kuchennym radyjku trzeszczał Londyn z wiadomością, iż pewien profesor z St Hugh's College w Oxfordzie znalazł niedostrzegane dotąd męskie przyrodzenie na sławnej tkaninie z Bayeux. Pamiętamy ją z podręcznika, przedstawiona bowiem na niej bitwa pod Hastings z roku 1066 jest kluczowym momentem wczesnego średniowiecza, wtedy to król normański Wilhelm Bękart zamienił sobie korzystnie przydomek na Zdobywcę, pieczętując trwający już od pewnego czasu podbój Anglii. Niedawny mecz z Norwegią oglądałem trochę jako zemstę za tamten niezbyt uprzejmy najazd, dzięki jednak któremu Anglia nie została nudnym celtyckim skansenem jak np. Irlandia. Ale o tkaninie z Bayeux jest głośno też dlatego, że z tej normandzkiej mieściny przyjechała tymczasowo do British Museum. Jeśli zdobędziecie bilet, będziecie mogli sami sprawdzić, ile czego jest.

„Profesor z kolegium Hugona / rachować począł ogony..." Gdyby żyła jeszcze pani Szymborska, zaraz byłby z tego limeryk, który w pięciu ślicznych wersach wyraziłby to, co mi zajmie parę minut ględzenia – mianowicie iż objaśnianie znaczenia choćby tych wstydliwych szczegółów anatomii na starych obrazach to poważna robota historyczna, czyli taka, która pozwala nam się przybliżyć do tego, jak myśleli i w jakich ramach działali nasi przodkowie, jak byli do nas podobni, a jak różni. Większość rzeczonych fallusów należy do koni – i bez pomocy historyka potrafimy zgadnąć, dlaczego rumak Wilhelma ma zdecydowanie większego niż wierzchowiec pokonanego w bitwie króla Harolda. Komparatystyka genitalna ma się dobrze do dziś, gdziekolwiek sztubacy palą za płotem na dużej przerwie. Co się zaś tyczy trzech (a może jednak czterech?) ludzkich przyrodzeń, to zostały wyhaftowane szczegółowo na marginesach głównego pasa w scenkach alegorycznych komentujących bitewną rozróbę. Oglądając je, rozumiemy, iż autor programu tej tkaniny znał dobrze bajki Ezopa – ale w wersji Fedrusa, łacińskiego bajkopisarza, który jako niewolnik z Tracji (czyli dzisiejszej Macedonii) trafił do Rzymu zapewne za panowania Augusta. Bo wieki ciemne wcale takimi nie były, teksty, opowieści i idee krążyły wśród elit, tyle że greki prawie nikt nie znał. Poza uczonymi w starożytnym piśmie Arabami, których z Sycylii mieli przegonić inni Normanowie. Rozsiane tam przez nich geny widzę w rudej brodzie Pasqualego, gdy idę po *cannoli* i *sfogliatelle* do Bomboniery, prawdziwego cudu sycylijskiego i neapolitańskiego cukiernictwa na warszawskim Muranowie. To ci sami od króla Rogera z opery, którą Iwaszkiewicz z Szymanowskim wykoncypowali w Jelizawietgradzie w roku 1918, w zgoła innej historycznej zawierusze.



Czy aby na pewno innej? Inny profesor, znany wam „Tygodnikowy" autor Marek Węcowski chciałby przekonać, że drugorzędne w sumie detale wojen i mordów się zmieniają, ale sposób na to, by ocalić siebie i uczynić świat o jotę lepszym, został raz na zawsze opowiedziany, tylko trzeba go dobrze odczytać. Kiedy już wrócicie z kina z „Odysei" Nolana, wolni od tej palącej niepewności, czy bohater aby zdoła dotrzeć do domu, i kiedy przeczytacie rozmowę na poprzednich stronach, sięgnijcie jeszcze po jego książkę „Homer na nasze czasy". Oczywiście wszyscyśmy kiedyś słyszeli, że cała literatura światowa to tylko przypisy do „Iliady" i „Odysei", że tam jest już wyłożone nad wyraz prostym językiem (o ile mamy tłumaczenia bez wysilonych rymów, vivat Parandowski!) wszystko, co trzeba wiedzieć o losie jednostki i życiu zbiorowym, o nadziei i rozpaczy, o bogach, przyrodzie i kosmosie nie wspominając. Ale Węcowski napełnia ten banał piekielnie aktualną treścią, najpierw przeprowadzając nas bez żadnych belferskich ciągot przez podstawy wiedzy o Homerze (lub Homerach) i jego świecie, po czym uświadamia, sięgając po przykłady spod Troi, co znaczą te „nasze" czasy i jak dużo złego nas czeka i jak mało od nas zależy – ale że nie wolno tego skraweczka wolności oddać.

Mało kto mi ostatnio opowiedział tak dobrze o współczesności, jak onże Marek Piórowładny. Jedna z nielicznych moich zasług dla polskiej kultury jest taka, że nie udało mi się go za młodu zatruć, kiedy był regularnym moim stołownikiem w czasach, gdy

eprasa.pl 48ee648283



LOU BENOIST / POOL / AFP / EAST NEWS

Pracownicy i wolontariusze przygotowują się do zapakowania tkaniny z Bayeux do kontenerów, w których zostanie przewieziona do Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Bayeux, 18 września 2025 r.

dopiero uczyłem się gotować. Może jedząc skutki moich niewczesnych pomysłów myślał, że to równie paskudnie smakuje jak *kykeon* – napój energetyczny homeryckich herosów, szeroko rozpowszechniony też w greckim realu, o czym świadczą liczne tarki znajdowane w grobach obok innych symboli statusu. Pomyślcie tylko: wino, raczej słodkie, bo takie się wówczas pijało, do tego garść jęczmiennej mąki lub krup i na to tarty kozi ser.

Z dawnych lektur pamiętałem tylko, że w obu eposach bez przerwy się ucztuje i każdy na okrągło żre mięso z rożna i popija winem (czasem jest mowa o owocach i serze, ale opcji wege i zero alko w pałacu Nestora nie było). Ale o tej winno-serowej brei zupełnie nie pamiętałem, zanurzony zapewne we wciąż dziecięcym podziwie dla epickiego świata pełnego wspaniałych postaci. Który okazuje się, jak trochę poskrobać, całkiem skomplikowany. W pierwszym wersie „Odysei" dowiadujemy się, iż bohater jest, by użyć Parandowskiego, „wielce obrotny". Ale trudne do przełożenia słowo *polutropon* nowe amerykańskie tłumaczenie na prosty język daje jako *complicated*. Trochę jak ten trzeci status związku na Facebooku, obok singla i żonatego/zamężnej. Jeśli właściwie czytam Węcowskiego, to właśnie do tego Homer zawsze i najlepiej służy, byśmy umieli być skomplikowani, a zarazem wewnętrznie prości jak maszt odysowej chyżej łodzi.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Makaron dirty Martini

Grecja, oprócz brei z wina zabielonego mąką (i niekiedy podkręconego ziołami, np. miętą) oraz wołowiny (też uważali krzyżową za najlepszą część) spieczonej na wiór na żywym ogniu, pozostawiła nam genialne i do dziś popularne pomysły jedzeniowe: kozi ser z figami i orzechami oraz oliwki, jedzone z serem albo kawałkiem placka. Przyznam, że choć w życiu zjadłem ich zapewne już tonę, to do niedawna nie przychodziło mi do głowy, żeby cokolwiek zrobić z solanką, w której się moczą. Trzeba było dopiero Amerykanów, którzy taką mają już urodę, że nie boją się przekraczać granic naszym uwikłanym w tradycje zdaniem nieprzekraczalnych. Owszem, wiedziałem od dawna, że solankę stosują do dirty Martini, czyli udziwnionej wersji koktajlu z ginu i wermutu, których James Bond nie pozwala mieszać. Niedawno w czeluściach internetu odnalazłem jednak pomysł, by to przełożyć na język makaronowy. Zróbmy więc to danie w hołdzie amerykańskiej „Odysei". Powiem wam, że wcale niegłupio smakuje.

SKŁADNIKI:
400 g spaghetti albo tagliatelle ząbek czosnku 2 cytryny 70 g zielonych oliwek – jak najlepszych, raczej łagodniejszych, np. odmiany Cerignola, wydrylowanych 40 ml ginu albo wódki 40 ml solanki z oliwek 80 g sera z niebieską pleśnią (na 4 osoby)

Na dużej patelni podgrzewamy łagodnie na oliwie rozgnieciony ząbek czosnku. Po paru minutach dodajemy posiekane z grubsza oliwki i połowę skórki otartej z cytryn. Dusimy na średnim ogniu dwie-trzy minuty, kiedy wszystko będzie już ładnie pachnieć, wlewamy gin albo wódkę, zwiększamy ogień, odparowujemy, wlewamy solankę, dodajemy masło, mieszamy chwilę. Do tak przygotowanego sosu przekładamy ugotowany w mało osolonym wrzątku al dente makaron, mieszamy intensywnie, podlewając wodą, w której się gotował, żeby wszystko uzyskało kremową konsystencję. Wyłączamy ogień, wkruszamy nieco sera, trochę mieszamy (ale nie aż tak, żeby się całkiem rozpuścił). Możemy też wstrząsnąć patelnią. Na wydaniu dodajemy resztę skórki oraz opcjonalnie sok z jednej cytryny (ja w każdym razie lubię wersję kwaśniejszą). Amerykańskie przepisy przewidują oczywiście użycie tłustej śmietanki, ale, na Zeusa, musimy chyba zachować jakieś resztki godności. ©℗

PAWEŁ BRAVO



eprasa.pl 48ee648283

PSYCHE

SPIS SPISKÓW

PAWEŁ DROŹDZIAK, PSYCHOLOG:

Myślenie spiskowe to często mechanizm obrony przed utratą języka. Bo jeśli nie można swojej wątpliwości wyrazić racjonalnie, ona zaczyna wyrażać się nieracjonalnie.



DOMINIKA TWOREK: „Spiskowca", „foliarza" i „szura" zaczęliśmy tropić od pandemii, kiedy temat teorii spiskowych wszedł do głównego nurtu debaty publicznej. To pozwala nam lepiej zrozumieć rzeczywistość czy służy jedynie dzieleniu ludzi na mądrych i głupich?

PAWEŁ DROŻDZIAK: Jeśli przyklejamy łatkę, że dane myślenie jest spiskowe, tym samym je unieważniamy. To trochę tak, jakbyśmy powiedzieli komuś, że jest po prostu wariatem.

Jednak musimy zacząć tę rozmowę od definicji. To, co teraz powiem, może zostać uznane za kontrowersyjne i dla wielu osób może być trudne do przyjęcia, ponieważ przeczy naszej pierwszej intuicji. Żeby ustalić, czy coś jest spiskowe, nie powinno mieć znaczenia, czy jest to ostatecznie prawda, czy nieprawda. Oczywiście, jeśli zapytamy eksperta z konkretnej dziedziny, czy dane twierdzenie jest teorią spiskową, najpewniej odwoła się on do faktów. Powie, że w świetle dostępnych dowodów coś jest prawdziwe, a coś innego fałszywe. Tymczasem psychologiczna definicja tego zjawiska nie może odnosić się do faktów.

Marsz przeciwników szczepień. Poznań, 11 września 2021 r.



MAREK ZAKRZEWSKI / PAP

Dziś wiemy, że wiele przekonań, które w przeszłości uznawano za spiskowe, z czasem okazywały się prawdą. Zatem „spiskowość" to w dużej mierze kwestia społecznego konsensusu – uznania, co jest normą, a co nie?

Wystarczy wspomnieć książkę „Konopielka" Edwarda Redlińskiego. To powieść o prostych chłopach mieszkających na wschodnich kresach, w zapóźnionej Polsce. Są niepiśmienni, nie wiedzą nawet, jak mają na nazwisko. W ich wsi Taplary założono szkołę i pewnego dnia dziecko przychodzi do swojego ojca i dumne z siebie oznajmia, że Ziemia nie jest płaska, tylko okrągła. Co robi ojciec? Zdejmuje pas i leje tego dzieciaka za wygadywanie głupot.

No i teraz pytanie: czy ten ojciec to człowiek wyznający teorie spiskowe? Przecież on działa bardzo racjonalnie w zakresie dostępnej sobie wiedzy. Z punktu widzenia doświadczenia człowieka, który nigdy z tych Taplar nie wyjechał, stwierdzenie, że Ziemia jest kulą, jest po prostu absurdem, bo nic w jego obrazie świata tego nie potwierdza.

Co się dzieje w momencie, kiedy stykamy się z jakąś nową, z naszego punktu widzenia kontrowersyjną narracją?

Weźmy osobę, którą znamy. Gdy w przestrzeni publicznej pojawia się nowa, niedyskutowana wcześniej teza, jesteśmy w stanie z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, jakie zajmie wobec niej stanowisko. Jako przykład może tu posłużyć pandemia covid-19 i kwestia szczepionek. Przed pandemią niewiele osób interesowało się epidemiologią. A jednak, patrząc na grono swoich znajomych, byliśmy w stanie przewidzieć, które z tych osób się zaszczepią, a które nie.

Inny, czytelny przykład: historia smoleńska. Od razu widać, że decyzja o tym, czy był zamach, czy go nie było, przez większość osób została podjęta właściwie w pierwszych minutach, zanim pojawiły się jakiekolwiek fakty i opinie eksperckie. To pokazuje, że wcale nie jest tak, że ktoś dokonuje szczegółowej analizy i na jej podstawie dochodzi do takich czy innych wniosków. Taka analiza jest wtórna wobec stanowiska, które zostało już wcześniej przyjęte.

Czyli kluczowe nie są tutaj inteligencja ani poziom wiedzy?

Te czynniki się zwykle bardzo przecenia. Myślenie spiskowe wiąże się raczej z pewnym stylem przetwarzania informacji. Są osoby, które zawsze przyjmą założenie, że istnieje jakaś ukryta prawda, że jest inaczej, niż podają oficjalne źródła, że prawdziwa intencja jest przed nami ukrywana. Oczywiście działa to w obie strony – tak jak część osób ma silną skłonność do nieufności, tak inne będą wykazywały skłonność do całkowitej ufności. Przecież mamy nie tylko „foliarzy", ale też tak zwane „lemingi".

Lemingów jakoś nikt nie tropi.

O ile mamy dość dużo wiedzy empirycznej na temat tzw. spiskowców, o tej drugiej grupie wiemy stosunkowo niewiele. Amerykański psychoanalityk Christopher Bollas określił takie osoby mianem „normotyków". Mówimy tu o kimś, kto niejako automatycznie uznaje, że rzeczy są po prostu takie, jak widać – takie, jak mu się mówi w telewizji. Taki człowiek ↦

pl 48ee648283

↦ konsekwentnie trzyma się tego, co twierdzą instytucje. Można powiedzieć, że jest to po prostu ktoś na wskroś banalny.

Mamy więc dwie kategorie: banalnego normotyka i szalonego spiskowca?

Wbrew pozorom grupa „spiskowców" wcale nie jest jednorodna. Duża jej część, szczególnie bardziej skrajnych przedstawicieli, to osoby wykazujące pewne cechy tzw. osobowości schizotypowej. To ludzie, których charakteryzują dziwaczność poglądów i pewne społeczne niedopasowanie, myślenie magiczne, czasem przesądność. Inna grupa to osoby ze skłonnościami paranoicznymi – dużą nieufnością wobec innych. Natomiast do trzeciej grupy należą ludzie z cechami narcystycznymi. Chodzi tutaj głównie o pewien rodzaj osobliwej przyjemności płynącej z przekonania, że tylko ty wiesz coś, co przed innymi pozostaje ukryte.

Medialny obraz „szura" koncentruje się niemal wyłącznie na tych dwóch pierwszych grupach. Co wiemy o „narcystycznych spiskowcach"?

Spora część tych osób ma specyficzne doświadczenie społecznego wykluczenia i pewną historię niezrealizowanego potencjału. Bardzo często pojawia się tu jakaś forma zawiści czy zazdrości, wynikająca z niespełnienia. Takie osoby chciałyby o czymś decydować, nadawać ton debacie i często mają do tego nawet pewne zdolności, ale z różnych powodów ich życie potoczyło się inaczej i nie zrobiły zawrotnej kariery.

Z jakiegoś powodu nie zostałem, dajmy na to, lekarzem – choć, jeśli popatrzeć na mój poziom talentu, właściwie mógłbym nim być. A nie mogąc być tym lekarzem, mogę stać się antylekarzem. W tym wszystkim może kryć się również nieświadoma nadzieja, że gdyby kiedyś nagle reguły społeczne całkowicie się odwróciły, zajmę należne mi miejsce. A przynajmniej mam poczucie, że zajmuję ważne miejsce w świecie alternatywnym, który teraz buduję.

W myśleniu spiskowym chodzi też o to, że dane przekonania stają się częścią naszej tożsamości?

Ważnym wyróżnikiem będzie znaczenie ich dla ego. Bo samo to, że w coś wierzysz albo w coś nie wierzysz, nie znaczy jeszcze, że jesteś spiskowcem. Możesz być o czymś święcie przekonany, ale wystarczy, że przeczytasz coś innego i uznasz: „ojej, to chyba jest inaczej". Kluczowe jest to, że nie przywiązujesz do tego szczególnej wagi – „Myślałem, że jest tak, a dowiedziałem się, że jest inaczej, dobrze". Nic się dla ciebie psychologicznie nie zmienia. Natomiast teoria spiskowa pełni ważną funkcję dla „ja" i w związku z tym nie poddaje się modyfikacji przez *fact-checking*. Po prostu żyjesz wewnątrz jakiejś myślowej konstrukcji i ona jest trochę jak zewnętrzny pancerz dla skorupiaka. Pełni rolę szkieletu; bez tego konstruktu całe „ja" by się rozpadło.

Jak to się rozkłada w społeczeństwie? Mamy małą grupę spiskowców z jednej strony, normotyków z drugiej, a w środku normalsów – ludzi raczej obojętnych, niuansujących, lekko sceptycznych?

W normalnych okolicznościach zjawiska społeczne przyjmują kształt krzywej dzwonowej, co oznacza, że najwięcej jest osób „średnich": średnio inteligentnych, średnio sprawnych fizycznie, średnio bogatych i tak dalej. Również w temacie szczepień większość osób pomyśli: „Lepiej się zaszczepić, ale może bez przesady, nie za dużo, bo są też skutki uboczne". Natomiast w momencie, kiedy konflikt społeczny się zaostrza – przykład to debata o przymusie szczepień w pandemii – krzywa dzwonowa zaczyna się rozjeżdżać w kształt litery U. Społeczeństwo dzieli się wtedy na tych, którzy dodają nakładki na profilach „Zaszczepię się w pierwszym możliwym terminie", oraz na tych, którzy twierdzą, że od szczepionek zaczniemy umierać. Czyli mamy społeczną polaryzację.

A ktoś pro- zaczyna postrzegać tego anty- jako idiotę z folią na głowie?

Ta „folia na głowie" dobrze pokazuje, w jaki sposób obie strony wzajemnie się mitologizują – przypisują sobie cechy, które ta druga strona niekoniecznie posiada.

Wszyscy pamiętamy dyskusję o tym, że w szczepionkach są czipy. Tyle że ten temat wcale nie wychodził od tych, którzy nie chcieli się szczepić, tylko od tych przekonanych, że trzeba się szczepić. Oni mówili: „Tamci wierzą, że w szczepionkach są czipy". Gdy zbadano tych ludzi, okazało się, że to konkretne przekonanie o czipach było w tej grupie kompletnie niszowe, a oni mieli całą masę zupełnie innych zastrzeżeń.

Na czym dokładnie opiera się to zjawisko mitologizacji?

Najbardziej absurdalne twierdzenia wrzuca się do jednego worka z każdym buntowniczym stanowiskiem. Czyli jeśli zastanawiasz się nad tym, jak może działać białko kolca w szczepionce i masz w tej kwestii jakiekolwiek wątpliwości, to znaczy, że wierzysz, iż Ziemia jest płaska, a w strzykawce są czipy. Bierzemy więc narrację, która wydaje się intuicyjnie najbardziej nieprawdopodobna i zaczynamy traktować ją jako znak firmowy tej drugiej strony.

Druga strona robi to samo?

Dokładnie to samo. Spiskowiec powie: „Jeżeli mówisz, że trzeba się szczepić, to ktoś ci za to płaci". Ta narracja jest lustrzanym odbiciem narracji o czipach. Chodzi o to, że bierzesz coś jaskrawego i zaczynasz mitologizować tę drugą stronę. To jest ważna część tej logiki podejrzeń.

Przy czym obie strony mają poczucie, że mają rację i są od siebie mądrzejsze. Ale tylko jedna z nich funkcjonuje w mainstreamie. Ma więc większą sprawczość w delegitymizowaniu poglądów tej drugiej.

Spiskowość w społeczeństwie jest bardzo często mechanizmem obrony przed utratą języka. Dziś mamy pewną grupę ekspercką, która mówi nam, jak jest, niemal całkowicie dominuje przebieg debaty i wyklucza z dyskusji wszystkich, którzy próbują oponować. Stoją za nią media i silne grupy interesu. Czasem to wykluczenie ma bardzo brutalny charakter, czyli ktoś zostaje ukarany i mamy efekt mrożący. A czasem to polega na czymś bardziej subtelnym i trudnym do uchwycenia. Cały język, cały system pojęć, od lat budowany jest w taki sposób, że dla wątpliwości nie ma języka, żeby ją dobrze wyrazić. I wtedy mamy ciekawy efekt. Bo społeczeństwo wcale tak łatwo tego nie kupuje.

Nie może wyrazić wątpliwości, bo nie umie, ale to nie znaczy, że zaczęło w to wierzyć?

eprasa.pl 48ee648283

Tak. Dzieje się wtedy coś takiego, że rośnie sfera poglądów jawnie paranoicznych, odjechanych. One są właśnie społeczną reakcją na odebranie języka. Jeśli nie można swojej wątpliwości wyrazić racjonalnie, ona zaczyna wyrażać się nieracjonalnie. A im bardziej strona eksperckо-medialna wskazuje tę nieracjonalność i ją piętnuje, tym bardziej będzie się ona nasilać. Zupełnie niezależnie od tego, kto ma rację co do faktów – bo nie mówimy tu w ogóle o porządku faktów, tylko o pewnej grze psychologicznej i grze społecznej.



ARCHIWUM PRYWATNE

PAWEŁ DROŹDZIAK jest psychologiem. Współautor książek: „Zawsze bezpieczna. Psychologiczne aspekty samoobrony kobiet", „Blisko, nie za blisko. Terapeutyczne rozmowy o związkach". Autor książki „Zdrada. (Nie)wierna towarzyszka związków".

Ci sami eksperci ze zdumieniem dostrzegają w w badaniach, że spora część wierzących w teorie spiskowe to inteligentni, wykształceni, dobrze zarabiający ludzie.

Bardzo często jest tak, że otrzymujesz przepustkę do elity, jeżeli wyznajesz poglądy promowane przez tę elitę. Na to dobrze się łapie klasa średnia, która aspiruje wyżej. Ale w momencie, kiedy już czujesz się tą elitą, to nagle mówisz: „Nie będzie mi jakaś wiodąca telewizja mówiła, co mam myśleć, mogę mieć własne poglądy". Dlatego paradoksalnie ludzie z wyższej klasy społecznej często wcale tych mainstreamowych poglądów już nie podzielają.

Pracownicy średniego szczebla, którzy zrobili szybki awans, chcą często mieć poglądy wielkomiejsko-mainstreamowe, żeby oddalić się od tego, z czego wyszli. Ale jeśli przyjrzymy się najwyżej stojącej grupie, nagle odkrywamy tam poglądy, których byśmy się wcale nie spodziewali. Czasem naprawdę egzotyczne. Kiedy znika motywacja „bycia przyjętym na salonach", bo to ten salon zaczyna o nas zabiegać, okazuje się, że nie chcemy już przyjmować tego, o czym nas naucza „wielka telewizja dla normalsów". Chcemy wiedzieć lepiej i kwestionujemy wszystko.

No i mamy też tych nieaspirujących z klasy robotniczej.

Oni z kolei wiedzą, że i tak nie dostaną przepustki na ten salon, więc mogą na przykład opowiadać, że w szczepionkach są czipy. Bo to ich niejako pociesza, że na tym salonie nie ma nic dobrego. I znów – wtedy te przysłowiowe czipy wcale nie są wynikiem tego, że ktoś nie ma wiedzy. Tylko stają się symbolem tego, że zło elit jest niezmierzone. Im większa frustracja, że się do tych elit nie weszło, tym bardziej niezmierzone jest wtedy to zło.

Zbierając to tu, to tam, wychodzi nam całkiem duża grupa. Co ta elita ma z nimi zrobić?

Myślę, że elita powinna przestać robić cokolwiek z kimkolwiek, czyli w ogóle zakładać, że powinna kogoś wychowywać. Bo samo założenie, że jedni dorośli mają prawo do wychowywania drugich dorosłych, jest – moim zdaniem – problematyczne etycznie. A im więcej jest szeroko zakrojonych, totalnych projektów, które mają ambicje bardzo głębokiej zmiany społecznej, tym bardziej ludzie będą intuicyjnie stawiać opór. Czasami właśnie dlatego zaczynają mówić bzdury na różne tematy, bo próbują po prostu powiedzieć, że nie chcą być wychowywani. Nie potrafią tego nazwać, ale jest to pewien nieświadomy rodzaj oporu.

Czy da się przed tym wszystkim bronić?

Zadajmy sobie pytanie: czy możliwe jest, że ten, kto sprzedaje ci jedzenie lub leki, w rzeczywistości cię truje? Jeżeli zastanawiasz się nad tym na takiej zasadzie, jak nad tym, czy Żabka jest otwarta czy zamknięta, to znaczy, że prawdopodobnie jeszcze myślisz. Ale jeżeli to staje się dla ciebie czymś fundamentalnym – niezależnie od tego, czy uważasz, że to możliwe, czy że to niemożliwe – to znaczy, że prawdopodobnie napędza cię coś innego, element jakiejś szerszej struktury mitycznej.

Podstawowym testem zdrowia jest zatem to, czy potrafisz powiedzieć: „Nie wiem, nie znam się na tym". Takie szczere przyznanie się przed sobą, że po prostu nie masz pewności.

Chyba nie radzisz nam przy tym, żebyśmy przyjmowali postawę zobojętnienia wobec rzeczywistości?

W tym „nie wiem" nie chodzi o to, że tej prawdy nie ma, albo że jest nam wszystko jedno. Chodzi o świadomość, że poruszamy się w przestrzeni niepewności i podejmujemy ryzykowne decyzje. Zdrowy człowiek powie: „Zdecydowałem się zaszczepić, mimo że wcale nie jestem pewien, że to w pełni bezpieczne". Albo z drugiej strony: „Zdecydowałem się nie szczepić, mimo że wcale nie jestem pewien, czy to jest trucizna". Czyli przyjmuje do wiadomości, że rzeczywistość bywa niedomknięta. Natomiast jeśli wszystkie wątpliwości przypisujesz wrogom, to może być znak, że właśnie dołączyłeś do sekty albo jakąś zakładasz.

Jak w sobie szukać tego „nie wiem"?

A jak wytrzymać to, że kończy się film, a ty nie wiesz, kto zabił? Na to nie ma prostego sposobu.

W nowszych produkcjach w zasadzie zawsze wiemy, kto zabił. Odnoszę wrażenie, że współczesna kultura odbiera nam ten element niepewności.

A w dodatku na koniec wychodzi pan ekspert i tłumaczy, o czym to było. Na przykład dostajemy informację: „Każdego roku w Stanach Zjednoczonych 7 tysięcy osób zostaje pożartych przez krokodyle". Na tym polega infantylizacja kultury. Jeżeli coś takiego się dzieje, to automatycznie gwarantuje, że pewna część ludzi powie: „Ten film nakręcili kosmici".

Swoją drogą na popularności zyskują dziś podkasty ufologiczne. Sama znam kilka osób – bardzo ogarniętych i inteligentnych ludzi – którzy ochoczo wkraczają w ten świat, traktując to raczej jako formę eskapizmu. A może właśnie jako nieuświadomiony bunt przeciwko ekspertozie?

Z całą pewnością jest to pewna obrona. Podkreślę jeszcze raz: spory o to, czy istnieje UFO, czy szczepionki mordują, czy w Smoleńsku był zamach i tak dalej, to wcale nie są spory o fakty. To są tak naprawdę spory o to, komu można wierzyć i na ile.

© Rozmawiała DOMINIKA TWOREK

eprasa.pl 48ee648283

TOMASZ

Stawiszyński:
Nasze małe apokalipsy



Całkiem niedawno – jak to zazwyczaj w takich sytuacjach bywa: algorytmicznym „przypadkiem" – trafiłem na serial „The Bear", traktujący o przygodach pewnego utalentowanego i świetnie wykształconego szefa kuchni. Carmy Berzatto, bo tak się ów szef nazywa, z powodów których tu oczywiście nie zdradzę, wraca do rodzinnego Chicago i podejmuje pracę w standardowym barze z jedzeniem, czyli miejscu, delikatnie mówiąc, znacznie poniżej swoich kwalifikacji.

Kolejne odcinki oglądałem z rosnącą satysfakcją, także z uwagi na moje osobiste zamiłowanie do tematyki kulinarnej, ale coś uporczywie nie dawało mi spokoju. Z czymś mi się ten totalny kuchenny rozgardiasz, w którym Carmy radzi sobie niczym linoskoczek na rozchybotanym sznurku, kojarzył; nie wiedziałem tylko, z czym. Kogoś mi ten kucharz – równolegle nadzorujący proces pieczenia mięsa, odbierający dostawy i tonujący rozmaite nieporozumienia w gronie ekscentrycznych współpracowników – przypominał; nie wiedziałem tylko, kogo. Aż w końcu brakujące elementy wskoczyły na właściwe miejsce. Oczywiście przypominał mi doktora Robby'ego z serialu „The Pitt", koordynatora szpitalnego oddziału ratunkowego w Pittsburghu!

Co jednak niby – zapytacie – miałoby łączyć szpitalny oddział ratunkowy z pospolitym barem, w którym serwuje się spaghetti z pomidorami i przyrządzane na miejscu kanapki?

Otóż właśnie – odpowiem – ten specyficzny typ bohatera, który dzień do dniu, mobilizując wszelkie siły psychiczne i fizyczne, stawia czoło chaosowi, ogarnia go i neutralizuje. Po to tylko, aby nazajutrz znów rozpocząć bój z rojem kolejnych strasznych przeciwności. Bo też – co istotne – ten rój nigdy nie zostaje definitywnie pokonany. Nie następuje nad nim żadne ostateczne zwycięstwo, takie jak w niezliczonych historiach, które świetnie znamy, opartych na schematach od lat przetwarzanych przez popkulturę.

Wiadomo, w wielu gatunkowych scenariuszach protagonista finalnie pokonuje tego czy innego smoka. Tymczasem w wariancie, o którym mówimy – nic podobnego. Smok wiecznie się odradza. Posłany pod koniec dnia w otchłań, wyskakuje z niej o poranku, wojnę z nim trzeba więc podejmować od nowa. Z nadzieją, że do zmroku uda się wygrać bitwę, ale i smutną świadomością, że za moment wszystko wystartuje od zera.

Czy coś nam to przypomina? Istotnie – niejakiego Syzyfa, skazanego na permanentne powtarzanie tego samego bezsensownego znoju. Bezsensownego generalnie, ale w pewnym stopniu sensownego w skali mikro, bo przecież za każdym razem głaz udaje się jednak wtoczyć na górę. Albert Camus, który w Syzyfie widział symbol człowieczeństwa, konstatował, że w tym heroicznym akcie wysiłku kryje się tak naprawdę zarzewie egzystencjalnego buntu wobec absurdu istnienia. Można sobie zatem wyobrazić szczęśliwego Syzyfa, czerpiącego ze swojej gehenny poczucie sensu, a nawet godności.

Podobnie jest, jak sądzę, z tym nowym serialowym typem bohatera, który ma nam chyba przywracać wiarę, że trud przeciwstawiania się chaosowi, choć bez szans na powodzenie, jest na swój sposób szlachetny i wartościowy. Choćby dlatego, że dzień w dzień wytwarza się dzięki niemu jakiś kwant dobra, którego w przeciwnym razie by nie było.

Trzeba przyznać, stoi za tym niewątpliwy realizm, trzeźwa konstatacja, że rzeczywistość stała się zbyt przytłaczająca i nieprzewidywalna, żebyśmy jeszcze mogli uwierzyć w baśnie obiecujące jakiś trwały happy end. Zamiast św. Jerzego zabijającego smoka mamy więc raczej uroborosa, węża pożerającego własny ogon. Jeden z najstarszych symboli, jakie zna ludzkość, obrazujący zamkniętą, nieprzekraczalną cykliczność kosmosu, w którym pozostajemy na zawsze uwięzieni.

To właśnie tam, w królestwie uroborosa, funkcjonuje współczesny bohater. Nie załamuje się, walczy, jest ze swoją kondycją fundamentalnie pogodzony. Niczym wytrawny żongler panuje nad wielością spraw i zadań, z gracją lawiruje na granicy rozpadu i rozkładu. Nie fantazjuje o wielkiej wygranej, nie czyni planów sięgających dalej niż horyzont wieczoru, z godną podziwu konsekwencją stawia się na posterunku. Cechuje go przy tym metafizyczna skromność, zna swoje miejsce w porządku świata, porzucił złudzenia, że da się ów porządek radykalnie przeorganizować, zamiast tego poświęca się raczej temu, co tu i teraz przynosi wymierne efekty.

Owszem, dwa seriale to próbka niereprezentatywna, ale felieton może się nią spokojnie nakarmić. Założę się zresztą, że podobnych historii jest więcej, i że będzie ich przybywać. Poczucie przytłoczenia bowiem narasta. Podobnie jak przekonanie, że na radykalną zmianę raczej nie ma co w przewidywalnej przyszłości liczyć. No chyba że wybuchnie globalny konflikt jądrowy albo nastąpi jakaś inna wielka apokalipsa.

Dopóki jednak nic takiego się nie stanie, dopóty potrzebować będziemy bohaterów, którzy uczą, jak sobie lepiej radzić z małymi, powszednimi apokalipsami. Nawiasem mówiąc, tymi wielkimi jesteśmy już chyba po prostu coraz bardziej znużeni. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 48ee648283

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

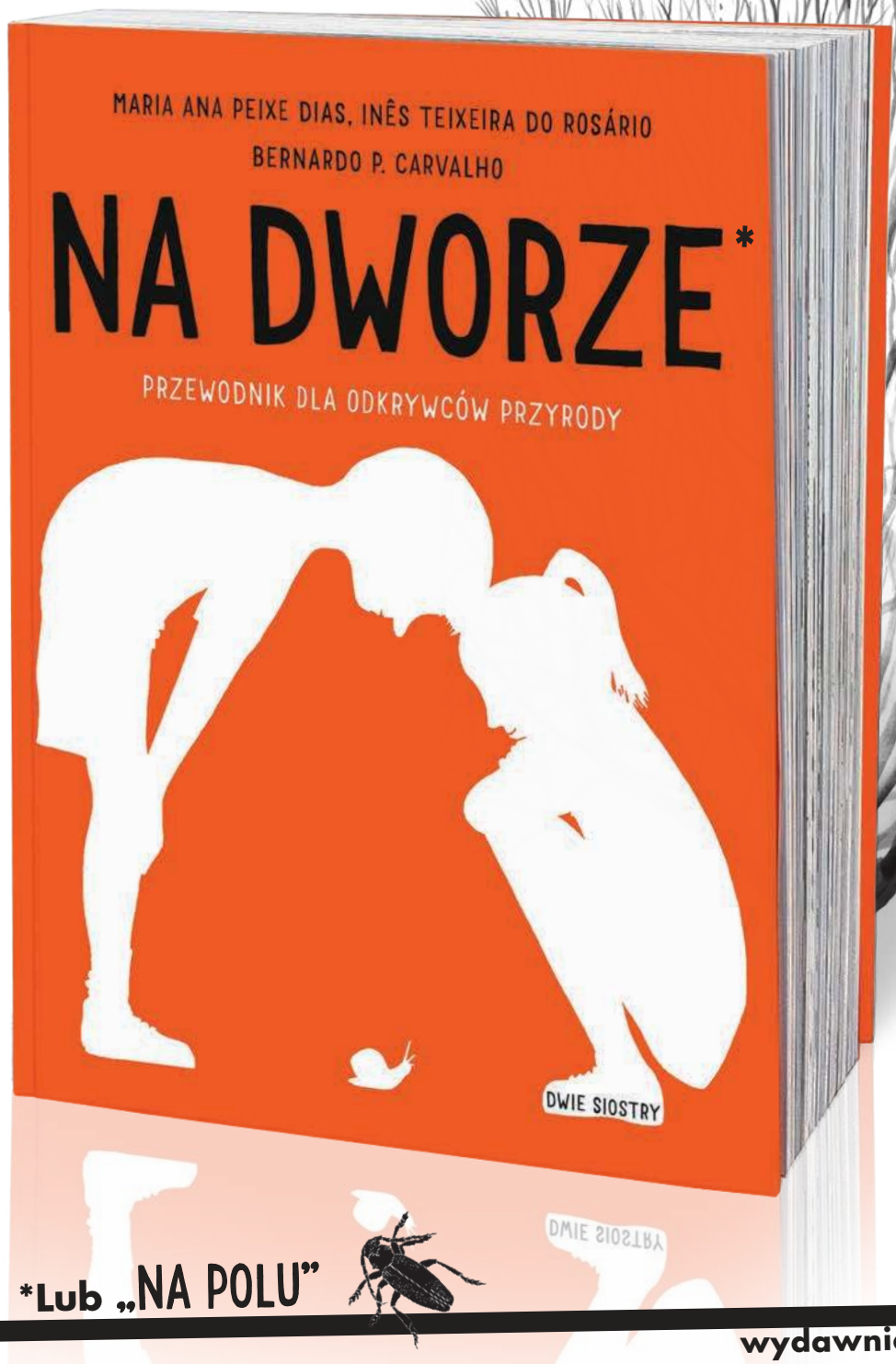
Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCT

eprasa.pl 48ee648283

Co fruwa, bzyczy i rośnie wokół nas? Chodźmy to sprawdzić!

dwie siostry



Ilustrowany przewodnik dla młodych odkrywców i obserwatorów przyrody.

*Lub „NA POLU"

wydawnictwodwiesiostry.pl

REKLAMA

eprasa.pl 48ee648283